PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI



Płaskorzeźby na pomniku Wacława z Szamotuł

ROK III — 1947 **KWIECIEŃ — CZERWIEC — NR 4—6**

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POD REDAKCJĄ

DR ZDZISŁAWA GROTA

SPIS TREŚCI: Strona

Kierownictwo graficzne: Marian Romała

Sekretarz Redakcji: Mgr Zofia Grotowa

Wydawca: Jan Jachowski, Poznań, Zygmunta Augusta 1. —

Nakładca: Księgarnia Akademicka, spółdzielnia z odp. udziałami, Poznań, Zygmunta Augusta 1. — Adres Redakcji: Poznań, Garbary 65/67 m. 5.

Adres Administracji: Poznań, Zygm. Augusta 1. — Tel. 35-53 PKO V-242. Właściciel konta: Księgarnia Akademicka, sp. z odp. udz. Konto czek. nr 44 w Banku Gospod. Spółdzielczego — Oddz. w Poznaniu

Odbito w Drukarni Uniwersytetu Poznańskiego — K-3030

PRZEGLĄD WIELKOPOLSKI

MIESIĘCZNIK REGIONALNY

POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM KULTURY WIELKOPOLSKIEJ W PRZESZŁOŚCI I W CHWILI OBECNEJ

Rok III Poznań, kwiecień—czerwiec 1947 r. Nr 4—6

Dr A. M. Skałkowski
Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

JÓZEF SUŁKOWSKI W LEGENDZIE I HISTORII

Józefa Sułkowskiego, adjutanta Napoleona (którego nazwisko widnieje na łuku wzniesionym ku chwale wojsk Rewolucji i Cesarstwa na placu Gwiaździstym w Paryżu) wiąże historia, nie legenda, z Wielkopolską. Wiadomo, że wychowywał się na dworze rydzyńskim wojewody gnieźnieńskiego (ostatnio poznańskiego) a później należał do korpusu oficerskiego pułku tegoż magnata (następnie imienia Działyńskich). Wszakże Sułkowski jest u nas przede wszystkim postacią legendarną. Dzięki temu zajęła się nim literatura piękna. Tak nam przedstawił go Żeromski, chociaż pragnął jak najmniej odchylić się od prawdy. Właśnie wtedy w roku 1910, drukowałem me studium o Polakach w Egipcie, więc gotowy już wstęp mogłem dać do przeczytania piszącemu dramat o Sułkowskim. Stąd zrodziły się u niego skrupuły, czy wolno wprowadzać na scenę starego sługę wnoszącego szczątek poległego bohatera, skoro w dokumentach nie ma go wymienionego. Jednakże zresztą Żeromski był całkowicie pod urokiem legendy, jak ją nam przekazał wydawca części rękopiśmiennej spuścizny po Sułkowskim Hortenzjusz de Saint Albin.

Wydawnictwo to z roku 1832 o przedługim a błędnym tytule doczekało się, lubo bardzo lichego przekładu na język polski. Poprzedza je wcale obszerny życiorys Sułkowskiego, z którego nawet i teraz czerpie się jeszcze i to w bardzo dużej mierze wiadomości, jakie przekazała nam tradycja. Ta jest cenna, o ile pochodzi z kół Sułkowskiemu bliskich, ale Saint Albin nie miał dość krytycyzmu, aby odróżnić źródła jej bałamutne, podejrzane albo i zgoła niewiarygodne. Nadomiar wielbiciel Russa stylizował swego bohatera wedle tamtego wyobrażeń i na modłę Plutarcha. Nie bez wpływu była też ówczesna po roku 1831 atmosfera polityczna szczególnie sprzyjająca rozwojowi legendy, której zaczątki były zresztą znacznie wcześniejszej daty. Otóż trzeba starać się przeprowadzić możliwie dokładną linię przedziału między tym co z tych przekazów zasługuje na pamięć a co należy odrzucić.

Saint Albin powołuje się na zażyłość swego ojca z Sułkowskim, ale wiadomości o nim i spuściznę rękopiśmienną dostać mógł przede wszystkiem przez

Piotra Maleszewskiego i Leonarda Chodźkę, którzy je mieli od rodziny Venturów. Sułkowski, który bardzo wysoko cenił inteligencję Maleszewskiego, był też z nim spowinowacony, bo obaj mieli za żony córki Venture'a, dragomana w służbie francuskiej przez długie lata w Turcji i jej posiadłościach afrykańskich. Sułkowski zbliżył się do Venture'a ucząc się języka arabskiego i przed swą wyprawą na wschód, a to wejście w środowisko żydowskie nie pozostało zapewne bez wpływu na jego ideologię. Jakkolwiek bądź tą drogą dotarły różne Sułkowściana do Maleszewskiego, który zapewne podarował je swemu zięciowi Chodźce, a ten użyczył Saint Albin'owi. Zresztą mógł to zrobić i sam Maleszewski, który żyjąc do roku 1828, niewątpliwie interesował się wydawnictwami o wypadkach i ludziach mu współczesnych. On też jako bliski Poniatowskim niewątpliwie był informatorem o powikłaniach w stosunkach rodzinnyh wielkich domów w Polsce. Również Chodźko wiedział wiele, bo kraj opuścił nie tak dawno a zajmował się zbieraniem materiałów do dziejów polskich, zwłaszcza porozbiorowych, sam układając historię legionów we Włoszech i przygotowując wydanie pamiętników podskarbiego-dyplomaty Ogińskiego z tejże doby. Stąd płynące wiadomości chociażby jednostronne nie mogą być pominięte. Lecz Saint Albin czerpał z innego, mętnego źródła.

Oto zaraz po zgonie Sułkowskiego, a zwłaszcza gdy Bonapartego gwiazda pełnym zajaśniała blaskiem, gwoli zwrócenia uwagi pierwszego konsula i zyskania jego względów Michał Sokolnicki, głośny później generał ale wtedy w odstawce (ponieważ legie polskie straciły podstawę bytu), w mowie i piśmie kreślił rzekome wspomnienia swoje o nieodżałowanym adjutancie Napoleona, mieniąc się jego wychowawcą. Na tej opowieści polegał Saint-Albin, ale obecnie historycy odnoszą się z największym krytycyzmem do wszystkiego, co pochodzi od tego niewątpliwie bardzo zdolnego i mężnego generała, który przecież był typowym intrygantem, łgarzem i kpiarzem. Wszak on to skomponował ów testament Piotra Wielkiego, który po dziś dzień jeszcze bywa cytowany jako autentyczny przez mniej świadomych rzeczy czy pozostających na usługach propagandy uczonych niemieckich (np. w toku ostatniej wyprawy na Rosję). On to ofiarował księżnej Izabeli Czartoryskiej do zbioru pamiątek narodowych w Puławach cegłę z domu Kopernika. Nakoniec w roku 1814 wiózł w honorowej trumnie w uroczystym pochodzie wojsk polskich wracających z Francji do kraju, niby relikwię, jakąś kość rzekomo wyjętą ze zwłok króla Leszczyńskiego, które pozostają nietknięte w swym grobowcu w Lunewilu. Jeśli jeszcze tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej spierano się w prasie poznańskiej o autentyczność owej rzekomej relikwii, to nic dziwnego, że łatwowiernym był Saint Albin, a w błąd go wprowadził nie tylko fanfaron Sokolnicki, lecz i zasłużony erudyt Chodźko, który wszakże nie odznaczał się krytycyzmem. On to zapewne wprowadzając cudzoziemca w tajniki genealogii Sułkowskich Sulimitów walnie się przyczynił, że legenda od samej kolebki nieodłącznie związała się z losami „bohatera bez ojca i matki".

Przeszło sto lat utrzymywała się wersja łącząca Józefa Sułkowskiego z książęcą linią tego rodu (rzekomo nieprawego od Augusta II pochodzenia).

Wsparł ją całym swym autorytetem Szymon Askenazy w dziele pt. „Napoleon a Polska" dowodząc, że adjutant Bonapartego, z okresu kampanii włoskiej i wyprawy do Egiptu, był „w linii prostej, choć tylko „naturalnej", „prawnukiem Mocnego". Przedstawił to w tekście swego dzieła z właściwą mu siłą słowa: „Śród wichury barskiej z nieznanej urodzony matki, zaraz, staraniem możnej rodziny — podobnie jak protoplasta, po którym wziął imionisko... — wsunięty został ubogiemu krewniakowi, pułkownikowi cesarskiemu, na urzędowego syna. Musiał tedy od urodzenia z prawdziwym rozstać się ojcem, dziwacznym, awanturniczym ks. Franciszkiem..., który się go zaparł..." Natomiast książęcy stryjowie, bezdzietni zrazu, tem czulej nim się opiekowali, że „w tej dziecinie, w której rysach ślicznych i temperamencie bujnym wcześnie zdawał się majestat przebijać Augustowy, pierworodną nadal szczepu swego, siewu królewskiego oglądali gałązkę. I mogłoby wydawać się zaiste, że jeśli z krwi zatrutej Mocnego najzakaźniejsze jady do nieszczęsnego Sułkowskich wsączyły się domu, płodząc z pokolenia w pokolenie grzechy i zbrodnie niesłychane, ...to z tejże krwi wspaniałej iskra świetna, pańska, wzniosła, do duszy tego właśnie wydziedziczonego padła potomka". Dla poparcia tezy rozwiódł się szeroko w przypisach. Jednakże wszystkie znakomitego historyka i świetnego stylisty argumenty albo nie wytrzymują logicznej krytyki albo zostały obalone ujawnieniem dokumentów z porydzyńskiego archiwum w Pracach Komisji Historycznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (tom VIII zeszyt I). Z rozprawy pt. „Rodowód Józefa Sułkowskiego i jego listy młodociane" okazuje się dowodnie, że urodził się 18 stycznia 1773 z ojca hr. Teodora i matki Julii (?) Quelise, Węgierki. Zapewne i w tej genealogii także nie wszystkie szczegóły są całkiem jasne, ale za nią przemawiają dokumenty bardziej wiarygodne niźli różne „urzędowe", ale często fabrykowane pod przemożnym dyktandem albo niedbale sporządzane, i niźli różne błyskotliwe, romantyczne hipotezy. — Wysnuta została z korespondencji rodzinnej Teodora, a zgodna jest tak ze statutem ordynacji Sułkowskich jak z poufną zapiską ks. wojewody Augusta, dotyczącą wychowania Józefa. Rysy jego twarzy możemy odnieść do rodziców, chociaż nie mamy ich portretów, a temperament tłumaczyć domieszką krwi węgierskiej. Czyż nie ma w nim podobieństwa chociażby do Beniowskiego?

Zresztą najnowsze badania poświęcone Sułkowskim przez Jana Baumgarta podważają legendę o ich związkach krwi z dynastią saską. Zdaje się, że (według znanej sentencji: on prête aux riches) — na liście nieprawego potomstwa Augusta II umieszczono protoplastę książęcej linii Sułkowskich, chcąc wytłumaczyć okazywane im fawory, co wszakże dla ich zrozumienia wcale nie jest koniecznem.

Do spuścizny rękopiśmiennej Sułkowskiego ogłoszonej przez Saint Albin'a w r. 1832 zwolna ale przecież przybywało materiału. W r. 1877 Władysław Kosiński przydał do niej jego list pisany bezpośrednio przed wyruszeniem z Paryża do Włoch o stosunkach wśród naszej emigracji porozbiorowej. De La Jonquière powołał w wyciągach, ja zaś (w r. 1910) w całości udostępniłem jego pisma z okresu wyprawy do Egiptu i dokumenty osobiste z archiwów

francuskiego ministerstwa wojny, profesor Askenazy w kilka lat później opublikował wcześniejsze jego zapiski z podróży (1793) i memoriał o insurekcji Kościuszkowskiej, ostatnio zaś Marceli Reinhard sześć jego listów o kampaniach Bonapartego z roku 1796 na 1797. Tak więc poszerzona została parokrotnie podstawa źródłowa, na której można oprzeć biografię Sułkowskiego, uwalniając się od różnych sugestii i domysłów, jakie osnuły się około jego postaci od urodzin aż do samej śmierci.

Zstępując na grunt realny, chociaż i będziemy całkiem słusznie uważać to wielkich zapowiedzi dziecko za „cudowne", wytłumaczymy sobie i jego nadzwyczajną pojętność i ciekawość jak i następną tak naturalną wobec przeciążenia naukami reakcję określaną przez opiekuna (ks. Augusta) mianem lenistwa i niesforności. Tekst instrukcji wychowawczej (przytoczony przez prof. Askenazego tylko w skrócie) zawierał niewątpliwie także wskazówki co do przywar pospolitych w wieku dojrzewania. Wszak wiemy o nich z innego źródła z okresu nawet jego służby wojskowej. Przeciwieństwa między nim a książęcym opiekunem pod koniec ich współżycia były tyleż zwykłym przejawem wyzwalającej się w „latach oporu" młodości co echem walki między światem dawnego ustroju a wyłaniającym się z teorii „filozofów" wieku Oświecenia. Wszak było to już przedwiośnie rewolucji francuskiej, gdy umierał w r. 1786 przedostatni wojewoda poznański. Liczący wtedy lat 13 Józef Sułkowski miał już z jego łaski komandorię maltańską i stopień oficerski, lecz chłonąc nowe idee z pism encyklopedystów, Woltera, Russa i i. rozpalony niemi rozprawiał namiętnie stawiając czoło swemu dobroczyńcy. Jednakże sam był jeszcze własnymi przywilejami związany ze starym porządkiem i po śmierci Augusta szukał dla siebie oparcia u Aleksandra i Antoniego, braci zmarłego i spadkobierców. I do końca pobytu w kraju, a nawet w pierwszych latach emigracji, nie zerwał tych węzłów rodzinnych i do dokumentów jego życia należą bruliony listów do wdowy po ordynacie rydzyńskim z domu Mniszchównej. — Ażeby poznać pod jakimi wpływami pozostawał, zanim pożegnał Polskę, to należałoby (nie oglądając się na bajania Sokolnickiego, którego zdyskwalifikował już Askenazy) dojść, kim był Józef Szembek, syn generała, i kapitan wojsk litewskich Behring. Pierwszego uczynił w swym testamencie spadkobiercą generalnym wszystkiego coby mógł posiadać w kraju, a w razie tego śmierci drugi z wymienionych miał wejść w też prawa (zgoła zresztą nierealne). Ci dwaj ludzie i jego pokolenia byli snadź mu najbliżsi, bo trzeci wymieniony w akcie ostatniej woli, prezydent trybunału szlacheckiego księstwa bielskiego Koerber, figurował tam tylko z tytułu wierzytelności, jaką uprzednio już przekazał Sułkowski swej macosze, uważanej dość powszechnie za matkę, za którą też się podawała. Skąpe są te wiadomości dokumentarne z jego młodości, zaś ze wspomnień o nim (odświeżanych, gdy się rozsławił) też już nie wiele możnaby powołać. Dwie wszakże, lubo nieco mętne, zasługują na niejaką uwagę, ile że zgoła nie zatrącają legendą: jedna (Suchodolca) z okresu koleżeństwa pułkowego, druga (z pamiętników Luxa-Wierzbickiego) późniejsza, z doby emigracyjnej, a obie świadczące o niezupełnej poprawności Sułkowskiego w stosunkach prywatnych. Jakby się odezwała krew rodu zaiste nieprzebierają-

cego w środkach, tak w swej książęcej jak hrabiowskiej linii. Jest to szczegół nieobojętny, bo ten rys a raczej ta rysa charakteru przejawi się i w jego działalności politycznej. Nie był „dżentelmenem" w całym tego słowa znaczeniu, a tylko w swym zawodzie rycerskim „sans peur" i „sans reproche". Mamy o jego męstwie i talentach wojennych już z polskiej służby świadectwo obiektywne zwierzchności. Dostał też krzyż virtuti militari. W pamiętniku z kampanii litewskiej roku 1790 nie wymienił siebie, nawet opowiadając o obronie mostu na Zelwie. Widocznie oceniał nikłe znaczenie tej utarczki chociaż dla oręża polskiego chlubnej i rozumiał, że nie mogła ona zyskać roz-



Śmierć Józefa Sułkowskiego w Kairo
w/g sztychu z Muzeum Narodowego w Krakowie

głosu Dubienki i stać się dlań tem czem tamta dla Kościuszki. Lecz w ogniu bitewnym uświadomił sobie istotne swe powołanie, jak Bonaparte dobywając Tulonu swój geniusz władczy. Zanim jednak wejdzie ostatecznie na to właściwe pole, miało jeszcze upłynąć lat cztery zmagań się z przeciwnym losem, w ciągu których dawał wyraz swoim zapatrywaniom na ludzi, wypadki i zagadnienia bieżącej chwili dziejowej. Te jego sądy mało komu wówczas znane a więc i bez wpływu, mają znaczenie tylko dla jego charakterystyki; zresztą i w tem rozumieniu nie należy do jego wypowiedzeń przykładać zbyt wielkiej wagi. I tak jeśli wcześniej nieco (w r. 1791) w „Ostatnim krzyku obywatela polskiego" domagał się uwłaszczenia chłopów, to wołanie takie będące echem lektury filozofów wieku wartałoby więcej, gdyby mógł je łączyć z ofiarą własnego majątku. Że oskarżał konstytucję 3 Maja o „arystokratyczny" zamach na wolności Rzplitej, wiemy tylko z cytatu Saint Albin'a. Zresztą głucho o tej broszurze. W jakim języku i czy była ogłoszona drukiem, o tem nawet Estreicher nie może nas pouczyć w swej bibliografii. Przypuśćmy nawet, że ukazała się spółcześnie, to utonęła wśród powodzi literatury polemicznej tak płodnej w nią doby. Przytoczony ury-

wek wskazuje na niedojrzałość polityczną Sułkowskiego. Nie należy wszakże dziwić się ani gorszyć. Ujmował wszystko „principialnie", jak się zwykle czyni w wieku poniżej lat dwudziestu. Alcć to było i cechą w ogólności pokolenia wykarmionego przez encyklopedystów. Nie można też od młodziutkiego oficerka wymagać czy spodziewać się w ocenie trudnych problemów państwowych realizmu, jaki się zdobywa dopiero doświadczeniem. Bądź co bądź wszakże oburzając się na dziedziczność tronu schodził się z poglądami Targowiczan. (Wystarczyłoby, gdyby się jej wprowadzeniu do konstytucji sprzeciwiał ze względu, że brakło warunków do zastosowania tej zasady, gdyż nie było chętnego do przyjęcia korony wraz ze straszliwym ciężarem wojny z gwarantką „wolności" polskich). Natomiast wspomnienia Sułkowskiego o kampanii litewskiej roku 1792 są nader cennym źródłem historycznym, a zarazem dowodzą, jak w poczuciu obowiązku żołnierza i patrioty dzielnie stawał w obronie ustawy Majowej, do buntu przeciw której lekkomyślnie wzywał. Tę sprzeczność między teorią a czynem możnaby tłumaczyć zwykłą w młodym wieku niekonsekwencją, uleganiem zmiennym wpływom i nastrojom, jeśli się nie przypuści omyłki Saint Albin'a, że Sułkowskiemu przypisał rzecz obcą, nie jego, chociaż bliską mu w poglądach. Anonimowość i współpraca w tego rodzaju poczynaniach publicystycznych utrudnia stwierdzenie autorstwa.

Radykalizmem tchną i wszystkie memoriały a nawet notatki z podróży Sułkowskiego, które ogłosił profesor Askenazy, z lat 1793—5. Analizując je bodaj nie należy zbytnio się liczyć z frazesami obowiązującymi w gwarze rewolucyjnej. Każdy król czy książę panujący był „tyranem", zakałą rodzaju ludzkiego. Tyberiuszem, Neronem, więc i Stanisław August (kiedy na sejmie grodzieńskim po raz ostatni usiłował zahamować zaborców starając się ich poróżnić) przyrównany do „ohydnego wampira, który na grobie przysiada". Sułkowski dostosowywał się do mody pisząc memoriały dla Komitetu Ocalenia Publicznego za rządów Robespierre'a, zabiegając o jego względy, aby zyskać obywatelstwo francuskie i być użytym w służbie republiki. Byłoby więc niewłaściwym stąd wnosić o jego przekonaniach społecznych i politycznych. Lecz i wedle tego, co pisał do „ciotki" Augustowej, wdowy po opiekunie, wojewodziny poznańskiej. Bo czyliż ów list (z 2 maja 1793) był wysłany? Skąd się znalazł w ręku wydawcy? Jeśli go miał w brulionie ze spuścizny pośmiertnej, to może miał na celu usprawiedliwienie (nie w oczach książęcych ciotek lecz przed opinią rodaków) ekspatriacji. Takie dokumenty traktuje się z dużą wstrzemięźliwością. Nie znaczy to, abyśmy nie mieli dać wiary jego zapewnieniom ówczesnym o gotowości przybieżenia z końca świata na usługi ojczyzny, poświęcenia życia w obronie jej honoru, gdy wojska pruskie wkraczały do Wielkopolski. I słowom, które Saint Albin mu przypisuje, że zamierzał kiedyś powrócić do kraju po zdobyciu sławy wojennej, aby go oswobodzić. Tylko trzeba mieć na uwadze, że nie jest zgoła prawdopodobnym, by pozostawał, trwał bez zmiany w swych zapatrywaniach, przekonaniach, dążeniach, w całej swej istocie duchowej, od zarania aż do końca (chociaż krótkiego) żywota. — Z czasem obracając się

w coraz to innem środowisku, w innych warunkach i okolicznościach, pod inną szerokością geograficzną, niewątpliwie ulegał wpływom otoczenia. W dokonującej się ewolucji występowały na światło, szczególnej nabierały siły, właściwości tkwiące w jego naturze od samego początku, tylko w stanie utajonym albo jeszcze mało widocznym. Oczywiście że zepchnięte w cień, przygasłe uczucia mogły znowu ożywić się, zapłonąć w zetknięciu z ziemią ojczystą, gdyby mu było danem powrócić. — Wszakże nie podobna zlekceważyć świadectw zaprzeczających tak sławionej w legendzie nieskazitelności jego charakteru narodowego, a trzeba raczej szukać sposobu wytłumaczenia rozbieżności w sądach o nim i starać się znaleźć kryteria słusznej oceny.

Nikt nie przeczy tylko jego zdolnościom i odwadze, których świetne dowody składał w kampaniach włoskich i o których świadczył sam Bonaparte przybierając go nawet do swego boku, mimo że mógł zrazu żywić pewną nieufność do nasłanego przez Dyrektoriat chociaż i poleconego przez „ciotkę" żony obywatelkę Fanny de Beauharnais, do której salonu Sułkowski trafił zapewne przez swe koneksje z Venture'm, Maleszewskim i ojcem przyszłego swego biografa Saint-Albin'a. Z każdym dniem zyskiwał coraz większe uznanie naczelnego wodza. Natomiast z wielu stron skarżono się na jego nieżyczliwość dla rodaków. Dąbrowski stwierdzał tę jego wrogość w odniesieniu do zabiegów około powołania do życia legionów („Sułkowski ist unser Feind, ich weiss wahrlich nicht warum" — pisał do swego zaufanego adjutanta Tremona). Podobnież generał ziemiański z insurekcji i poseł sejmu konstytucyjnego Stanisław Woyczyński, współpracujący w dziele legionowym i najbardziej zasługujący na wiarę, w sprawozdaniach przesyłanych do Paryża na ręce Wybickiego żalił się na Sułkowskiego. Podejrzywano go, iż utrudniał porozumienie się kierowników politycznych naszej emigracji mając zleconą perlustrację korespondencji. Co więcej chciał Bonaparte użyć go do organizowania z jeńców i zbiegów austriackich polskiego pochodzenia batalionu w lombardzkich kadrach, by zaszachować Dąbrowskiego w zamiarach formacji legionowej. Wahał się bowiem, czyli dozwolić na tworzenie orężnej reprezentacji zgasłej Rzeczypospolitej, a tę jego pierwiastkową nieufność tłumaczono sobie na wychodźtwie machinacjami Sułkowskiego, który bliski był partii radykalnej legionom a zwłaszcza zwołaniu sejmu konstytucyjnego na tułactwie i samemu Dąbrowskiemu przeciwnej. Znamienną jest w tej mierze opinja Stanisława Sołtyka, wybitnego posła i patrioty wysokiej próby: „Sułkowskiemu z tysiącznych powodów ja nie ufam szczególniej". A szło o zachowanie w tajemnicy spodziewanego przybycia marszałka Małachowskiego. I w tymże liście do Wybickiego z 16 sierpnia 1797 raz jeszcze ostrzegał: „Sułkowskiemu, na miłość ojczyzny zaklinam, aby najmniejszej nie czynić konfidencji. Opowiem za obaczeniem się ważne bardzo do tego powody, których poczcie nie śmiem powierzać". I jeszcze w parę dni potem (19. VIII.) na wiadomość, że wpływowy adjutant Bonapartego chce się bratać z przywódcami legionowymi powtarza swe ostrzeżenie: „Co do Sułkowskiego, pozwól powiedzieć, iż przyjaźni jego dla was okazy z tysiącznych powodów są i będą mi zawsze podejrzane. Pozwalam,

iż on chce dobrze ojczyźnie, ale chce sobie najlepiej, ale dowiódł mocnego o Dąbrowskim na krzywdę uprzedzenia, ale on ścisłe związki z nieprzyjaciołami Dąbrowskiego statecznie dochowuje etc. Uległ nie mogąc inaczej, ma dosyć światła i taktu do układania pozorów, nie chybi wam aż chyba przy pewnej okazji. Taka jest moja o nim opinia uformowana nie z wniosków lecz z faktów i dlatego nic coby skompromitowaniu ulegać mogło, komunikować mu nie radziłbym".

Bardziej stanowczo obwinił go w pamiętnikach swoich dawny jego towarzysz z pułku imienia Działyńskich, a wówczas także znajdujący się we Włoszech Wierzbicki, kapitan: „Sułkowski, nienawidząc swój naród własny, szkodził każdemu Polakowi, a będąc przy kwaterze głównej miał sposobność, gdy go się jako Polaka zapytano, każdego w czarnym kolorze wystawić". Inny współczesny obserwator (Tomaszewski) widział w nim „zaprzysiężonego wroga" Dąbrowskiego i narzędzie Deputacji paryskiej, skrajnego odłamu emigracji naszej. („Tableau historique des légions polonaises en Italie").

Zapewne taki Wierzbicki czy Tomaszewski byli echem, w sądach swoich o Sułkowskim, zawiści czy niechęci zawiedzionych w nadziejach na jego protekcję wielu pośledniej wartości wojskowych polskich. Młody adjutant przy boku naczelnego wodza armii francuskiej we Włoszech nie chciał dzielić się z rodakami, często natrętnymi i kompromitującymi, swoim wpływem i znaczeniem. Wszakże obok zazdrosnej ambicji dużą rolę musiał grać i jego pesymizm w odniesieniu do planów legionowych, a nie tylko zawiść polityczna względem Dąbrowskiego jako występującego z ramienia stronnictwa Sejmu Konstytucyjnego. Będąc w głównej kwaterze i w samym ognisku rokowań dyplomatycznych znał istotne zamierzenia Bonapartego i dlatego szydził z pomysłów działania legionistów na własną rękę przeciw Austrii w chwili, gdy pokój z nią dojrzewał. Kiedy Dąbrowski marzył, by poprzez Węgry przerzynać się do kraju, groziło zabranie legionów z Europy na wyprawę do Egiptu. Chociaż do tego nie doszło, to Sułkowski mógł już wtedy przewidywać tragedię San Dominga. I jeśli wpływem swym (mniejsza o to z jakich pobudek) uchronił legiony do czasu, trzeba to uznać za jego zasługę. Są też świadectwa zmiany stosunku jego do rodaków pozostających pod niebem włoskim w służbie idei niepodległości ojczyzny. Oto liczono, że ułatwi, będąc u boku Bonapartego w Rasztadzie, gdzie toczyć się miały ostateczne układy o uporządkowanie kontynentu europejskiego, podniesienie sprawy Polski. Jeden z adjutantów Dąbrowskiego donosił Wybickiemu z Bolonii 2 września 1797: „Generał pracuje teraz nad tłumaczeniem projektu do Bonaparte, który Sułkowskiemu poczciwemu komunikować będzie, kiedy będzie potrzeba". A równocześnie jeden z głównych kierowników polityki emigracyjnej upełnomocniony jeszcze od Kościuszki Franciszek Barss wyrażał swoje z tego zadowolenie: „Zaprzyjaźnienie się z wami obywatela Sułkowskiego jest dla mnie bardzo miłą wiadomością. Talenta jego, waleczność i reputacja zasłużona przez nie daje nam uważać w nim dzielnego popieracza sprawy polskiej".

To nawrócenie się nie było zupełne. Żalił się Dąbrowski z początkiem października, że wysłanych przezeń jako rzeczników sprawy polskiej do Udine, gdzie się toczyły przedwstępne układy pokojowe. Kniaziewicza i adjutanta Zawadzkiego „Sułkowski nie dobrze przyjął i starał się, aby się z Bonapartem nie widzieli i mało mówili". Oczywiście i tym razem lepiej świadomy rzeczy mógł uważać za beznadziejne te zabiegi i chcieć uchronić rodaków od złudzeń, chociaż nie wolno mu było odkryć gry dyplomatycznej. Bądź co bądź kiedy później zwrócono się do niego, żeby doręczył Bonapartemu, jako delegatowi na kongres w Rasztadzie, memoriał opracowany przez emigrację polską, wymówił się od tego nie chcąc wykraczać poza rolę adjutanta i całkowicie zajął się już tylko samemi planami wyprawy na Wschód. W niej upatrywał dla siebie świetną przyszłość a wraz i dogadzał obu swym namiętnościom: wojny i podróżowania, a raczej pogoni za przygodami w krainie słońca i pomników najstarszej kultury. Zaś dla chwały imienia polskiego dość było, że on sam miał tam polec.

Wszakże nie dla tej śmierci rycerskiej jedynie należy mu się pierwsze miejsce w naszej legendzie napoleońskiej. Sam jej początek od niego się wywodzi. On najwcześniej w zbolałe dusze rodaków na tułactwie rzucił ziarno nadziei, że ojczyznę ich podźwignie geniusz Bonatego. Za jego poradą dyplomata emigracji Ogiński skieruje do zwycięskiego wodza armii francuskiej odezwę, aby ujął się za pognębionym narodem. Sułkowski miał być pośrednikiem. Istotnie nazajutrz po zdobyciu przymantuańskiego fortu św. Jerzego (Saint-Georges), przy którym świetnie się odznaczył, Bonaparte (który go wymienił w urzędowym raporcie, co było zaszczytem tyle upragnionym co trudnym do osiągnięcia), upatrzywszy już w nim swego adjutanta, dając odpowiedź na apel Ogińskiego chciał obietnicami zapalić do największych poświęceń tego Polaka, szukającego sławy jako stopnia do służenia swojej ojczyźnie. Stąd w rozmowie z Sułkowskim miały się znaleźć słowa wspaniałe, wtedy zgoła zwodnicze ale które miały się po latach stać wyrazem istotnych dążeń, chociaż nie z serca ale konieczności politycznych wypływających: „Pójdę sam na czele Francuzów, aby zmusić Rosjan do przywrócenia Polski". (J'irai moi — même à la tete des Français, pour forcer les Russes à restituer la Pologne). Zresztą były frazesy bez znaczenia, chociażby szczere, jak zapewnienie o sympatii dla Polaków (J'aime les Polonais et j'en fais grand cas) i że niecny akt rozbiorowy nie może się utrzymać (Que le partage de la Pologne est un acte d'iniquité qui ne peut se soutenir). Poza tem w doraźnym interesie Francji (jak w r. 1794) zachęta do niepokojenia zaborców powstaniami zbrojnemi na własną rękę bez oglądania się na pomoc z zewnątrz (Les Polonais ne doivent pas se reposer sur des secours étrangers, qu'ils doivent armer eux-mêmes, inquiéter les Russes, entretenir une communication dans l'intérieur du pays)). Zachęta zrozumiała wobec odgrażań się Katarzyny, że wyszle wojska dla pokonania rewolucji. — Czy Sułkowski poznał się na tej grze dyplomatycznej? Czy zresztą wiernie powtórzył słowa zasłyszane? Rodziły się u naszych historyków wątpliwości w tej mierze, uzasadnione o tyle, że niejednokrotnie wprowadzał w błąd (jeśli słuszna świadectwu kolegi z pułku wierzyć) swoją władzę zwierzchnią (co prawda w okre-

sie rządów targowiczan) i znajome osoby (co prawda niektóre lichej konduity). Bądź co bądź słowa przypisane przezeń Napoleonowi niewątpliwie utrafiały w jego intencje; w tym duchu chciał, z całą pewnością, urabiać polską opinię. A jak wynika z dokumentów (i objaśnień Reinharda) Sułkowski w rzeczach wojennych był ścisły i prawdomówny, zaś względy natury politycznej czy osobistej tym razem nie stały na zawadzie szczerości. Wszak Ogiński był wtedy wysłannikiem zaufanym Deputacji paryskiej, a więc odłamu emigracji pokrewnego Sułkowskiemu. Oczywiście byłoby znacznem ułatwieniem dla krytyki historycznej, gdyby się zachował list Sułkowskiego. Można natomiast nie gubiąc się w pustych dociekaniach twierdzić z dużem prawdopodobieństwem, że Ogiński niczego w przytoczonych słowach nie zmieniał, a zapewne nie uczynił tego i wydawca jego pamiętników. Jakkolwiek bądź, chociażby kto uważał dokument ten za apokryf, nie mógłby mu odjąć jego historycznego znaczenia w legendzie napoleońskiej. Przesuwając datę jego znajomości a tem samem i wpływu z końca XVIII. na lata trzydzieste czy czterdzieste minionego wieku; lata rozkwitu legendy napoleońskiej. Oczywiście takie ograniczenie byłoby dla waloru tego dokumentu dotkliwe ale i tak nie zniweczyłoby go w zupełności.

Nie można bez pewnych zastrzeżeń dać wiarę i tradycji, która mówi więcej jeszcze niźli o patriotyźmie Sułkowskiego, o płomiennych jego uczuciach dla republikańskich idei wolności i demokracji, co miało być powodem wysłania go na śmierć przez dążącego do absolutyzmu Bonapartego. Przekazał tę tradycję również Sant Albin. Opowiada on rozhoworach Sułkowskiego z podobnym mu zapaleńcem generałem Joubertem zapewne na zamku w Mombello w okresie układów pokojowych po zawarciu rozejmu w Leoben. Miały one obracać się około zagadnienia, czy i jak należałoby naśladować Brutusa, gdyby nowoczesny Cezar miał zagrozić ustrojowi zrodzonemu z rewolucji. Tym Cezarem mógł zostać Bonaparte, który już zajął przodujące miejsce, usamodzielnił się i dwór miał na poły książęcy faktycznie władając Italią i którego też coraz więcej obawiał się ówczesny rząd francuski Dyrektoriatu. A Carnot, kierujący w Dyrektoriacie sprawami wojennemi, podobno czytając sprawozdania Sułkowskiego z kampanii włoskich wyraził się, że on byłby zdolny zastąpić Bonapartego, gdyby taka wynikła kiedyś potrzeba. Stąd zrodziła się wersja, jakoby podczas wyprawy do Egiptu Sułkowski został wysłany na śmierć przez wodza naczelnego, który chciał się pozbyć możliwego współzawodnika w komendzie. Saint Albin tego nie wymyślił, ale słyszał od ojca swego a może i Maleszewskiego czy córki Venture'a, towarzysza Sułkowskiego w wyprawie na Wschód a nawet związanego z nim pono węzłem rodzinnym. Bądź co bądź przytaczane rozmowy z Joubertem i opinia Carnot'a nie robią wrażenia dowolnego wymysłu. A bruliony projektów adresu do rządu, który miały wysłać wojska armii Włoch z wezwaniem do pognębienia większości ciał parlamentarnych jako reakcyjnych, wyjęte z papierów pozostałych po Sułkowskim także zasługują na uwagę. Wreszcie jest wyraźna wzmianka o wynurzeniach Bonapartego co do przyszłych swych zamiarów objęcia władzy we Francji po odczekaniu, aż rządy cywilne pogrążą się zupełnie w opinii swą nieudolnością i niemoralnością. Wynurzenia te miały

wzbudzić w Sułkowskim obawę o przyszłość republiki i wątpliwości, czy zamach stanu 18 fruktidora nie był fatalnym krokiem na tej drodze. Przed kim się tak zwierzał, tego Saint Albin nie mówi wyraźnie, ale oczywiście mógł to uczynić li tylko w bardzo zaufanym gronie ludzi bliskich mu przekonaniami. Ogiński do tego grona nie należał, bo byłby w pamiętnikach nie omieszkał obok innych szczegółów, dotyczących Sułkowskiego, nadmienić o tak znamiennych, za pobytu w Paryżu. W braku zaświadczenia ze strony tak poważnego obserwatora, nie przywiązując nadmiernej wagi do każdego słowa tych wypowiedzi, a przecież uznając naogół ich prawdziwość, trzeba stwierdzić, że staje się znowu wobec zagadek, których wykładnia może być rozmaita. I bodaj najprostszym ich rozwiązaniem jest domniemanie, że różne czynniki i wpływy zmagały się w duszy Sułkowskiego a jego postępowanie było ich wypadkową, zaczym nie nazbyt prostolinijne i zgodne z głoszonymi zasadami. Zresztą czyliż nie był niewolnikiem przemożnej konieczności tułaczej i wszak służba nie drużba. Należy mieć na uwadze także jeszcze jego niedojrzałości, którą nawet prof. Askenazy dostrzega.

Tak tłumaczy się, że mimo podzielonych z Joubert'em obaw i zastrzeżeń wobec możliwości wzniesienia się cezaryzmu Bonapartego był jego nie tylko wojennym narzędziem niezrównanym ale sprawnym i w polityce nawet nikczemnej. Można w nim widzieć ideologa naiwnego i szczerego i przyrównać go do Saint Justa albo do kasztelanica Edwarda Dembowskiego, którzy, pierwszy za wielkiej Rewolucji, drugi w półwieku później przed wiosną ludów, płonęli nienawiścią do swego stanu szlacheckiego. Wszystkich trzech cechą była bezinteresowność. Tylko że Saint Just bez skrupułów posługiwał się gilotyną, a Dembowski wzdrygnął się przed rabacją, zaś Sułkowski zamach stanu fruktidora przygotowywał na odległość, jednak prowokacją wobec Wenecji sam uprawiał i sam przeprowadzał na niej egzekucję, w czym była i zemsta za doznaną obelgę od rządzącej oligarchii. Przypadła mu rola, którą piętnował u zaborców swojej ojczyzny. Bądź co bądź nie wiadomo, by szukał osobistych zysków, chociaż jako adjutant należał do „domu" naczelnego wodza i miał wiele sposobności zbogacenia się, do czego zachęcał przykład towarzyszów broni pławiących się po zakończeniu kampanii w zbytku i użyciu. Bonaparte wtajemniczał go, tak w Monbello w trakcie układów pokojowych jak w Paryżu, w swoje plany wojenne, lecz przy wszystkiej poufałości miał się na ostrożności dostrzegając niewątpliwie wewnętrzne opory u Sułkowskiego i przez wywiad mając doniesienia o jego dawniejszych związkach z Carnotem i świeżych z Joubert'em. Pociągał go jednak z sobą na Wschód wspaniałą perspektywą sławy i przygód znając jego górną ambicję i zamiłowanie, namiętność podróżowania, dziedzictwo krwi nomadów po matce Węgierce a rozwinięte w ciągłych wędrówkach od lat najmłodszych ze stryjem księciem Augustem. Jakoż Sułkowski zapominał o Polsce, przestał troszczyć się o przyszłość swej przybranej ojczyzny Francji, tak go pochłaniała światowego znaczenia w swych założeniach idea wyprawy na Wschód, nad której urzeczywistnieniem współpracował z Bonapartem, bliski mu i zaufany jak nigdy dotąd. Tak też było, i więcej jeszcze, w toku działań wojennych, czy na Malcie, czy przy dobywaniu Aleksandrii, czy w marszu przez

pustynię, czy w bitwie pod Piramidami, czy w pościgu za cofającymi się mamelukami (ku Syrii), czy wreszcie podczas powstania Kairu. W tej gorączkowej działalności jedyną przerwą była rekonwalescencja z licznych ran, kiedy miał możność mimo pracy literackiej zadumać się i nad swoją przyszłością, myślą wrócić do ojczyzny, do niemających się ziścić planów służby dla niej, które zdały się już tylko dalekim, ginącym echem minionego życia. Bo oto po zniszczeniu floty francuskiej pod Abukirem armia Wschodu znalazła się jakby w grobie. Ażeby nie poddać się beznadziejnej rozpaczy, starano się oszołomić niestrudzoną czynnością. I dlatego Sułkowski (rozumiejąc zresztą całą grozę chwili) zgłosił się lubo z ran niewyleczony i cały w bandażach, do służby. Od jego zorientowania się w położeniu miało zależeć wydanie rozkazów artylerii okolicznej.

Może w tej chwili powodowała nim i chęć oszczędzenia uwiedzionych do buntu fellachów, których nędzny los przypomniał mu niedolę obżałowanego niegdyś chłopa polskiego. Rycerski swój animusz czy zaczerpniętą z Russa wiarę w przyrodzoną dobroć ludzi nieskażonych cywilizacją opłacił życiem. Rozszarpała go oszalała fanatyzmem tłuszcza.

Niedorzecznym jest podejrzenie, że gest wschodni, jakim miał być odprawiony, oznaczał przeznaczenie na śmierć. Napoleon dla przejednania krajowców przyswajał sobie wiele z nich cech zewnętrznych a nawet przejął się ich fatalizmem, ale jakże musiał być daleki od myśli zatracenia wtedy, w chwili największej potrzeby, nie dającego się nikim zastąpić, nieocenionego adjutanta. Toteż szczerze bolał nad jego stratą i nieraz go wspominał z żalem. Bo w całej późniejszej dziejów swoich epopei nie miał już nigdy wśród ciżby otaczających go oficerów wszelkich stopni łączącego w takiej mierze, jak Józef Sułkowski, nienaganne męstwo z inteligencją równie wszechstronną i świetną. Według niego sądził o wojskowych zaletach narodu, co nie było bez znaczenia dla przyszłych losów Polski.

Źródła i literatura

J. Sułkowski. Mémoires historiques, politiques et militaires... par Hortensius de St. Albin (Paryż 1832).

Przekład w wyd. Żupańskiego Pamiętników XVIII w. i poprawny Truchimowej (tylko „Szczegółów" z r. 1792).

Mémoires de Michel Ogiński (Paryż - Genewa 1826), (także w przekładzie niemieckim i polskim w wyd. Żupańskiego).

A. Skałkowski: Les Polonais en Egypte (Kraków 1910).

Szymon Askenazy: Napoleon a Polska (Warszawa — Kraków 1918/1919).

Amilkar Kosiński we Włoszech (Poznań 1877).

A. M. Skałkowski: Rodowód Józefa Sułkowskiego i jego listy młodociane (Poznań 1934).

Marcel Reinchard: Avec Bonaparte en Italie d'après les lettres inédites de son aide de camp Joseph Sułkowski (1946).

Dr Ludwik Bykowski
Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

O REHABILITACJĘ KOMEŃSKIEGO

Światowej sławy teoretyk wychowania nowożytnego Jan Amos Komeński, którego przez szereg lat rozwijał najbardziej twórczą działalność teoretyczną i praktyczną w Polsce, w szczególności w wielkopolskim Lesznie, mimo całego uznania dla jego pomysłów, twierdzeń i teorii naukowych, spotkał się w ostatnich latach przed wojną z nader surową oceną charakteru, dyskwalifikującą go moralnie z uwagi na etykę społeczną. Zwłaszcza namiętnie kwestię tę ujęto właśnie w Lesznie, a skutkiem tych ataków była zmiana nazwy gimnazjum ogólnokształcącego, które z dawna miało go za świeckiego patrona i nosiło jego imię. Zarzucono mu wprost „zdradę Polski" na rzecz Szwedów.

Już dawniej historycy wychowania krytycznie oceniali jego czynne wmieszanie się do walk polsko-szwedzkich. Ujemnie ocenia jego stanowisko F. Majchrowicz, mówiąc, że „Bracia Czescy z Komeńskim na czele, stanęli ze swymi sympatiami po stronie wroga Polski, a Komeński okazał się do tego stopnia niewdzięcznym względem narodu, który mu w szlachetnej tolerancji ofiarował u siebie przytułek, że powitał króla szwedzkiego, Karola X osobiście w obozie i napisał na cześć jego niesmaczny panegiryk". Jeszcze surowiej może osądza go A. Danysz, stawiając wprost zarzut zdrady na niekorzyść Polski i podnosząc, iż nawet przychylny mu historyk Gindely w drugim wydaniu swej rozprawy w r. 1892 zmienił swe dawniejsze zapatrywanie. Sprawa odżyła i zaogniła się znowu w związku z nieporozumieniami polsko czeskimi w Cieszyńskim, w których obie strony nie były bez winy. W każdym razie to zdyskwalifikowanie moralne Komeńskiego, jednego z największych uczonych i pisarzy czeskich, którego imię nosi Uniwersytet w Bratysławie, dotkliwie odczuli nawet nasi szczerzy przyjaciele wśród Czechów, jak prof. Jan Uher, w czasie wojny stracony przez Niemców, albo prof. Maksymilian Kolaja, kurator studenckiego stowarzyszenia Polaków w Bernie Morawskim. Obaj oni w prywatnych rozmowach ze mną dawali wyraz swym uczuciom, jakkolwiek powstrzymali się od jakichkolwiek występów publicznych w druku.

Uważam, że sprawę należy traktować rzeczowo, „sine ira et studio", w oderwaniu od aktualnych animozyj, narodowych czy państwowych sympatii lub niechęci, nie wiązać zwłaszcza z tendencjami bieżącej polityki, a mieć na oku jedynie czystą prawdę i sprawiedliwość.

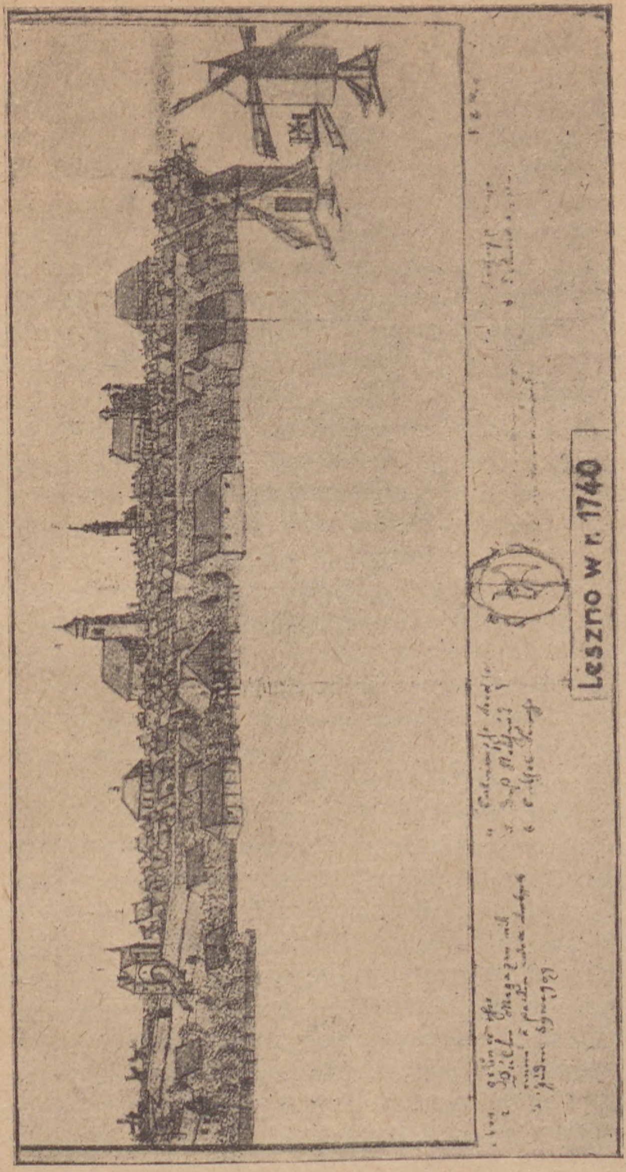
Przedewszystkim ważniejsze szczegóły biograficzne, nieobojętne dla naszego zagadnienia. Urodził się 28. III. 1592 r. we wsi Niwnicy pod Węgierskim Brodem na Morawach, jako syn miejscowego młynarza. Nazwisko Komensky jak i zlatynizowanie Comenius „oznacza, że przodkowie jego pochodzą z miejscowości Komna, miasteczka również położonego na Morawach". Był więc Czechem i to uświadomionym narodowo Czechem, miłującym swą ojczyznę, w której żył i pracował, póki to było możliwe, do której tęsknił w latach tułaczki mimo materialnego powodzenia. Jednym z dowodów jego narodowych uczuć była żmudna, lat 44 prowadzona praca nad wielkim słownikiem języka cze-

skiego, która, kiedy już była w druku pt. „Linguae bohemicae thesaurus", zginęła w czasie pożaru Leszna po zdobyciu go przez wojska polskie w r. 1656.

Po odbyciu studiów w miejscowej szkole łacińskiej, a z kolei na teologii w kalwińskich uniwersytetach niemieckich w Herbornie i Heidelbergu, powrócił na Morawy i rozpoczął pracę nauczycielską i kaznodziejską najpierw w Przerowie, potem w Ołomuńcu i Folnecku, który to okres uważał na najszczęśliwszy w swym życiu. Niestety niedługo danym mu było pracować na ziemi ojczystej.

Drugi fakt zasadniczego znaczenia, to jego przynależność do tzw. „Jednoty Braci Czeskich". Była to sekta religijna wywodząca się z husytyzmu, która wprawdzie pierwotnie próbowała zjednoczyć „zasady katolicyzmu z zasadami husyckich utrakwistów", ale wówczas zbliżyła się znacznie do protestantyzmu, najbardziej do wyznania helweckiego czyli kalwinizmu. To zadecydowało najpierw na wyborze uniwersytetów protestanckich, tym bardziej, że postanowił zostać duchownym swego wyznania i po ukończeniu studiów rzeczywiście rozwinął żywą działalność w tym kierunku i w końcu osiągnął wysoką godność biskupa.

Ale ta jego żarliwość religijna w duchu protestanckim miała też decydujące znaczenie w jego życiu osobistym, tak prywatnym jak społecznym. Na podłożu religijnym wybucha i toczy się długotrwała i krwawa wojna 30-letnia. W r. 1621 jej groza dotknęła bezpośrednio samego Komeńskiego. Korpus hiszpański spalił Fulneck, a Komeński stracił po raz pierwszy cały swój majątek i cenną bibliotekę, oraz rękopisy. Rozpoczęło się w krajach habsburskich prześladowanie protestantów, więc i Braci czeskich, wskutek którego około 30.000 rodzin, w tym wszyscy duchowni, poszło na tułaczkę. Czas jakiś znalazł K. schronienie w rodzinie czeskiego magnata Karola Sadowskiego w Słupnie w Górach Czeskich, gdzie rozwinął żywą działalność literacką pisząc oryginalne poematy religijne i satyryczno-filozoficzne oraz tłumacząc klasyków rzymskich i psalmy Dawidowe. Gdy jednak rozkaz cesarski z 1627 roku po rozgromieniu Czechów pod Białą Górą skazał na wygnanie wszystkich protestantów, więc i zwolenników „Jednoty", nie wyłączając, jak dotychczas, szlachty, Komeński z całą gromadą swych współwyznawców w lutym następnego roku, opuścił ojczyznę, by nigdy już do niej nie wrócić. Bracia Czescy przeszli Śląsk i osiedli się w Wielkopolsce wzdłuż zachodniej jej granicy. Sam K. zamieszkał w Lesznie, dokąd wybrał się po raz pierwszy już w r. 1625 w przewidywaniu katastrofy i uzyskał poparcie magnackich rodzin dysydenckich, a zwłaszcza Leszczyńskich, którzy udzielili przybyszom pozwolenia na osiedlenie się. Owszem protektor jego Rafał Leszczyński zamianował go nauczycielem, a z czasem i kierownikiem szkoły, zwanej gimnazjum, a później i akademią. Początkowo uważał on pobyt swój w Lesznie za tymczasowy, gdy jednak pokój westfalski w r. 1648 swą nietolerancyjną zasadą „cuius regio, eius religio" zniweczył na stałe wszelkie nadzieje powrotu do ojczyzny, K., którego sława rozeszła się po całej prawie Europie, mimo licznych zaproszeń i wyjazdów do krajów protestanckich dla celów naukowych oraz organizacji szkół, wrócił znów do Leszna, gdzie „Bracia" obdarzyli



Widok Leszna z XVIII wieku

go godnością biskupa. Ogółem przeżył K. w Polsce lat 28 wliczając w to i jego podróże dalsze dla organizacji szkół wedle własnego systemu i propagowania nowych metod nauczania.

Pierwszy okres jego działalności w Lesznie obejmujący lat 12 jest najbogatszy w jego twórczości naukowej. Tu powstał pierwszy szkic jego „Wielkiej Dydaktyki" wydanej ostatecznie w Amsterdamie w roku 1657, tam też powstała w r. 1631 „Janua linguarum reserata" (Brama języków otworzona), „która przetłumaczona na wszystkie języki cywilizowanej Europy i na kilka

azjatyckich, rozniosła imię Komeńskiego po całym świecie". Praca nie była wolna od wad i sam autor rychło uznał potrzebę jej poprawy, uproszczenia i skrócenia.

Mecenasów i opiekunów łożących na wydanie dzieł znajdował K. w różnych krajach, dokąd go też zapraszano na dłuższy lub krótszy pobyt. Wezwany został do Anglii, gdzie parlament wyznaczył mu specjalną dotację i powierzyć zamierzał kierownictwo jednego z kolegiów, zamieszki wewnętrzne przekreśliły dalszą pracę, a reformę przeprowadził przyjaciel jego Hartlib. Zaproszony przez Fancję i Szwecję wybrał tę ostatnią, gdzie znalazł wielbiciela w kanclerzu Oxenstiernie, zwanym „Orłem Północy". Wnet jednak znów wrócił do Polski i rozpoczął pracę w Elblągu, gdzie ułożył najważniejsze swe dzieło naukowe „Didactica Magna" (Wielka Dydaktyka). Bawił też u Rakoczego w Siedmiogrodzie.

W Polsce znalazł możnych opiekunów nie tylko wśród dysydentów. Po śmierci Rafała Leszczyńskiego, wojewody bełzkiego, opiekuje się nim dalej syn jego Bogusław mimo, iż wrócił na łono kościoła katolickiego. Mimo zaproszeń ze strony Janusza Radziwiłła nie wybrał się na Litwę, pracując w Elblągu za zachętą Oxenstierny i przyjaciela Wawrzyńca de Geera, kupca holenderskiego, prowadzącego wielkie -przedsiębiorstwa handlowe w Norköping w Szwecji. Natomiast odmówił stałego osiedlenia się w Szwecji w celu reformy szkolnictwa, zaprosił natomiast pedagogów szwedzkich do Leszna, by tam naocznie poznali jego system. Zniechęcony bowiem do Elbląga powrócił do Leszna. Dokuczały mu spory między przyjaciółmi i mecenasami Hartlibem i de Geerem co do kierunku jego pracy, czy ma dalej zajmować się dydaktyką, czy „pansofią' filozoficzną encyklopedią. Wreszcie wybuchł ostry zatarg z de Geerem w r. 1645, na zupełnie innym tle. Komeński chciał wziąć udział w „Colloquium charitativum", które król Władysław IV Waza zwołał do Torunia, aby doprowadzić do porozumienia między katolikami a dysydentami, tymczasem Geer zakazał uczestnictwa, grożąc wprost wstrzymaniem zasiłków na prace naukowe dla niego i dla pomocników. Prawdopodobnie wchodziły tu w grę tajne wpływy masonerii, której zależało na rozbiciu ideowym i osłabieniu katolickiej Polski. Ostatecznie konflikt ten na parę lat załagodził się, Komeński przedstawił swe prace dydaktyczne specjalnej komisji szwedzkiej, gdy jednak prace przeciągnęły się poza ułożony termin 4 lat, ustały subwencje i Komeński popadł w nędzę i w r. 1648 wrócił do Leszna, gdzie wnet wydał kilka książek bądź nowych bądź przerobionych z zakresu dydaktyki.

W tym czasie poznajomił się on z wojewodą poznańskim Krzysztofem Opalińskim, który postanowił u niego wydrukować swe „Satyry". Poznawszy zasady nauczania głoszone przez Komeńskiego, Opaliński zaprosił go do swej rezydencji Sierakowa i powierzył mu organizację trzyklasowego gimnazjum. Przysłany do Leszna rektor zaznajomił się dokładnie z systemem i w ten sposób gimnazjum sierakowskie Opalińskiego „jest pierwszą szkołą założoną na zasadach dydaktyki Komeńskiego".

Sława jego rozeszła się i na południe, dokąd przenieśli ją rozproszeni po świecie „Bracia Czescy".

Wezwany przez księcia Rakoczego do Szaroszpatak, nie tylko stworzył tam gimnazjum, którym kierował osobiście przez lat cztery, ale opracował nowy podręcznik pt. „Orbis sensualium pictus" (Świat zmysłowy w obrazach) wydany w r. 1658 p Norymbedze. Książeczka ta ilustrowana miała mu przynieść jeszcze większą sławę i znalazła szerokie i długotrwałe rozpowszechnienie, a w swych odmianach i przeróbkach służyła aż do XIX stulecia. Zasadniczo miała ona uczyć praktycznie języka łacińskiego dla celów bieżącego życia, opierała się na obrazkach, często bardzo niedoskonałych, ale pomysłowych i unaoczniających wiadomości, co było zupełną i rewolucyjną nowością wobec dawnych metod wyłącznie słownych i pamięciowych. Tu treść każdego ustępu zawierała opis i wyjaśnienie wszystkich szczegółów przedstawionych na rycinie. Ponadto tekst nie ograniczał się do języka łacińskiego, o który głównie chodziło, ale podawał tłumaczenia w języku ojczystym uczniów, a nieraz i innych nowożytnych. Nawet poszczególne litery wywodzono z obrazków, na których przedstawione istoty wydają odpowiednie głosy. Tak np. literę B ilustrowała owca, która „beczy be, be", D znów było obok dudka, który „woła" du, du", zaś E koło dziecka, które „płacze (eiulat po łacinie) e, e" itp.

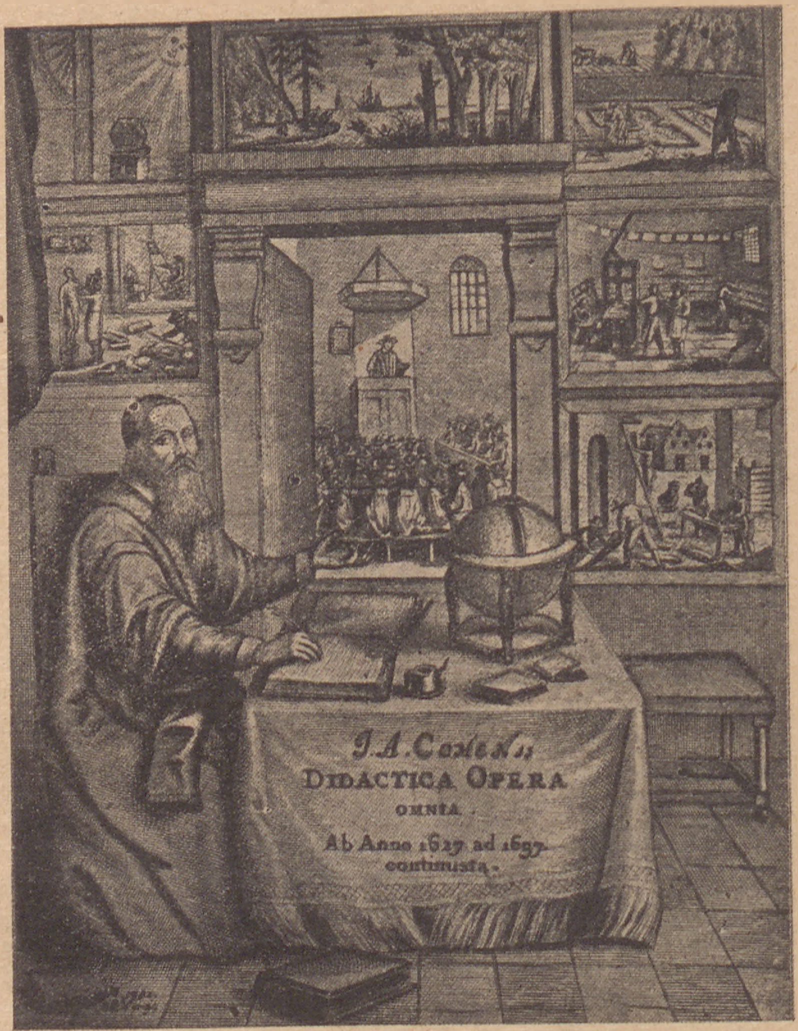
Pierwszy polski przekład tego podręcznika wyszedł w 1667 r. we Wrocławiu razem z tekstem łacińskim i niemieckim. Tłumaczem był Maciej Dobracki. Późniejsze wydania zależnie od mody zamiast tekstu niemieckiego dawały francuski, albo i oba, rzadziej ograniczano się do tekstu łacińskiego i polskiego. Łacina w każdym razie była uprzywilejowana, do niej dodawano komentarze i pewne reguły gramatyczne.

W r. 1654 wrócił Komeński znowu do Leszna. W roku następnym wybuchła wojna szwedzko-polska, której on bardzo sobie życzył, widząc w niej korzyść dla reformacji i protestantów. Leszno za jego namową poddało się Szwedom, a on sam powitał osobiście króla Karola Gustawa i napisał na jego cześć panegiryk.

Czy można się temu dziwić, czy należy potępiać i zarzucać niewdzięczność wobec gościnnej Polski, a nawet zdradę?

Nie sądzę. Przecież nie był on Polakiem, ale Czechem, był ewangelikiem i „łudził się, że zwycięstwo Karola Gustawa zapewni w Polsce panowanie protestantyzmu". W tych smutnych czasach wszyscy innowiercy bez różnicy wyznania, nie tylko mniejszości narodowe — jakbyśmy dziś powiedzieli — po miastach opowiedzieli się za Karolem Gustawem, ale i rdzenni Polacy — katolicy o historycznych tradycjach. Poddaje się Szwedom nie tylko kalwinista Janusz Radziwiłł w Kiejdanach, ale i szlachta wielkopolska zebrana jako pospolite ruszenie pod Ujściem pod wodzą swych wojewodów poznańskiego Opalińskiego i kaliskiego Grudzińskiego, katolików i magnatów, poddaje się haniebnie bez oporu, bez walki, „bez jednego wystrzału". Po nich poddają się kolejno inne województwa, za Karolem Gustawem opowiada się niemal cała magnateria i olbrzymia większość szlachty. Do wyjątków należy kasztelan kijowski Stefan Czaniecki. Jan Kazimierz opuszcza Polskę. Szwedzi rozlewają się po całej Polsce za wyjątkiem ziem wschodnich, po których znów hulają kozacy. Po poddaniu się Krakowa i kapitulacji Czarnieckiego prze-

ciwstawiają się najeźdźcy wolne oddziały drobnej szlachty i lud wiejski, zwłaszcza w górach i na Podhalu. Nie można tu mówić o walce Szwedów i Polaków, lecz raczej walce dynastyj i monarchów. Następstwo to przede wszystkim upadku duchowego szlachty, ale i błędów politycznych Jana Kazi-



Komeński przy pracy
w.g dawnego sztychu

mierza, jego wybuchowości i ciasnoty horyzontów. Dopiero straszne rządy Szwedów, a zwłaszcza ich zamach na Jasną Górę, zwycięsko odparty przez garstkę obrońców pod wodzą niezłomnego księdza Kordeckiego, wstrząsa sumieniem narodowym i porusza ogół do zwycięskiej walki na śmierć i życie, walki idei.

Czy na tym tle można stawiać te ciężkie zarzuty Komeńskiemu? Jego polscy opiekunowie i przyjaciele, (Opaliński, Radziwiłł) opowiedzieli się za Karolem Gustawem, wznosili na jego cześć toasty, dlaczegoż on przybysz i obcokrajowiec miał być większą patriotą od tych rdzennych Polaków, z których większość nie mogła się nawet na sentymenty religijne powoływać, bo była przecie katolicką. Piętnujemy ich jako odstępców sprawy narodowej i prawdziwego Króla za pójście w służbę najeźdźcy, inicjatorów i kierowników tych poczynań Radziejowskiego, Opalińskiego i Radziwiłła uważamy za zdrajców Rzeczypospolitej. Najwinniejszym był podkanclerzy Radziejowski, który dla prywaty stał się sprzedawczykiem Ojczyzny i naprowadził wrogów. Innym musimy wybaczyć to załamanie duchowe czy zwątpienie chwilowe, czy może błędną orientację polityczną, bo nie było tam złej woli ani niskich pobudek. Mylili się i łudzili nawet najwięksi, jak bohater narodowy i obrońca chrześcijaństwa późniejszy król Jan Sobieski, który wonczas jednak oświadczył się za Karolem Gustawem. A jeśli ich wszystkich rozgrzeszamy i rozgrzeszyć musimy, to tym bardziej musimy być sprawiedliwi i wspaniałomyślni, wobec cudzoziemca, który nie dla interesu lecz dla idei, acz z naszego stanowiska i religijnie i politycznie błędnej takie, a nie inne stanowisko zajął, a przy którym trwał mimo zmiany losów.

Ale z drugiej strony nie możemy się dziwić, że po gwałtach i zbrodniach, jakich dopuszczali się Szwedzi, społeczeństwo polskie odniosło się wrogo do tych, którzy związali się z najeźdźcą i zmusiło do opuszczenia kraju nie tylko Braci Czeskich, ale i Polskich Arian, o ile nie chcieli wrócić do kościoła katolickiego. Los ich podzielić musiał i Komeński. Przez to wcale nie sprzeniewierzyliśmy się zasadzie tolerancji, ogół innowierców pozostał.

Nie może też stawiać zarzutu barbarzyństwa naszym żołnierzom, że nie uszanowali mienia i biblioteki uczonego, ani jego rękopisów. Zapewne Komeński boleśnie odczuł utratę własnego domu, a tym bardziej cennej biblioteki, zbieranej przez szereg lat, oraz rękopisów prac naukowych, wśród nich dzieło pt. „Pansophia", obejmującego całokształt wiedzy ludzkiej, oraz wielkiego słownika łacińsko-czeskiego i czesko-łacińskiego, nad którym pracował od młodości. Trzeba pamiętać, że Leszno zostało wzięte szturmem, w ogólnym pożarze spłonął też dom Komeńskiego ze zbiorami prócz kilku pism, jakie zdołał zakopać, na co żali się w swej broszurce pt. „Excidium Lesnae". Jakże to dalekie od planowego niszczenia bibliotek i rękopisów naszych, dokonywawanego na zimno i systematycznie w czasie ostatniej wojny nie przez roznamiętnionych walką żołnierzy, lecz przez cywilnych wielkorządców niemieckich, prawników, odznaczonych tytułami naukowymi, i to powszechnie na całym obszarze włączonym do Rzeszy. A ilu uczonych naszych stracono lub w wyrafinowany sposób zamęczono w obozach koncentracyjnych, jak zresztą i profesorów czeskich, choć Czesi nie stawiali przecie zbrojnego oporu.

Komeński jednak uszedł z życiem i przez Szczecin i Hamburg podążył do Amsterdamu, dokąd go zaprosił Wawrzyniec de Geer, syn jego dawniejszego opiekuna. W dostatkach i poważaniu pędził tam ostatnie lata swego długiego żywota, opiekując się materialnie swymi rozprószonymi po świecie współwyznawcami. W r. 1657 wydał tam ogromny tom zbiorowy in folio swych pism

dydaktycznych pt. „J. A. Comenii Opera didactica ab anno 1627 ad 1657 continata, Variis hucusque occasionibus scripta diversisque locis edita: nunc autem in unum, ut simul sint collecta, sed et ultimi conatu in Systema unum mechanica contracta redacta". Amsterdami, 1657. Umarł tamże w r. 1671.

Co do zarzutu niewdzięczności wobec Polski, która gościnnie przyjęła jego i jego wygnanych współwyznawców, to sprawę tę należy oceniać inaczej. Przyjęty w Lesznie, nie był on tam, ani gdzieindziej pasożytem, ani pieczeniarzem czy rezydentem na łaskawym chlebie. Pracował uczciwie i gorliwie nad organizacją szkolnictwa nauczaniem i młodzieży nie tylko czeskich emigrantóów, ale przede wszystkim polskiej i dla tej ostatniej opracowywał postępowe, jak na owe czasy, podręczniki, na których kształciły się owocnie liczne pokolenia długo po opuszczeniu przezeń Polski. Sam on wyraźnie powiedział, że „obowiązkiem wdzięcznego gościa jest zrównoważyć dobrodziejstwa gościnności jakimi się da usługami", a będąc przekonany, że słabe postępy naukowe młodzieży są następstwem wadliwego systemu nauczania, przystąpił do opracowania potrzebnych podręczników i rzeczywiście wypełnił dotkliwą lukę w tej dziedzinie. Nie tylko więc spłacił dług wdzięczności gościnnemu Lesznu i jego panu, a swemu opiekunowi wojewodzie Rafałowi Leszczyńskiemu, ale przysłużył się w ogóle szkole i młodzieży polskiej. O tym powinniśmy pamiętać. W Lesznie jest dość szkół, by cząc pamięć Komeńskiego i nie zapominać też o wysoce zasłużonych Leszczyńskich, a zwłaszcza o królu Stanisławie, który tyle działał dla dobra narodu nawet na dalekiej obczyźnie, a w szczególności organizując Akademię Rycerską w Luneville powinien wejść do historii wychowania i szkolnictwa, czemu niestety nie czynią zadość dotychczasowe podręczniki nawet tej miary, co prof. S. Kota. Niestety dotychczas nie doczekał się on naukowego opracowania swej działalności na tym polu, do czego w pierwszym rzędzie powołani są młodzi historycy wywodzący się z Leszna.

Ale to zadanie na przyszłość. Bliższe i łatwe zadanie to oddanie sprawiedliwości przybyszowi, który, moim zdaniem, zasługuje na rehabilitację i mimo swych błędów politycznych nie powinien być wykreślany z pamięci i listy zasłużonych nie tylko dla Europy, ale i Leszczan.

Dr Adolf Chybiński
Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

WACŁAW Z SZAMOTUŁ
(zm. 1572)

„...patriam suam, oppidum Samotuli, nobilitavit".
(Szymon Starowolski)

Gdy czynimy przegląd najwybitniejszych postaci w polskiej twórczości muzycznej XVI wieku, „złotego wieku literatury", zauważamy, że, jakkolwiek Kraków był wówczas dzięki dworowi królewskiemu i katedrze wawelskiej, a poniekąd i uniwersytetowi, muzyczną stolicą Rzeczypospolitej, to jednak niemal wszyscy wybitni i najwybitniejsi nasi ówcześni twórcy muzyczni — poza znakomitym Mikołajem z Krakowa, tworzącym w trzydziestych i czterdziestych latach — pochodzili z poza Krakowa. Już wiek XV wydaje wielkiego twórcę, największego w owych czasach kompozytora słowiańskiego, Mikołaja z Radomia (ok. 1430), nazywanego wówczas również Radomskim. W Krakowie działał w pierwszej połowie XVI wieku Jerzy Liban z Lignicy (zm. 1544), teoretyk i kompozytor; kresy zaś wschodnie reprezentował Sebastian z Felsztyna (zm. ok. 1544), również teoretyk i kompozytor. Dodać tu możemy jeszcze teoretyka Marcina Kromera z Biecza. Na pierwszego dyrygenta założonej w r. 1543 kapeli rorantystów na Wawelu powołał król Mikołaja z Poznania. W tym czasie bawi w Krakowie kompozytor Krzysztof Borek (z Borka). Wybitnymi organistami katedry wawelskiej byli kolejno: Mikołaj z Chrzanowa (od r. 1518—1555) i Marcin z Jędrzejowa, ten ostatni po r. 1555. W drugiej połowie XVI wieku twórczość muzyczną polską reprezentowali w Krakowie: Cyprian Bazylik z Sieradza (wydający w Krakowie od r. 1556 swe pieśni), Marcin Wartecki (z Warty ok. 1564—1568), Mikołaj Gomółka z Sandomierza od r. 1545, Marcin Leopolita ze Lwowa (zm. 1589) i Tomasz Szadek (z Szadka, zm. ok. r. 1611). Tym zaś, który przed i po r. 1550 zajmował wśród nich jedno z najwybitniejszych, jeśli wogóle nie najwybitniejsze miejsce, i który w najwyższym stopniu przyczynił blasku i chwały muzycznej Krakowowi, był Wielkopolanin: Wacław z Szamotuł, zmarły w r. 1572. Nie wymieniamy tu muzyków obcego pochodzenia: głównie Włochów, Flamandczyków i Niemców. Ale i wśród owczesnych w Krakowie muzyków polskich, posiadających mniejsze już znaczenie, stanowili przeważającą większość ci, którzy pochodzili z poza stolicy Rzeczypospolitej, przyjmując zwykle jej obywatelstwo.

Wszyscy ci muzycy, prawie wszyscy kompozytorowie, byli jednak związani z Krakowem, bądź ze względu na swe studia muzyczne, bądź też z powodu swych zajęć muzycznych na dworze królewskim lub w katedrze wawelskiej, albo i poza niemi. Albowiem tylko Kraków posiadał wówczas warunki, dzięki którym muzyk polski (niekiedy i obcy) mógł być należycie przygotowanym do zawodu kompozytorskiego, o ile nie kształcił się za granicą.

W Krakowie mógł liczyć na pełny rozwój swego talentu i swej wiedzy muzycznej w świetle prądów zachodnich i południowych, których odbiciem był repertuar kapel na dworze królewskim i w katedrze wawelskiej, a nie mniej muzykalia w posiadaniu czy muzyków czy księgarń, jak tego dowodzą choćby wydane ich inwentarze. W Krakowie mógł zbliżyć się do muzyków obcych na dworze królewskim i poza nim. Tu mógł liczyć na zrozumienie ze strony sfer najoświeceńszych, humanistycznych, tak duchownych jak i świeckich. Tu wreszcie mógł znaleźć odpowiednie dla swego talentu zajęcie muzyczne, czy jako śpiewak czy jako instrumentalista lub kompozytor, i tu tylko mógł spodziewać się rozpowszechnienia lub nawet wydania swych utworów. Wiemy wprawdzie, że i poza Krakowem istniały pewne ośrodki muzyczne, przede wszystkim na dworach książąt i dostojników świeckich i kościelnych, posiadających za wzorem królewskim swe kapele muzyczne (np. kapela biskupia w Krakowie od XV wieku, kapela biskupia we Włocławku, kapela Radziwiłłów w Wilnie lub Zamoyskich); ale niestety nie posiadamy o nich prawie żadnych wiadomości (w dotychczasowym stanie badań), gdy tymczasem źródła do historii kultury duchowej ówczesnego Krakowa pozwalają nam dość dokładnie odtworzyć obraz jego życia muzycznego z czasów pobytu Wacława z Szamotuł, jednego z tych, którzy z całej Polski płynęli do Krakowa, zdając sobie sprawę z jego znaczenia dla muzyki polskiej, znaczenia wprawdzie nie dorównującego zachodnim metropolom muzycznym, ale w ówczesnej Polsce największego, prawie rzec można jedynego, wyłącznego.

I.

Jak układało się życie Wacława z Szamotuł, zanim przybył do Krakowa? — o tem nie posiadamy niestety żadnych wiadomości, mających wartość dokumentu historycznego, wytrzymującego krytykę. Informacja Szymona Starowolskiego („Hekatontas", 1625), jakoby Wacław w chwili śmierci, tj. w r. 1572, liczył lat 43, wobec czego musiałby się urodzić w r. 1529, okazała się przy konfrontacji z innemi datami z życia Wacława, błędna. Zdawano sobie już dawniej sprawę z tego, że datę tę należy przesunąć wstecz. Ale i rok 1525 jako data urodzin Wacława budzi nieufność. Jeśliby prawdziwą miała się okazać wiadomość, że Wacław wydał swą pieśń w r. 1539, to musiałby wówczas liczyć lat 10 wzgl. 14... Wiemy, że Wacława przyjął król Zygmunt August do swej kapeli w dniu 6 maja 1547 roku[1]). Jest to pierwsza data udokumentowana[2]). W r. 1547 liczyłby Wacław zaledwie 18 wzgl. 22 lat. Czy mógł już wtedy stworzyć tyle i tak wybitnych utworów i osiągnąć tak wielkie poważanie i tak wielką sławę, aby móc być powołanym na dwór królewski w charakterze kompozytora („componista", „compositor cantus")? Wprawdzie w księdze marszałkowskiej dworu król. jest Wacław zaliczony do „adolescentes cantores"[3]), ale w owych czasach, jak wiadomo, nazywano „młodzieńcem" lub „młodym człowiekiem" każdego (zwłaszcza nieżonatego), kto był nawet starszym od młodego wówczas Wacława. Dlatego, sądzę, należy gwoli większej ostrożności uznać, że W a c ł a w z S z a m o t u ł u r o d z i ł s i ę m i ę d z y r. 1510 a 1520[4]).

Również o jego studiach ogólnych i muzycznych nie posiadamy żadnych wiadomości, których prawdziwość dałaby się udowodnić. Niewątpliwie pierwsze studia odbywał w szkole parafialnej w Szamotułach, pozostając pod opieką rodzicielską. Ale dowodu na to, że dalsze studiá odbywał w Lubranscianum w Poznaniu[5]), nie posiadamy. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że Wacław musiał odbyć studia średnie, ale nie wiemy gdzie i kiedy je odbywał. Relacja Starowolskiego, jakoby był uczniem w Glogovianum Gymnasium w Krakowie, nie znajduje żadnego dokumentarnego poparcia. Wątpliwości są uzasadnione głównie z tego powodu, że Starowolski w swym życiorysie Wacława („Hekatontas") zjednoczył w jego osobie — co już dawniej wykazano[6]) — kilku Wacławów z Szamotuł, którzy wcześniej i jeszcze później przebywali w Krakowie (poeta, prawnik, matematyk). Kwestią tą jednak nie mamy powodu się tutaj zajmować. Czy wpisany w semestrze letnim w r. 1538 na wydział nauk wyzwolonych w uniwersytecie krakowskim Wacław, syn Adama z Szamotuł[7]), jest identyczny z naszym Wacławem — trudno orzec z braku innych dowodów i wobec istnienia wówczas innych jeszcze Wacławów z Szamotuł. Humanistyczne zainteresowania Wacława, zwłaszcza jego pozytywne ustosunkowanie się do literatury łacińskiej i polskiej (poezje M. Reja i A. Trzycieskiego), dowodzą w każdym razie, że studia uniwersyteckie odbywał, a odbyć je mógł tylko w Krakowie. Dlatego — sądzę — ów Wacław, wymieniony w „Album studiosorum" w r. 1538, może być uznany za identycznego z naszym Wacławem, kompozytorem. (Nie posiadamy jednak dowodu ukończenia tych studiów).

Jeśli fakt ten uznany za wysoce prawdopodobny, to równocześnie przyjmiemy za niemniej prawdopodobne, że i studia muzyczne odbywał Wacław w Krakowie. Czy ówczesny Kraków, z lat trzydziestych i czterdziestych, mógł Wacławowi zapewnić pełnowartościowe studia kompozyji i u którego z muzyków mógł się uczyć przyszły kompozytor?

Kraków posiadał już w ostatniej ćwierci XV wieku wybitnych pedagogów kompozycji muzycznej, skoro w tym czasie mógł tam uzyskać należyte wykształcenie muzyczne Henryk Finck, jeden z najwybitniejszych kompozytorów niemieckich. Czy ta dobra tradycja przetrwała w głąb XVI wieku i kto mógłby wchodzić w rachubę jako nauczyciel Wacława z Szamotuł? Oczywiście nie Sebastian z Felsztyna, jak dawniej twierdzono bezpodstawnie, ten bowiem teoretyk i kompozytor już od dłuższego szeregu lat przebywał poza Krakowem (jako proboszcz w Sanoku[8]). Żył jeszcze wówczas Jerzy Liban z Lignicy, zm. w r. 1544, teoretyk i kompozytor[9]), ale jego zainteresowania zwracały się głównie w inne strony, czysto naukowe; był bowiem przede wszystkim filologiem, muzycznie zapewne już dawno nieczynnym. W trzydziestych i czterdziestych latach rozwijał swą działalność doświadczony kontrapunktysta i kompozytor Mikołaj z Krakowa, muzyk wszechstronny i autor dzieł kościelnych i świeckich (offitia, motety, pieśni religijne i świeckie, preludia, tańce[10])). Dobrym kontrapunktystą był organista (od r. 1519 do 1555) wawelski Mikołaj z Chrzanowa, kompozytor kościelny (motety) [11]), tworzący zapewne już od lat dwudziestych a w każdym razie w latach trzydziestych i później jeszcze. Młodszym od nich, ale już niezupełnie młodym,

był kompozytor mszy Krzysztof B o r e k (zm. 1557), niemniej dobry kontrapunktysta. Musimy jeszcze wspomnieć o ks. Janie W i e r z b k o w s k i m („Virbcovius"), kapelmistrzu królewskim[12]), który w tym właśnie charakterze był czynny również jako pedagog, według przyjętych wówczas powszechnie zwyczajów.

Wyliczając te nazwiska, w Krakowie najwybitniejsze w latach studiów Wacława, nie wymieniliśmy z pewnością wszystkich muzyków krakowskich, mogących wchodzić w rachubę jako nauczyciele kompozycji muzycznej, u których mógł się uczyć Wacław, z tem zastrzeżeniem, że o pobycie w Krakowie Mikołaja z Krakowa nie posiadamy żadnych pewnych wiadomości. Kwestia, kto mógł być nauczycielem Wacława z Szamotuł w latach trzydziestych i może z początkiem czterdziestych, pozostanie nadal zagadkową.

U kogokolwiek, by Wacław odbywał swe studia kompozytorskie — studia te nie mogły ograniczać się do nauki u pedagoga kompozycji. Do pełnowartościowego wykształcenia należało jeszcze z a p o z n a w a n i e s i ę z t w ó r c z o ś c i ą m u z y c z n ą r ó ż n y c h k o m p o z y t o r ó w p o l s k i c h i o b c y c h czy to przez słuchanie produkcji kapel, wykonujących ich dzieła, czy to przez ich poznawanie „na własną rękę", zwłaszcza dzieł obcych, flamandzkich, francuskich, włoskich czy niemieckich, przynoszących właśnie po roku 1530 tyle nowych form, nowych środków, nowych kierunków, choćby to były tylko dzieła religijne, interesujące może najwięcej Wacława, jako prawdopodobnie wyłącznie religijnego kompozytora.

Ujmiemy tę kwestię bardziej ogólnie zapytując: jakiego rodzaju muzykę mógł Wacław poznać w latach swych studiów muzycznych w Krakowie aż do czasu, gdy przez objęcie stanowiska w kapeli królewskiej w r. 1547 uzyskał możność jeszcze wszechstronniejszego zapoznania się z ówczesną muzyką? Nie posiadamy zbyt bogatych źródeł i zabytków, abyśmy mogli odpowiedzieć na to pytanie jak najdokładniej. Niemniej ogólny obraz sytuacji muzycznej w Krakowie, z lat trzydziestych i czterdziestych, można częściowo uzyskać na podstawie dwóch dość obszernych źródeł, jakiemi są dwie tabulatury organowe (Jana z Lublina i klasztoru św. Ducha)[13]) obejmujące mniejwięcej lata: 1537—1548, i wystarczająco wszechstronne, abyśmy je uznali za przekrój „repertoaru" muzycznego życia krakowskiego z tych lat, które nas tu najwięcej obecnie interesują.

Jest to repertoar muzyki religijnej i świeckiej, dawniejszej i nowszej, a przytem dość międzynarodowy.

Wielki mistrz n i e d e r l a n d z k i, największy twórca przed Palestriną i Orlandem di Lasso: Josquin de Prés (zm. 1521) zajmował wśród obcych kompozytorów religijnych w ówczesnym Krakowie pierwsze miejsce jako wzór, i to najdoskonalszy. Tabulaturzyści powracają raz wraz do jego dzieł. A sława jego nie ogranicza się do sfer muzycznych: wspomina o nim St. Orzechowski jeszcze w r. 1553[14]). Niederlandzcy następcy Josquina, jak Mikołaj Gombert i Filip Verdelot również przenikają do Krakowa jako twórcy motetów zwłaszcza po r. 1540.

Że religijne i kościelne dzieła kompozytorów n i e m i e c k i c h były w pierwszej połowie XVI wieku (i później również) popularne, w tem nie ma nic dzi-

wnego, jeśli sobie przypomnimy, że mieszczaństwo krakowskie było silnie przerośnięte jeszcze elementami niemieckimi, a w kościele N. P. Marii odbywały się kazania niemieckie do połowy XVI wieku; sporo muzyków pochodzenia niemieckiego przebywało w Krakowie. Nic więc dziwnego, że w cytowanych tabulaturach znajdujemy i religijne i świeckie dzieła (pieśni) licznych stosunkowo kompozytorów niemieckich, jak Henryka Fincka (wykształconego w końcu XV wieku w Krakowie), Ślązaka Tomasza Stoltzera, Szwajcara Ludwika Senfla (największego wśród nich), i innych, jak St. Mahu, P. Hofhaymera, Breitengassera, J. Bracka, M. Wolffa, P. Wüsta i zapewne innych jeszcze, spopularyzowanych przez obszerne zbiory drukowane pieśni niemieckich Ch. Egenolffa (1535), G. Forstera (1541) i innych. Rzecz jasna, że sfery dysydenckie zapoznały się z propagandowymi wydawnictwami, kancjonałami protestanckimi niemieckimi zawierającymi chorały luterańskie, jak wittenberski i erfurcki, jak kancjonały Kluga, Bluma, Schumanna, Bapsta itp.

Przenikała do Krakowa, zwłaszcza od czasów Bony, muzyka włoska, religijna (dzieła B. Tromboncina, zapewne i C. Festy), jak i świecka, w postaci willanell i madrygałów F. Verdelota, C. Festy, S. Festy itd. (od r. 1533). Nie były może poza kapelą królewską popularne religijne (kościelne) dzieła kompozytorów francuskich, ale ich pieśni rywalizowały z pieśniami włoskimi. Wystarczy wspomnieć o popularności, jaką cieszyły się (nawet w sferach zakonnych) szczególnie chansons Cl. Jannequina, ale również i P. Sandrina, Cl. Sermisy'ego rozpowszechniane w drukach paryskich (od r. 1529) P. Attaingnant'a.

Nie możemy pozostawić na uboczu i muzyki polskiej. Przyszłego pieśniarza, Wacława z Szamotuł, musiały interesować rozpowszechniane zrazu w odpisach, ale już od wczesnych lat trzydziestych w luźnych drukach proste pieśni religijne z polskimi tekstami. Spotykał się zapewne i z polskimi piosenkami tanecznymi, skoro te przenikały i do sfer duchownych. W odpisach krążyć mogły wśród muzyków krakowskich msze i motety, ale również i pieśni religijne i świeckie oraz utwory organowe Mikołaja z Krakowa i Mikołaja z Chrzanowa, zapewne i utwory kościelne starszego od nich Sebastiana z Felsztyna, niebawem wcielone do programu wawelskich rorantystów.

Tak przedstawiał się w najogólniejszych zarysach „repertoar" muzyczny ówczesnego Krakowa. Z chwilą, gdy Wacław należeć będzie do kapeli królewskiej, powiększą się znacznie jego możliwości poznawania muzyki zachodniej.

Przed rokiem 1547 stworzył Wacław zapewne już szereg wartościowych dzieł, skoro w dniu 6 maja 1547 r. został przyjęty na dwór królewski jako „cantor" (śpiewak) kapeli i jako „componista". Jego śpiewacze kwalifikacje nie musiały być szczególnie dobre, w przeciwieństwie do kompozytorskich. Już Orzechowski zauważył[13]), że Wacławowi „nie brakowało do najwyższej doskonałości sztuki niczego, prócz głosu". Podstawę do przyjęcia go w skład kapeli królewskiej stanowiły zatem jego dzieła. (Przypomina to podobną sytuację Palestriny w kapeli papieskiej). Przyjęcie do kapeli królewskiej w charakterze kompozytora dzieł (jeszcze nie wydanych) musiało nastąpić na podstawie autorytatywnej opinii, i to wydanej przez muzycznego urzędnika dworskiego, tj. kapelmistrza królewskiego. Był nim wówczas (conajmniej do

r. 1553) ks. Jan Wierzbkowski. Jakże bardzo kuszącą jest myśl, że przedstawiając królowi wartościowe kwalifikacje kompozytorskie Wacława, polecał kapelmistrz swego — ucznia! Ale brak na to wszelkich dowodów.

Z notatki w księdze wydatków dworu królewskiego na muzyków jest powiedziane, że Wacław otrzymywał wynagrodzenie „ut caeteri sacellani". Ostatni wyraz dał dawniej powód do przypuszczenia, że Wacław należał do stanu duchownego. Ponieważ jednak w innej księdze nazwisko jego figuruje wśród „nomina adolescentum cantorum", a nie wśród „nomina sacrificatorum", przeto wniosek prosty, że Wacław księdzem nie był. Tym bardziej nie był rorantystą, skoro członkowie kapeli rorantystów byli stanu duchownego, a w ich spisie z lat od r. 1543 nazwiska jego nie znajdujemy. Wacław był na prawach „sacellanów", tj. pobierał wynagrodzenie identyczne z ich wynagrodzeniem[16]). („Sacellanami" byli należący przeważnie do stanu duchownego członkowie kapeli królewskiej, którzy śpiewali w „sacellum", tj. w kaplicy królewskiej; ich kapelmistrzem był śpiewak-basista ks. Wierzbkowski. Natomiast tą grupą kapelistów król., którzy wykonywali wokalnie lub instrumentalnie muzykę świecką, dyrygował kapelmistrz świecki, którym wówczas był lutnista Jerzy Jasińczyc, zwany Jazwiczem, będący równocześnie bibliotekarzem kapeli dworskiej.

Wchodząc w skład kapeli królewskiej, znalazł się Wacław odrazu w sferze najkulturalniejszych stosunków muzycznych ówczesnej Polski, stosunków, które kompozytorowi dawały możność rozwoju i pogłębiania talentu i zdobytej już poprzednio wiedzy. Na Wawelu miał Wacław ustawiczną lub przynajmniej częstą sposobność słuchania produkcji conajmniej dwóch kapel (dworskiej i kapeli rorantystów), wykonujących a cappella dzieła polskie i obce, dawniejsze i nowsze, religijne (kościelne) i świeckie, tworzące repertoar o charakterze międzynarodowym. Jako członek kapeli królewskiej mógł słuchać popisów polskich i obcych solistów, zarówno wokalistów, jak i instrumentalistów.

Miał sposobność częstego spotykania się z wybitnymi muzykami, przedewszystkim z kompozytorami, którzy w pierwszym rzędzie budzili jego zainteresowanie, skoro sam był „compositor cantus". Do szeregu jego znajomych należał organista wawelski i kompozytor motetów, przedstawiciel starszej już generacji, Mikołaj z Chrzanowa (zm. po roku 1555)[17]), gdy młodszą, lecz już nie najmłodszą generację reprezentował twórca mszy Krzysztof Borek, zmarły w 1557 roku. Być może iż do grona znajomych Wacława należał również Mikołaj z Krakowa, lecz o jego pobycie w Krakowie za czasów Wacława nic nie wiemy. Wacław - pieśniarz był świadkiem bezpośrednim rozwijania się talentu późniejszego pieśniarza-psalmisty Mikołaja Gomółki, przyjętego do kapeli królewskiej w r. 1545 w charakterze chłopca-wokalisty[18]) i muzycznie kształconego w tejże kapeli, zapewne przez kapelmistrza ks. Jana Wierzbkowskiego[19]).

Z obcych kompozytorów, zajętych na dworze królewskim wzgl. w kapeli królewskiej (co nie na jedno wychodziło), poznał Wacław Flamandczyka Jana Bastona (1552—1553), może identycznego z Josquinem Bastonem, kompozytorem motetów i francuskich chansons, bawiącym jednak w Krakowie krótko[20]).

Od r. 1549 bawił na dworze król. wielki wirtuoz i kompozytor lutniowy, Walentyn Greff--Bacfark („Bekwarek")[21]), siedmiogrodzki Niemiec z pochodzenia, sława europejska, protegowany króla. Nie był on kompozytorem wokalnym, i to religijnym, jak Wacław, ale posiadał wysokiego poziomu kunszt polifoniczny i zarazem polor zachodnio-europejski, a także osobiste stosunki z dalszym i bliższym Zachodem, z którym pewne stosunki już nawiązywał Wacław z Szamotuł.

Daleko jednak ważniejszą, aniżeli sprawa znajomości Wacława z najwybitniejszymi osobistościami z muzycznego życia krakowskiego, była sprawa inna: jakiego rodzaju twórczość muzyczną mógł Wacław poznać w Krakowie w połowie XVI wieku?

Tu głównym źródłem jest oczywiście repertoar kapeli dworskiej i jej biblioteka, z której niestety bardzo mało się zachowało resztek. (Bibliotekę muzyczną kapeli zabrano zapewne do Warszawy ok. r. 1600, gdy dwór królewski opuścił Kraków). Wyrazem jednak ówczesnego stanu zasobności tej biblioteki jest inwentarz kapeli z r. 1572[22]) i — częściowo — rękopisy kapeli rorantystów wawelskich (od r. 1543[23]). Inwentarz zawiera publikacje dawniejsze i nowsze; z nich uwzględnimy tylko te, które kapela posiadała przed r. 1555, i to nie wszystkie, ponieważ poszczególne pozycje inwentarza niezawsze są opisane w nim tak dokładnie, aby z pomocą dzieł bibliograficznych można było w każdym wypadku oznaczyć, z jaką i z jakiego roku pochodzącą publikacją mamy do czynienia. Zarazem należy podkreślić, że repertoar kapeli dworskiej i roranckiej był oczywiście szczuplejszy niż ich zbiory druków i rękopisów. Stąd same produkcje tych kapel nie dawały Wacławowi jedynej sposobności poznania dzieł ówczesnych twórców muzycznych.

Repertoar „krakowski", którym już poprzednio się zajmowaliśmy, nie uległ zbyt odbiegającym zmianom; przybyły jednak dzieła nowsze, ale zarazem wzrosła obfitość również dawniejszych publikacji, zwłaszcza religijnych, tych właśnie, które Wacława, najprawdopodobniej wyłącznie religijnego kompozytora, zapewne najwięcej interesowały.

W bibliotece kapeli dworskiej miał zatem Wacław sposobność poznania szeregu publikacji zawierających msze i motety. Wskazać tu można na wielkie zbiory mszy: z roku 1516 („Liber 15 missarum selectarum per excellentissimos musicos compositarum", wydany w Rzymie i zawierający msze wielkich Niederlandczyków i Francuzów, jak Brumel, Fevin, Josquin, Mouton, de la Rue, Pippelare, Roselli — wszystkie na 4 głosy) — z roku 1540 (Excellentissimi musici Moralis Hispani, Gomberti et Jacheti . . . cum quatuor vocibus missae oraz „Liber decem missarum a praeclaris et maximi nominis musicis contextus" z mszami przeważnie francuskich i niederlandzkich mistrzów, jak Gardane, Jannequin, Layolle, Lupus, Moulu, Mouton, Prevost, Richafort, Sarton, Villiers) — z roku 1542 („Missae sex Gomberti et Jacheti" na 5 głosów) — z roku 1544 („Offitia Moralis", 4-głosowe msze Chr. Moralesa). Jak widzimy, wydawnictwa te obejmowały prawie bez wyjątku msze najznakomitszych mistrzów niederlandzkich i francuskich, oraz

do szkoły niederlandzkiej (mimo pewnych cech odrębnych) zaliczonego Hiszpana Chr. Moralesa. Dalszy repertoar mszalny kapel wawelskich rozpoczyna się już ok. r. 1560.

Bardzo obfite były wawelskie zbiory motetów, psalmów, lamentacji i tym podobnych dzieł mistrzów zachodnich i południowych. Biblioteka kapęli król. posiadała 2 tomy Lamentacji „Jeremiae Prophetae” z r. 1506, z dziełami niederlandzkimi i włoskimi (Agricola, Fr. Venetus, de Orto, de Quadris, Tinctoris, Tromboncino, Ycart). Czy poznał je Wacław, twórca lamentacji, trudno orzec. Inwentarz z r. 1572 podaje sporo pozycji, odnoszących się do zbiorów motetów („mutetów”), niestety często bez wymienienia nazwiska kompozytorów i tytułów ich dzieł. Mimo to szereg pozycji tłumaczy się z pomocą dzieł bibliograficznych zupełnie jasno. Rozpoczyna je w r. 1520 hiszpański mistrz Cr. Morales ze swym „Liber selectarum cantionum”. Mistrz Jachet z Mantui zjawia się częściej albo w wydawnictwach własnych (motety z r. 1539 wzgl. 1540) albo wspólnych z Adrianem Willaertem („Salmi appertinenti alli Vesperi” 1550, na dwa chóry), który też jest reprezentowany osobno („I sacri e santi Salmi”, 1555). Mistrz wenecki Willaert posiada sławę również poza sferami muzycznymi Krakowa; jego to obok Josquina wymienia Orzechowski, wspominając o „Adrianie”[42]). Francuski twórca, motetów, Dom. Phinot, posiada w inwentarzu dwie pozycje (z lat 1547—1552 i z r. 1555). Wreszcie nie brak włoskiego motetysty Cost. Porta'y (1555). I biblioteka rorantystów wawelskich mogła wchodzić w rachubę, posiadając 1 księgę motetów znanego już wówczas w Krakowie mistrza niederlandzkiego Mikołaja Gomberta (1541). Osobno wspominamy o zbiorze opracowań Magnificat przez grupę kompozytorów francuskich. Zawiera je najstarszy zachowany rękopis kapeli królewskiej, będący kopią (prawie całkowitą) druku paryskiego z r. 1534 (Attaingnant) z dziełami Barra'y, Le Bruna, Billona, Claudina, Cybota, Divitis'a, Dulota, Du Hamela, Fevina, Gascogne, Hesdina, Heurteura, Hylair-Peneta, Jacotina, Lheritiera, Manchicourta, Moutona, Mornable'a i Richaforta. Późniejsze druki motetów i pokrewnych form mają datę 1558 i nast. Jak widzimy — motetową twórczość znowu reprezentują przedewszystkim mistrze niederlandzcy i francuscy, obok nich tylko Hiszpan Morales. Uderza brak niemieckich kompozytorów kościelnych, jakkolwiek wiemy, że w ówczesnych krakowskich sferach muzycznych nie byli nieznani; tylko że mimo tradycji sięgających w czasy Josquina mistrze niederlandzcy (flamandzcy) i francuscy reprezentowali już nowsze kierunki (np. Gombert, Willaert).

W wyższym jeszcze stopniu można to powiedzieć o muzyce świeckiej, dość bogato reprezentowanej w bibliotece kapeli królewskiej w czasach Wacława z Szamotuł. Pieśni niemieckie, francuskie i włoskie były dość rozpowszechnione w Krakowie już w latach trzydziestych i czterdziestych, jak już była o tym mowa poprzednio. O ile „partesy niemieckie” w inwentarzu z r. 1572 są wymienione tylko dwa razy, o tyle francuskie i włoskie zajmują szereg pozycji. Jak w trzydziestych latach, tak i później, i to w jeszcze wyższym stopniu, popularność osiągają francuskie chansons, a wśród nich przede

wszystkim pieśni Cl. Jannecquina (np. słynna „La bataille") z wydań paryskich, antwerpijskich i weneckich, z różnych lat pochodzących (1529—1545). Przewagę mają jednak pieśni włoskie: willanelle („villaneski", „villaneczki", także neapolitańskie) i madrygały, nie tylko Verdelota (jak w latach wcześniejszych), ale i innych twórców, np. Cypriana de Rore (z lat 1542—1550), Bern. Lupacchina (z lat 1543—1546) i inn.

Polski repertoar z czasów pobytu Wacława w kapeli królewskiej nie przedstawiał się, rzecz jasna, zbyt bogato. On to dopiero miał ten repertoar powiększyć wydatniej. W kapeli rorantystów śpiewano trzy introity Sebastiana z Felsztyna (zm. ok. 1544), w kapeli królewskiej msze Krzysztofa Borka (zm. 1557), zapewne i motety Mikołaja z Chrzanowa (zm. po r. 1555), jako pochodzącego ze sfer muzycznych Wawelu. Wacław-pieśniarz mógł interesować się kilkoma zbiorami polskich pieśni (może nie tylko świeckich, ale i — w pierwszym pewnie rzędzie — religijnych), które wykazuje inwentarz z r. 1572 („polskie piesny" i „Cancional polsky"). Nie wiemy czy to były zbiory rękopiśmienne, czy drukowane (w Krakowie od r. 1532, obficiej od r. 1545). Istniała w bibliotece kapeli król. 5-głosowa „msza na Heinal", posługująca się najprawdopodobniej melodią wziętą z pieśni „Hejnał świta" (tekst M. Reya), wydanej w Krakowie. Niestety inwentarz nie wymienia nazwiska kompozytora.

Jak z powyższego wynika, Wacław z Szamotuł w czasie swego pobytu w kapeli królewskiej miał możność korzystania z różnych sposobności poznania, czy ze słyszenia produkcji kapel czy z biblioteki kapeli król., przynajmniej w ogólnym zakresie, wybitnych dzieł, nawet arcydzieł, religijnej (kościelnej) i świeckiej muzyki z okresu pomiędzy Josquinem des Prés a Orlandem di Lasso.

Niewiele posiadamy wiadomości o życiu Wacława jako członka kapeli królewskiej[25]. Wacław otrzymuje normalne wynagrodzenie, podwyższane, lecz bynajmniej nie nadmiernie w stosunku do wynagrodzenia innych muzyków królewskich. W roku 1551 towarzyszy królowi wraz z 12 innymi kapelistami (lecz nie rorantystami) w drodze na Litwę. Być może, iż w Wilnie zapoznał się już wówczas z muzykami kapeli Mikołaja Rądziwiłła, o której jeszcze będzie mowa.

W roku 1553 zdobywa na dworze królewskim już tak wielkie uznanie dla swego talentu twórczego, że w dniu 30 lipca w czasie ślubu Zygmunta Augusta z Katarzyną kapela królewska wykonuje jakiś jego okolicznościowy utwór, wymagający wielkich środków wykonawczych, skoro Orzechowski pisze, że Wacławowy opus „tanto vocum concentu a symphoniacis modulatum fuit". Być może iż słusznym jest przypuszczenie[26], że tym utworem była jego 8-głosowa msza, wykonana pod batutą ks. Jana Wierzbkowskiego. Uświetnienie muzyczne tego rodzaju i znaczenia ogólno-państwowego aktu, jak ślub królewski, w obliczu dostojników państwowych, wymagało zastosowania wyjątkowo olśniewających środków kompozycji muzycznej.

W tymże samym roku 1553 ukazuje się pierwsza obszerniejsza publikacja muzyczna w ówczesnym Krakowie, i zapewne wogóle w Polsce (przynajmniej według obecnego stanu badań). Jest to dzieło Wacława pod tytułem:

„Quatuor parium vocum L a m e n t a t i o n c s Hieremiae Prophetae, tempore quadragesimali in templis cantari solitae, numeris musicis redditae a Venceslao Samotulino, Polono, Serenissimi Regis Poloniae Sigismundi Augusti musico. Quibus adiunctae sunt E x c l a m a t i o n e s p a s s i o n u m. Tristium Liber Primus. — Cracoviae Lazarus Andrae excudebat 1553".

Jeśli zważymy, że wówczas nie wydano w Krakowie dzieł innych kompozytorów polskich (np. Sebastiana z Felsztyna, Mikołaja z Chrzanowa, Mikołaja z Krakowa, Krzysztofa Borka), lecz dopiero Wacława z Szamotuł, to w tym fakcie ujrzymy z jednej strony dowód uznania dla jego wielkiego, wówczas w Polsce wyjątkowego może talentu, z drugiej zaś strony dowód prawdopodobnego poparcia ze strony króla, którego ślub uświetnił Wacław kompozycją w wielkim stylu; poparcia może i finansowego, umożliwiającego i kompozytorowi i drukarzowi wydanie tej stosunkowo obszerniejszej, niż inne, publikacji.

Poparcie to mogło mieć miejsce przed rozpoczęciem druku albo po jego zakończeniu, gdy król, otrzymawszy egzemplarz może z rąk swego nadwornego kompozytora, przeczytał na jego wstępie podpisane przez Wacława a zwrócone do siebie „C a r m e n n u n c u p a t o r i u m", zaczynające się od słów: „R e x t e r m a x i m e". Już z treści tego „Carmen" wynika, że nie była to tylko przymówka do hojności królewskiej, tak częsta w przedmowach ówczesnych wydawnictw muzycznych u obcych. Na niesmaczną aluzję do kieszeni króla mógł zdobyć się tylko Niemiec Bacfark, który, dedykując Zygmuntowi Augustowi swą tabulaturę lutniową, zawierającą transkrypcje wyłącznie utworów religijnych, umieścił na jej końcu wprawdzie jedyną pieśń świecką, lecz zaczynającą się od słów: „Fault d'argent c'est douleur non pareil"... Treść „Carminis nuncupatorii" w publikacji Wacława, zapewne nawet autora tego tekstu, jest polityczna, przy czym nie można by zupełnie wykluczyć, że była inspirowana przez pewne koła polityczne, wskazujące na niebezpieczeństwo tureckie. — Z dat, umieszczonych w publikacji Wacława, wynika, że kompozytor napisał swe dzieło w lutym i marcu 1551, oraz w marcu i kwietniu roku 1552.

Druk ten zawiera ponadto „Carmen ad studiosam iuventutem" pióra Andrzeja T r z y c i e s k i e g o[27]), co dowodziłoby, że Wacław już przed r. 1553 pozostawał w jakichś stosunkach z kołami dysydenckimi, jakkolwiek nie przestawał i nadal tworzyć zwłaszcza obszerniejsze dzieła dla potrzeb kościoła katolickiego.

Niestety publikacja Wacława z r. 1553 zachowała się tylko fragmentarycznie w postaci książki z głosem tenorowym (Państwowa Biblioteka w Monachium).

Rok 1554 jest dla Wacława z Szamotuł rokiem wielkiego sukcesu artystycznego, a dla historii muzyki polskiej dlatego ważnym, że w nim po raz pierwszy (w XVI wieku jednak zarazem ostatni) ukazuje się poza Polską dzieło pol-

skiego kompozytora. W Norymberdze ukazała się mianowicie wielka publikacja słynnych wydawców muzycznych, Berga i Neubera, pod tytułem:

„Psalmorum selectorum a praestantissimis huius nostri temporis in arte musica artificibus in harmonias quatuor, quinque et sex vocum redactorum tomus..."

W IV tomie mającym tytuł skrócony („quatuor et plurium vocum") i posiadającym datę: „Noribergae... Anno salutis M. D. L. III", a zawierającym 40 utworów zajmuje 17-te miejsce czterogłosowy psalm-motet Wacława z Szamotuł z tekstem: „In Te Domine speravi"[28]). Zawartość IV tomu wydawnictwa norymberskiego pozostaje w zgodzie z jego tytułem: obok dzieł kompozytorów, którzy byli „praestantes", znajdujemy dzieła „praestantissimorum". Nazwiska ich mówią nam wiele: Claudin, Clemens non Papa, Consilium, Courtois, Crecquillon, Gascogne, Gombert, M. Lasson, Maistre, Morel, Payen, Phinot, Schaffen, Verdelot, Willaert... Niema pomiędzy nimi ani włoskiego ani niemieckiego kompozytora: są to wyłącznie Flamandczycy i Francuzi.

Fakt, iż norymbersey nakładcy umieścili dzieło Wacława w wydawnictwie, na które złożyły się także dzieła kilku najsłynniejszych ówczesnych mistrzów, przekonuje nas conajmniej o tem, że wydawcy uznawali utwór Wacława za godny tego wyróżnienia. Wszak umieszczali w swych antologiach także dzieła nieznanych z nazwiska (anonimowych) kompozytorów, o ile posiadały wartość i odpowiadały zasadzie redakcji zbiorów („Psalmi selecti"). Ich „wydawnictwa zbiorowe zasługują na szczególną uwagę historyka muzyki nie tylko dlatego, że będąc wyborem dzieł, dokonanym najczęściej przez znakomitych rzeczoznawców, zawierają tym samym najlepsze dzieła, w tym czasie stworzone". Norymberska firma była wówczas najwybitniejszą z pośród wydawniczych firm muzyki w Niemczech. Pierwszy z obydwóch jej właścicieli, Berg (Montanus), był Niederlandczykiem i muzykiem. W czasach, gdy przyjęli do wydania dzieło Wacława, „rozpoczyna się wielki wzrost przedsiębiorstwa Berga i Neubera, które przybrało wkrótce tak ogromne rozmiary, iż praktycznie osiągnęło w Norymberdze monopol nakładu muzycznego". Możemy zatem stwierdzić, że nakładcą Wacława z Szamotuł był największy z wydawców niemieckich jego czasów, że w IV tomie „Psalmów wybranych", mających zapewniony szeroki zbyt, jak wogóle wydawnictwa norymberskiej firmy, nie wahał się Berg umieścić jego psalmu-motetu wśród motetów największych ówczesnych twórców, w bezpośrednim sąsiedztwie dzieł znakomitego mistrza francuskiego Crecquillona, który w muzycznych sferach Wawelu nie był już wówczas nieznanym.

Być może, iż Berg i Neuber, wychodząc również z założeń kupieckich, liczyli na to, że ich publikacje, jako zawierające dzieło polskiego, w szczególności zaś krakowskiego kompozytora, znajdą tym bardziej rozpowszechnienie w Krakowie, siedzibie kapeli królewskiej, gdzie drukarze i księgarze utrzymywali stosunki z kolegami niemieckimi, będącymi często ich rodakami. Jest rzeczą wiadomą, że bibliotekarze królewscy wyjeżdżali na targi książkowe do Niemiec, np. do Frankfurtu n. M., do którego wiodła droga przez Norym-

bergę. To właśnie mogła być droga, po której wieziono do Norymbergi manuskrypty z motetami Wacława z Szamotuł. Być może iż nie obeszło się bez pośrednictwa krakowskiego nakładcy Wacława z Szamotuł: Łazarza Andrysowicza (Lazarus Andreae), albo może pośrednictwa sfer dysydenckich, a nakładcy norymberscy byli protestantami.

Norymberski sukces Wacława w r. 1554 przyćmił w tymże roku niekorzystny stan jego zdrowia. Król udziela mu na cele leczenia zapomóg w r. 1554 i w r. 1555 (po raz ostatni w maju). Notatka w księdze wydatków dworskich na potrzeby muzyków wspomina o tem, że Wacław otrzymuje zasiłek królewski nie tylko na lekarstwa, ale i „na drogę"[29]). Wynika z tego, że Wacław prawdopodobnie już w r. 1554 opuścił Kraków. Czy wyjechał „do jakiejś miejscowości kuracyjnej", jak przypuszczano, i to „prawdopodobnie do Czech albo Niemiec"? I czy potem powrócił do swych obowiązków na dworze królewskim? Po r. 1555 nazwiska Wacława nie notują już księgi wydatków muzycznych dworu krakowskiego; nie znajdujemy też w księdze marszałkowskiej przy jego nazwisku słowa: „dimissus", jak w latach późniejszych przy nazwisku Marcina Leopolity. Stąd wniosek prosty, że „po ośmiu latach służby dworskiej" nie „wziął dymisji" ani mu też jej nie udzielono. Tym bardziej więc nie „wyproszono go z dworu" jakoby z tego powodu, że „dał się uwikłać apostołom protestantyzmu w Polsce i że w końcu zaciągnął się otwarcie pod ich sztandary"[30]). Wiemy wprawdzie, że Wacław pozostawał w bliskich stosunkach z Andrzejem T●zycieskim, (który Wacława nazywa „maxima pars animae meae"), sympatyzował z Mikołajem Reyem (teksty pieśni), zjednał sobie również sympatię i życzliwość Stanisława Orzechowskiego i innych przedstawicieli liberalizmu i dysydentyzmu, ale nawet najbliższe z nimi stosunki nie mogłyby spowodować „dymisji" czy „wyproszenia" z dworu królewskiego wobec liberalizmu króla w tych sprawach, a także wobec faktu, że i bibliotekarze króla musieliby ustąpić ze swych stanowisk, jako nie kryjący się ze swymi sympatiami dla dysydentyzmu. A wreszcie: Wacław spełniał swe obowiązki wobec kapeli i tworzył dla niej dzieła, przeznaczone zatem dla potrzeb kościoła katolickiego, w czym był podobny do niektórych kompozytorów niemieckich, którzy komponowali utwory religijne i dla katolickich i dla protestanckich celów. Jeżeli już nawet przed r. 1554 ukazały się wydawane przez dysydentów pieśni z tekstami dysydenckich poetów, opracowanymi przez Wacława z Szamotuł, to ich ilość była znikoma, prawie żadna, w porównaniu z ich ilością wydaną po tym roku, a zaopatrzoną monogramem Wacława („V. S." lub „W. S."). Dlatego, sądzę, nie może być mowy o usunięciu Wacława z dworu królewskiego.

Może być natomiast hipotetycznie mowa o jego dobrowolnym usunięciu się z kapeli królewskiej, aby do niej na dłuższy czas nie wracać lub wreszcie nawet wogóle nie wrócić. Zły (zapewne chwilowo) stan jego zdrowia mógł stać się tylko pretekstem „dyplomatycznym", aby przy pomocy zręcznego kunktatorstwa rozluźnić stosunki łączące go z dworem królewskim — może z milczącą zgodą króla, człowieka i liberalnego i słabego, liberalniejszego niż jego dworscy urzędnicy, prowadzący ewidencję dworskich mu-

zysków. Zamierzenia Wacława spotkały się z okolicznościami, wróżącymi im powodzenie, albowiem w grę weszła osobistość wybitna w ówczesnej Polsce, osobistość, z którą się wówczas liczono także na dworze królewskim.

Wacław z Szamotuł wyjechał z Krakowa w r. 1554, jednak nie w celach leczniczych, lecz aby zostać nadwornym muzykiem Mikołaja Radziwiłła „Czarnego". wojewody w Wilnie.

Dla dotychczasowych biografów Wacława losy jego po r. 1555 były okryte tajemnicą, którą odsłoniła dopiero praca prof. Stanisława Kota w r. 1939[31]), dotycząca wynalezionego przez niego, przedtym nie znanego „Kancjonału Brzeskiego Jana Zaręby" z r. 1558, zachowanego fragmentarycznie i nieco uszkodzonego. Na karcie tytułowej tego cennego zabytku czytamy:

> „PIEŚNI CHWAŁ BOSKICH. Pierwsza część, która ma.... To jest na czasy dnia y nocy powsze.... Łacińskie y Polskie kościołom Krześciańskim Polskim i Litewskim pospolite, z pilnością zebrane przez Jana Zarembę z Bunkowa. Przydan jest ...Katechismus z Pasterstwem domowem Jakuba Siliusa. Ktemu do każdego tenoru (... inne głosy przydane przez) Wacława z Szamotuł y Cypriana Bazylika, muzyków Jego Xiążęcej Miłości Pana Mikołaia Radziwiłła Wojewody Wileńskiego"...

W świetle tego zabytku staje nam się jasnym powód, dla którego w księgach rachunkowych dworu królewskiego znika od roku 1555 nazwisko Wacława z Szamotuł. Nie posiadamy żadnego dowodu bezpośredniego, że Wacław przestał być katolikiem i że zaliczał się jawnie do dysydentów, i że z tego powodu opuścił dwór królewski. Ale nie wiemy również, czy odpowiadała mu atmosfera dworska, nawet jego atmosfera muzyczna w pierwszym rzędzie, wśród której — jak już o tym była mowa — muzyka świecka miała zapewne nie tylko dzięki Bekwarkowi znaczną przewagę, rozbrzmiewając erotycznymi piosenkami czy polskimi (śpiewano w ówczesnym Krakowie np. pieśń „Aleć nade mną Wenus") czy niemieckimi, francuskimi (chansons), włoskimi (willanelle, madrygały), nie mówiąc już o polskich czy obcych, zwłaszcza piosenkach tanecznych. Wacławowi z Szamotuł, kompozytorowi najprawdopobniej wyłącznie religijnemu, atmosfera tego rodzaju chyba nie zupełnie odpowiadała, tym bardziej nie, że poglądy jego na muzykę i jej przeznaczenie zapewne mało się różniły od znanych poglądów jego dysydenckich przyjaciół. Kancjonał Zaręby, w którym Wacław wziął udział, zamieszcza wiersz dedykacyjny, mogący na tę sprawę rzucić pewne światło.[12])

> „Ty piosneczki, które tuta swym porządkiem mają:
> na każdy czas dnia i nocy z pilnością zebrane,
> A są też i insze głosy k tenoru przydane
> Dla tych którzy w figurnym się śpiewaniu kochają,
> A radszej się takowymi piosnkami zabawiają,
> Niż owemi o Wenusie a zdradnej miłości".

Inna zapewne atmosfera panowała na dworze Mikołaja Radziwiłła w Wilnie, bardziej odpowiadająca Wacławowi, skoro zdecydował się zostać nadwornym

muzykiem i członkiem jego kapeli, którą zapewne poznał już był w r. 1551, towarzysząc królowi w podróży na Litwę. Mikołaj Radziwiłł „Czarny" był, jak wiadomo, głową litewskich kalwinistów i protektorem dysydentów i zarazem humanistów, niekiedy stale przebywających w jego gościnie. Radziwiłł otaczał swymi względami również i Trzycieskiego, do którego tekstów tworzył muzykę Wacław z Szamotuł. Wydaje się rzeczą bardzo prawdopodobną, że Trzycieski był tym, który mógł Wacława skłonić do przeniesienia się do Wilna na dwór Radziwiłła, ten Trzycieski, tak bliski Wacławowi, że nazwał go „największą częścią swej duszy".

O istnieniu kapeli muzycznej na dworze Radziwiłłów nie posiadaliśmy dotychczas żadnych wiadomości. Obecnie przynajmniej wiemy, że istniała, niewątpliwie w postaci mniej okazałej niż kapela dworska w Krakowie, i że w skład jej wchodził najwybitniejszy ówczesny kompozytor polski, Wacław z Szamotuł, a obok niego Cyprian Bazylik z Sieradza, ów znany z dziejów muzyki naszej monogramista „C. S." (=Ciprianus Siradensis — według wyjaśnienia St. Kota)[33]), współpracownik muzyczny dysydenta Andrzeja Trzycieskiego, Jana Seklucjana i Jana Zaręby, w którego kancjonale używa również monogramu „C. B." (=Ciprianus Basilicus). Dwaj przed Mikołajem Gomółką najwięksi pieśniarze religijni polscy wchodzili zatym w skład kapeli wileńskiej. Nie wiemy, czy łączyła ich przyjaźń, czy też tylko sympatie dla dysydentyzmu. Obydwaj oddawali swym wartościowym pieśniarstwem w wielkiej, nawet największej, w porównaniu z innymi, mierze usługi muzycznej propagandzie dysydenckiej owych czasów. Bazylik, poeta i muzyk, nie był jednak tylko na usługach Radziwiłła i polskiego dysydentyzmu. Podobnie jak Bacfark-„Bekwarek" nawiązał stosunki, zapewne jednak tylko muzyczne, a nie polityczne, z ks. Albrechtem pruskim w Królewcu. Posiadamy na to dowód. W notatce, zawartej w księdze rachunkowej dworu w Królewcu, czytamy pod datą r. 1561: „16 M. 30 Sch. des Wilnischen Woiwoden Musico, Cypriano Heraclidi Basilico, zur Verehrung vor etlichen Gesangk"[34]). A więc Bazylik posyłał ks. Albrechtowi pruskiemu w Królewcu swe utwory muzyczne. Nie posyłał ich jednak Wacław z Szamotuł, skoro niema o nim wzmianki w aktach dworu królewieckiego. Czy pośrednikiem w nawiązaniu stosunków muzycznych między członkami kapeli wileńskiej a dworem w Królewcu nie był przypadkiem dobry znajomy Wacława z czasów krakowskich — Backfark-„Bekwarek", zaufany ks. Albrechta? Wszak właśnie bawił wówczas w Wilnie, ożeniony z Narbuttówną, i posiadał tam swój dom, zburzony w r. 1561 przez żołnierzy, manifestujących w ten sposób swój prosty a trzeźwy pogląd na zdradzieckie postępki królewskiego protegowanego, „Bekwarka"[35]). Zapewne był Wacław świadkiem tego zdarzenia...

A jednak istnieją pewne dowody, że Wacława łączyły z Królewcem bezpośrednie czy pośrednie stosunki, i to jako pieśniarza. Jest rzeczą znamienną, że dopiero po opuszczeniu dworu królewskiego w Krakowie zaczynają się w większej ilości ukazywać pieśni Wacława. Wydają je w luźnych drukach nakładcy krakowscy, w latach 1556. i 1558, a więc wydawca Wacławowych „Lamentacji" i „Alleluia", Łazarz Andrysowicz, obok niego M. Siebeneicher — krakowscy Niemcy, ci sami, którzy wydawali równocześnie

i pieśni Cypriana Bazylika („C. S."). W roku 1558 Jan Zaręba drukuje swój kancjonał w Brześciu Litewskim, kancjonał, który zawiera kilka pieśni Wacława (obok pieśni Bazylika), znanych już częściowo z luźnych druków krakowskich (z r. 1556 i 1558). W następnym zaś roku (1559) ukazuje się w Królewcu, u wydawcy druków dysydenckich, Jana Daubmana (Taubmana), kancjonał Jana Seklucjana z pieśniami Wacława z Szamotuł, przedrukowanymi w późniejszych kilku kancjonałach innych wydawców. Trudno zapewne było w sposób bardziej oczywisty ujawnić współpracę ze sferami dysydenckimi, jakkolwiek Wacław mógł nadal pozostać katolikiem. Nie posiadamy bowiem żadnego dowodu na to, że Wacław zmienił wyznanie.

W r. 1564 otrzymał Wacław od tych samych norymberskich wydawców, Berga i Neubera, nową ich publikację, zawierającą jego mały motet. Czy Wacław przesłał do Norymbergi swój utwór z Wilna, jako tam napisaną kompozycję, czy wydawcy norymberscy posiadali może raczej jej rękopis już od 10 lat, przysłany razem z motetem-psalmem wydanym w r. 1554 — trudno orzec. Tytuł norymberskiej publikacji brzmi:

> „Thesaurus musicus continens selectissimas octo, septem, sex, quinque et quatuor vocum harmonias, tam a veteribus quam recentioribus symphonistis compositas, & ad omnis generis instrumenta musica accommodatus... Noribergae excudebant Joannes Montanus & Ulricus Neuberus collegae, Anno Christi Immanuelis nostri dati M. D. LXIIII".

Piąty a zarazem ostatni tom tej obszernej publikacji zawiera wyłącznie utwory 4-głosowe w ilości 41, wśród nich zaś 34-te miejsce zajmuje motet Wacława z Szamotuł z tekstem: „Ego sum pastor bonus"[38]), umieszczony między motetem Josquina de Prés a motetem Jana de Horto.

Grupa kompozytorów w tym tomie reprezentowanych posiada również, jak w poprzedniej publikacji norymberskiej, charakter międzynarodowy, czego dowodzą nazwiska: Joan. de Bacchi, Clemens non Papa, Crecquillon, Galli, Joan. de Gandave, de Horto, Jacquet, Josquin, Orl. di Lasso, de Lattre, Leo non Papa, Meilandus, le Maistre, Paminger, Prenner, di Rivulo, Schwartz, Vaet — znowu nie wszyscy „praestantissimi", a przeważnie „praestantes", starsi i nowsi Flamandczycy, kilku Niemców, mała domieszka Francuzów i Włochów. „Thesaurus" (również jego tom V) — to w wielkim skrócie podany obraz twórczości kościelnej z okresu pomiędzy Josquinem de Prés a Orlandem di Lasso, w duchu szkół niederlandzkich, starszych i młodszych generacji.

Po roku 1564 nie ukazuje się już w druku żadna nowa kompozycja Wacława, posiadająca większe rozmiary. Pojawiają się w kancjonałach jedynie tylko przedruki dawniej luźnie wydanych pieśni i kilka nowych. A przecież to wszystko, co z dzieł jego wydano w XVI wieku, stanowić może tylko małą cząstkę twórczego dorobku kompozytora, obdarzonego tak wielką inwencją i posiadającego budzącą szacunek wiedzę techniczną. Nie można się oprzeć wrażeniu, że gdyby Wacław był pozostał w Krakowie, wówczas z poparciem króla i dzięki swemu autorytetowi artystycznemu, jako kompozytora dzieł wydanych przez obcych, ukazywałyby się w krakowskich officynach dalsze,

większe jego dzieła, a nie tylko luźne pieśni, o ile by to wówczas leżało w technicznych możliwościach krakowskich drukarni. A te większe jego dzieła krążyły albo w odpisach albo transkrypcjach tabulaturowych (np. zachowany motet 4-głosowy z tekstem: „Nunc scio vere"[37]), co dowodzi już pewnej popularności Wacława. Dzieła te posiadała przecież w rękopisach kapela królewska, jak dowodzi jej inwentarz z r. 1572[38]). On dopiero odsłania nam prawdziwszy obraz jego twórczości, jego osiągnięć w dziedzinie kompozycji w większym stylu, jego technicznych możliwości różnego rodzaju. Jest to tak ważny dokument, że nie mogę sobie odmówić podania go również w tej pracy. Oto spis dzieł Wacława z Szamotuł, zawarty w tym inwentarzu:

„Offitia Vaczlavove 6 (vocum),
Exclamacie i Lamentacie Vaczlavowe... vocum 4,
Exclamacie drugie Vaczlavove... vocum 5,
Offitia... Vaczlavove 4 (vocum),
Msza Vaczlavova vocum 8".

Oczywiście druga pozycja jest znanym nam już drukiem krakowskim z r. 1553. Z poprzednich ustępów dowiedzieliśmy się tylko o pieśniach i motetach Wacława, wspomnieliśmy i o mszy. Dzięki inwentarzowi z r. 1572 przekonujemy się, że Wacław tworzył zarówno na 4, jak i na 5, 6 i 8 głosów. Zakres środków i form jest zatem dość rozległy, jakkolwiek ogranicza się wyłącznie do form muzyki religijnej (pieśni) i kościelnej, liturgicznej (msza, officja, ekskslamacje, lamentacje). Czy msza 8-głosowa Wacława była napisana techniką wenecką, tj. na dwa chóry 4-głosowe, jak o tem czytamy w dawniejszych i nawet najnowszych pracach[39]) pragnących widocznie wzbudzić przekonanie, że polska muzyka ówczesna przyswajała sobie błyskawicznie najnowsze techniki kompozytorskie w ich zastosowaniu do różnych form, — w to musimy wątpić. Msza ta mogła być napisana tylko na 8 głosów realnych, jak sporo mszy z tych czasów. Wykazano już zresztą, że przed rokiem 1572 (data śmierci Wacława) nie ukazała się we Włoszech i nigdzie ani jedna msza pisana techniką wenecką na 2 lub więcej chórów 4-głosowych[40]).

Wszystkie dzieła Wacława z Szamotuł, uwidocznione w inwentarzu z r. 1572, musimy niestety — poza jednem — uważać za stracone dla naszej muzyki i jej dziejów. Płynie stąd wniosek jeden: dotychczasowe oceny jego twórczości, opierające się tylko na jego kilku pieśniach i trzech motetach 4-głosowych, nie mogą być uznane za wyczerpujące kwestię indywidualności Wacława na tle ówczesnej muzyki polskiej i obcej, ponieważ nie dotyczą one całokształtu jego twórczości, a tylko małej jej cząstki.

Kiedy mogły powstać dzieła Wacława wymienione w inwentarzu z roku 1572? Czy Wacław stworzył je w Krakowie, a więc przed rokiem 1555, czy w Wilnie po tym roku? Problemat ten nie jest może tak trudny, jakby się zdawać mogło. Zważmy, że Wacław jako kompozytor kapeli królewskiej przebywał w Krakowie przez 7—8 lat, tj. od r. 1547 do 1554. Ilość dzieł wyszczególnionych z inwentarzu kapeli nie jest tak wielka, aby ich powstawanie wymagało dłuższego czasu. Cokolwiek Wacław wówczas stworzył, przeka-

zywał z urzędu kapeli król. na jej własność. Gdyby wymienione w inwentarzu utwory przesyłał po r. 1555 z Wilna, otrzymywałby, jako już w kapeli królewskiej nieczynny, osobne wynagrodzenie królewskie, gratyfikacje. O nich jednak nie znajdujemy żadnej wzmianki w księgach wydatków dworu krakowskiego, trudno byłoby je szukać i znaleźć, skoro Wacław dobrowolnie zrzekł się stosunków z dworem królewskim. Opuszczając więc Kraków, pozostawił Wacław w bibliotece kapeli krakowskiej te dzieła, których jej dostarczył do r. 1555 jako „compositor cantus" i „musicus regius", a po r. 1555 akta dworskie o nim już nie wspominają.

Jego powrót do stosunków dworskich z dworu Mikołaja Radziwiłła, po wejściu w sfery zdecydowanie dysydenckie i po niedwuznacznem zademonstrowaniu swych sympatii dla wodzów dysydentyzmu i prawie czynnym udziale w ruchu dysydenckim przez komponowanie muzyki do tekstów wydawanych przez dysydentów, nie byłby zapewne pożądany ani przez niego ani przez sfery dworu krakowskiego, mimo iż niewątpliwie zdawały sobie sprawę z tego, jak wielkim artystą jest Wacław z Szamotuł. To też uwzględniając wszystkie dane, jakie posiadamy odnośnie Wacława począwszy od r. 1554, a przede wszystkim brak w księgach dworu krakowskiego wszelkich wzmianek o Wacławie od maja roku 1555, przypuścić możemy, że Wacław zmarł zapewne poza Krakowem, prawdopodobnie w Wilnie. Śmierć jego zanotowała znacznie później w księdze marszałkowskiej dworu krakowskiego inna ręka, niż ta która w latach pięćdziesiątych i późniejszych[41]) notowała dokładnie w tej księdze skład kapeli królewskiej.

Według Starowolskiego („Hekatontas") śmierć Wacława z Szamotuł nastąpiła „w niewiele dni" („paucis in diebus post decessum regis") po zgonie Zygmunta Augusta. Stało się to zatem po 8 lipca roku 1572. Powstałe w Wilnie jego utwory — poza kilku wydanymi pieśniami — zaginęły, dzieląc losy z poprzednio powstałymi, najważniejszymi zapewne dziełami mistrza.

II.

W poprzednim rozdziale mieliśmy sposobność wskazać na szereg faktów, które dowodziły wielkiego uznania, jakiem Wacława z Szamotuł otaczano już za jego życia. Humanistyczni pisarze, Orzechowski i Trzycieski, nie szczędzili tych wyrazów uznania, a także przyjaźni, o jakich mowa w ich okolicznościowych penegirykach. Późniejszy biograf Wacława, ks. Szymon Starowolski, przytacza w swej „Hekatontas" (1625) panegiryki dwóch poetów: Mikołaja Jaskrowickiego i Stanisława Stosławskiego, obydwóch z XVI wieku. Panegiryk Jaskrowickiego odnosi się do Wacława-muzyka, porównywanego przez poetę z Amfionem, mityczną postacią starożytnej Grecji, z Amfionem, który „donośnym swym śpiewem wzruszał niewzruszone skały i twarde kamienie"; Wacław zaś, „nowy Amfion", „zwykł wzruszać piersi najsłodszym głosem" (tj. utworami do śpiewu przeznaczonymi). Dwa ostatnie wiersze panegiryku:

„Dumque Samotulius profert syntagmata legum,
Mentis duritiem saevo Aquilone movet",

pozwalają domyśleć się, że Jaskrowicki mógł przypuszczać, że nasz kompozytor był również jurystą („syntagmata legum"). Była to myłka, która nie pozostała, jak się jeszcze przekonamy, bez następstw.

Stosławski wyraża się już jaśniej. W swym panegiryku zwraca się do dwóch Szamotulczyków: Wacława-muzyka i Grzegorza-jurysty, podnosząc ich talenty, zasługi i znaczenie w obranych przez nich dziedzinach, jednej artystycznej, drugiej naukowej.

Już same panegiryki czterech pisarzy wzgl. poetów, pisane na cześć kompozytora, dowodzą, że Wacław z Szamotuł był już za swego życia postacią znaną i otaczaną wielką zapewne czcią, a conajmniej wielkim uznaniem.

Czy należał do kompozytorów popularnych?

W tytule krakowskiego druku z r. 1553, zawierającego jego Lamentacje i Eksklamacje, czytamy, że były to utwory „tempore quadragesimali in templis cantari solitae". (Mam wrażenie, że tytuł tego druku jest niejasny i że słowa „cantari solitae" odnoszą się nie do utworu Wacława, lecz do melodii, na których się opiera ten utwór, a melodie te były istotnie śpiewane „in templis") [1]). Ale jeśli które jego dzieła musiały cieszyć się popularnością, to przede wszystkim pieśni religijne, śpiewane zarówno przez katolickie, jak i dysydenckie sfery, a pieśni te były łatwo osiągalne, ponieważ wydawano je w druku od lat pięćdziesiątych (dla użytku głównie domu i szkoły), jako małe luźne druki, potem również w kancjonałach.

Inne dzieła Wacława, a więc dwa motety „norymberskie" (z r. 1554 i 1564), zwłaszcza drugi motet, były dostępne z wydawnictw Berga i Neubera. I tak np. „Thesaurus" (1564) posiadała biblioteka kapeli dworskiej (według inwentarza z r. 1572)[2]). Wydawnictwo to można było w Krakowie w r. 1582 nabyć np. u bibliopoli Francuza Jana Thenaud'a[3]). Inne motety były rozpowszechniane w odpisach (np. „Nunc scio vere"). W kapeli dworskiej wykonywano zapewne nadal inne utwory Wacława, nie wydane, a znane nam już tylko z inwentarza kapeli z r. 1572. Oczywiście kapela rorantystów ich nie wykonywała, ponieważ były pisane na chór mieszany, a kapela ta sopranami nie rozporządzała.

Poza Krakowem, poza Polską, kopiowano niekiedy zwłaszcza motet z r. 1564 („Thesaurus"). Dowodzi tego np. rkp. 852 Biblioteki Biskupiej w Ratysbonie[4]). Po roku 1572 kopiowano ten sam motet kilkakrotnie na Śląsku, jak dowodzą rkp. 2, 5 i 10 Biblioteki Miejskiej we Wrocławiu; że istotnie go wykonywano, a nie tylko kopiowano, dowodzi choćby to, że motet ten zjawia się w jednym z tych rękopisów w transpozycji (dla wygody odnośnego chóru)[5]). Pozatem szereg bibliotek niemieckich i innych posiada obydwa wydawnictwa norymberskie z motetami Wacława, ponieważ wydawnictwa te były popularne[6]).

Wiek XVII przynosi pierwszą biografię Wacława z Szamotuł, napisaną przez ks. Szymona Starowolskiego w „Hekatontas" (Frankfurt 1625)[7]). Autor jej nie stał zdala od muzyki, był bowiem autorem teoretycznego kompendium „Musices practicae erotemata" (Kraków 1650). Polihistor Starowolski jednakże nie był ani dość krytycznym wobec źródeł ani dość ostrożnym przy ich korzystaniu. Już dawniej wykazano[8]), że w biografii Wacława-

muzyka umieścił szereg wiadomości, które nie odnoszą się tylko do niego, lecz i do kilku innych Wacławów z Szamotuł: poety, prawnika i matematyka, działających w Krakowie w XVI wieku. A przecież podając w swem dziele panegiryk Stosławskiego ku czci Wacława (muzyka) i Grzegorza (jurysty) z Szamotuł, mógł Starowolski ominąć swą myłkę, która miała w XIX wieku swe następstwa. Jednakże i to, co w jego biografii odnosi się tylko do Wacława-muzyka, zawiera błędy (np. daty odnoszące się do urodzin Wacława). Jedyną pozytywną wiadomością w biografii napisanej przez Starowolskiego jest data śmierci Wacława i wzmianka, że Wacław nie był długowiecznym. Wobec skomasowania danych, dotyczących aż czterech Wacławów z Szamotuł, trudno orzec, czy do Wacława-muzyka odnosi się np. uwaga Starowolskiego, że naszego kompozytora „prawie wszyscy współcześni w Polsce nie rozumieli", czy też że dotyczy ona np. Wacława-poety lub Wacława-matematyka. Starowolski-retor nie szczędzi kompozytorowi panegirycznych pochwał na wzór poprzedników-panegirystów. Nie nazywa wprawdzie Wacława Amfionem, ale w ślad za Jaskrowickim twierdzi, że „przewyższał nawet syreny w przenikaniu piersi ludzkich słodkim śpiewem (tj. swoją muzyką wokalną). Z wielkości Wacława jako kompozytora zdaje sobie sprawę Starowolski, nazywając go „takim i tak wielkim" („talis ac tantus"); co więcej, twierdzi że do jego, tj. Starowolskiego czasów, „Polska podobnego kompozytora nie miała". (Widocznie Starowolski nie znał lub nie cenił wyżej dzieł Mikołaja Zieleńskiego, ok. 1611). Nic więc dziwnego, że chcąc niejako zademonstrować wielkość Wacława-kompozytora, sięga zwyczajem barokowym wprawdzie nie do Orfeusza, jako miary wielkości, ale do największych lub conajmniej wielkich kompozytorów zachodnich: G. P. Palestriny, L. Viadany i P. Lappiego, dodając jednak małe zastrzeżenie, że wielkość ich byłby Wacław osiągnął, gdyby był dłużej żył („Quem si diutius stare superi permisissent"...)[9]). Biografia napisana przez Starowolskiego — jakkolwiekbyśmy ją ocenili — posiada jednak znaczenie z innego jeszcze powodu. Napisał ją jeden z tych pisarzy, którzy reprezentowali „reakcję" antydysydencką. Czy, gdyby Wacław z Szamotuł należał jawnie do czołowych postaci polskiego dysydentyzmu i tem samem zwracał na siebie szczególną uwagę ogółu katolickiego, byłby mu jeden z przedstawicieli tej „reakcji" poświęcił tak obszerną (w porównaniu z innemi) biografię i w tak górnych tonach utrzymaną? Dowód, że utwory Wacława były popularne zarówno w katolickich jak i dysydenckich sferach.

Nie brak jeszcze jednego dowodu, że przynajmniej w pierwszej połowie XVII wieku dzieła Wacława z Szamotuł nie były zapomniane, jeśli chodzi o Kraków. W rękopisach Archiwum Kapituły Katedralnej udało mi się w latach dwudziestych odkryć manuskrypt zawierający m. inn. 5—6-głosową mszę krakowskiego kompozytora (przedtem nie znanego) i rorantysty wawelskiego z lat trzydziestych XVII wieku, Jana Fabrycego z Żywca[10]) Z mszy tej zachowały się niestety tylko dwa głosy. Zapoznanie się bliższe z niemi wystarczyło, aby stwierdzić, że tematy tej mszy są najzupełniej identyczne z tematami motetu „In Te Domine speravi" Wacława z Szamotuł. Msza przeto J. Fabrycego jest tym typem mszy, który w muzykologii histo-

rycznej jest nazywany „missa parodia". Inne głosy (zaginione) wykazałyby niewątpliwie, w jakim stopniu również technicznej zależności od swego wzoru pozostawała msza Fabrycego.

Od pierwszej połowy XVII do XIX wieku nie znajdujemy żadnych dowodów kultu twórczości Wacława z Szamotuł. Jedynie tylko jego pieśni są wydawane w kancjonałach po r. 1600. W wawelskich rękopisach muzycznych nie znajdujemy żadnej kopii z XVII i XVIII wieku, zawierającej utwór Wacława z Szamotuł. Przypuścić jedynie możemy, że w muzycznych sferach Wawelu, które w połowie XVIII wieku wykazywały dzięki działalności kapelmistrza X. Józefa Tad. Ben. Pękalskiego[11]) wzmożony kult klasycznej muzyki kościelnej a cappella (czego dowodzą o wiele liczniejsze niż z XVII wieku kopie utworów polifonicznych z XVI wieku), było znane przynajmniej z tradycji wawelskich nazwisko Wacława z Szamotuł.

Około r. 1880 rozpoczyna się dopiero żywsze zainteresowanie Wacławem jako kompozytorem. Odbywa się to na razie w drodze przez literaturę. Przyborowscy wydają od r. 1880 facsimilia wspomnianych już poprzednio (w I rozdziale tej pracy) luźnych druków z lat pięćdziesiątych XVI wieku, zawierających teksty poetów polskich, (m. inn. M. Reya), do których muzykę stworzył Wacław z Szamotuł. Facsimilia te ukazują się w Warszawie, gdzie historyk muzyki polskiej, A. Poliński, w następnym już roku umieszcza w „Echu Muzycznem" (nr 19) studium o Wacławie i jego kilka pieśni 4-głosowych. Wkrótce rozpoczyna w Poznaniu swą działalność wydawniczą ks. dr J. Surzyński. W „Muzyce Kościelnej" (1885, nr 1—2) wydaje pieśń 4-głosową „Dies est laetitiae", a I zeszycie „Monumenta Musices Sacrae in Polonia" (1887) motet „Ego sum pastor bonus" (z r. 1554). Mija dłuższy szereg lat, podczas których wydane poprzednio pieśni częściowo przedrukowują różne wydawnictwa (śpiewniki chóralne). Krążą też w odpisach różnych zrzeszeń śpiewackich, wykonywujących zwłaszcza pieśni Wacława. Poważniejsze koncerty, np. podczas zjazdów śpiewackich czy ogólno-muzycznych (np. we Lwowie w r. 1910) zawierają już i motet Wacława. Wreszcie w roku 1930 ukazuje się w Wydawnictwie Dawnej Muzyki Polskiej w Warszawie (zeszyt IX) drugi motet Wacława: „In Te Domine speravi", w wydaniu dr M. Szczepańskiej i dr H. Opieńskiego. Przedruki wydanych już poprzednio utworów ukazują się w dalszym ciągu i w innych wydawnictwach (np. w „Cantica selecta musices sacrae in Polonia saeculi XVI et XVII" ks. dr Gieburowskiego, Poznań 1928). W popularnych wydawnictwach pieśni Wacława ukazują się również opracowania ich na chór męski (oryginały na chór mieszany), dokonane z mniejszą lub większą znajomością rzeczy. Do wydania pozostają jeszcze: kilka pieśni i nowoodnalezione w Londynie „Alleluia" 6-głosowe. Wszystkie zachowane utwory Wacława z Szamotuł ukażą się w zamierzonem Zbiorowem Wydaniu Dzieł Wacława z Szamotuł (Szamotuły).

Już przed r. 1880, w którym rozpoczyna się nieco żywsze zainteresowanie się życiem i twórczością Wacława z Szamotuł; znajdujemy w naszej literaturze krótsze lub dłuższe wzmianki dotyczące naszego kompozytora. Po I. Potockim („Pamiętnik Warszawski", 1818) wspominają o nim: L. Gołę-

biowski („Gry i zabawy", 1830), Wincenty Pol („Sześć prelekcji o muzyce kościelnej", Lwów 1865) i inni. Wśród nich odrębne miejsce zajmuje „Słownik muzyków polskich" W. Sowińskiego (franc. wydanie z r. 1857, polskie z r. 1874). Zarówno wymienieni, jak i późniejsi autorowie opierają się w swych biografiach Wacława na tem, co podał w „Hekatontas" (1625) Starowolski, podając zaczerpnięte z niego wiadomości albo także dodając swoje interpretacje. Bardziej krytycznie odnosi się do „tradycji" A. Poliński w swej pracy o Wacławie („Echo Muzyczne" 1881) i w „Dziejach muzyki polskiej" (1907), podając po raz pierwszy nowe materiały archiwalne, choć nie zawsze wykorzystane krytycznie. Materiały te w formie autentycznej i krytycznej wydał dr St. Tomkowicz w „Materiałach do historii stosunków kulturalnych w XVI wieku na dworze królewskim polskim" (Kraków 1915). W dojrzewającej badawczej literaturze muzykologicznej polskiej wzrasta ta konieczność bardziej jeszcze krytycznego odniesienia się do dotychczasowego materiału biograficznego, zwłaszcza odnośnie „Hekatontas" Starowolskiego; rozważana była ciągle jeszcze niepewna kwestia stosunku Wacława do dysydentyzmu polskiego w XVI wieku. Wyrazem tego są również prace autora niniejszej rozprawy: „Do biografii Wacława z Szamotuł" (w „Myśli Muzycznej", Katowice 1928 i w „Kwartalniku Muzycznym", Warszawa 1930), oraz niniejsza praca, która przynosi nowe szczegóły do biografii Wacława na podstawie odkryć prof. St. Kota (1939), o których mowa w pierwszym rozdziale niniejszej rozprawy.

Dowodem uświadomionego, niemal entuzjastycznego kultu Wacława z Szamotuł i ustosunkowania się rodzinnego miasta do wielkiego kompozytora, jest praca H. Przybylskiego p. t. „Wacław z Szamotuł", wydana w r. 1935 w Szamotułach z poparciem zarządu miejskiego.

Twórczością Wacława z Szamotuł zajmowało się dotychczas kilku historyków muzyki polskiej. Ich prace zajmą nas w III rozdziale tej rozprawy. Jest w nich widoczna dążność do uzyskania w drodze analiz o ile możności obiektywnego poglądu na styl, wartość i znaczenie dzieł Wacława.

Sugiestia jednakże podanej wyżej panegirycznej, barokowej opinii Starowolskiego o wielkości Wacława, porównywanej z wielkością największych lub conajmniej wielkich kompozytorów XVI—XVII wieku (Palestriny, Viadany i Lappiego), nie przestała działać aż do najnowszych czasów, do ostatnich lat, skoro w wydanym w r. 1946 popularnym podręczniku historii muzyki polskiej [1]) czytamy: „Wielkim kompozytorom zachodnio-europejskim Wacław z Szamotuł nietylko w niczym nie ustępuje, ale niejednego z nich przewyższa polotem śpiewnej melodii", i: „wszystkie dzieła, które Wacław z Szamotuł w ciągu swego krótkiego życia stworzył, stawiają go w równym rzędzie obok tych wielkich kompozytorów włoskich: Palestriny, Lappi'ego i Viadany".

Zauważyliśmy już w I rozdziale tej rozprawy, że niestety nie istnieją „wszystkie dzieła", „które Wacław w ciągu swego krótkiego życia stworzył" i że ocena wartości i znaczenia jego twórczości mogła się dotychczas opierać tylko na trzech motetach i kilku pieśniach, będących tylko małą cząstką jego twórczego dorobku; wiele bowiem jego dzieł, i to właśnie największych, zaginęło prawdopodobnie bezpowrotnie. Zachowane zaś utwory nie upoważ-

niają do wydawania jakiegokolwiek sądu sumarycznego, mogącego mimo dobrych intencji autorskich wprowadzić w błąd nieuświadomionego czytelnika, nie zawsze zdającego sobie sprawę choćby z tego, kim był największy kompozytor muzyki kościelnej w XVI wieku, genialny mistrz Palestrina, zwany wówczas „księciem muzyki kościelnej”. (Dokończenie nastąpi).

I.

[1] A. Poliński: Dzieje muzyki polskiej w zarysie, Lwów (1907) i St. Tomkowicz: Materiały do historii stosunków kulturalnych w XVI wieku na dworze królewskim polskim, Kraków 1915.

[2]) Tomkowicz, op. cit.

[3]) Tomkowicz, op. cit.

[4]) A. Chybiński: Do biografii Wacława z Szamotuł, „Myśl Muzyczna”, Katowice 1928. nr 4 (w-nrze 7 „Śpiewaka”) i „Kwartalnik Muzyczny”, Warszawa 1931, nr 12—13.

[5]) Por. prace A. Polińskiego, H. Opieńskiego, Z. Jachimeckiego, J. Reissa, H. Przybylskiego i autora niniejszej pracy.

[6]) A. Poliński, op. cit.

[7]) A. Chmiel: Album studiosorum, tom II, str. 289 b.

[8]) A. Chybiński: Do biografii Sebastiana z Felksztyna, „Kwartalnik Muzyczny”, Warszawa 1932, nr 14—15.

[9]) J. Reiss: Przyczynki do dziejów muzyki w Polsce. Kraków 1923.

[10]) Por. prace A. Polińskiego, Z. Jachimeckiego i autora niniejszej pracy.

[11]) A. Chybiński: Mikołaj z Chrzanowa, „Przegląd Muzyczny”. Poznań 1925, nr 20—21.

[12]) A. Poliński, op. cit.; St. Tomkowicz, op. cit.

[13]) A. Chybiński: Tabulatura organowa Jana z Lublina, „Kwartalnik Muzyczny”, Warszawa 1911—12, nr 1—4; Z. Jachimecki: Tabulatura organowa z biblioteki klasztoru św. Ducha w Krakowie z r. 1548, Kraków 1913.

[14]) St. Orzechowski w panegiryku na ślub Zygmunta Augusta (1553).

[15]) Orzechowski, op. cit.

[16]) Por. prace A. Polińskiego. i St. Tomkowicza (j. w.).

[17]) Por. uw. 11.

[18]), [19]), [20]) Por. uw. 1.

[21]) H. Opieński: Sześć listów lutnisty Bekwarka. „Kwartalnik Muzyczny”, Warszawa 1930, nr 6—7; A. Chybiński: Do życiorysu Walentyna Backfarka, „Kwartalnik Muzyczny”, Warszawa 1932, nr 16.

[22]) Wydany przez autora niniejszej pracy w „Kwartalniku Muzycznym”, Warszawa 1912, nr 3.

[23]) A. Chybiński: Materiały do dziejów król. kapeli rorantystów na Wawelu. Cz. I, Kraków 1910.

[24]) Por. uw. 1.

[25]) Por. uw. 1 i 16.

[26]) H. Przybylski: Wacław z Szamotuł, Szamotuły 1935, str. 56.

[27]) Zarówno „Carmen ad studiosam iuventutem“ jak i „Carmen nuncupatorium“ podają prace A. Chybińskiego, Z. Jachimeckiego i H. Przybylskiego i in.

[28]) Opis druków norymberskich z utworami Wacława z Szamotuł (z uwzględnieniem odnośnej literatury) podaje A. Chybiński w pracy pt. „O motetach Wacława z Szamotuł“, „Przegląd Muzyczny“, Poznań 1929, nr 3.

[29]) Por. uw. 1.

[30]) A. Poliński: Dzieje muzyki polskiej, 1907.

[31]) W czasopiśmie „Reformacja w Polsce", Kraków 1937—1939, nr 33—40. — Na tę pracę zwrócił mą uwagę p. St. Lipiński za co składam mu serdeczne podziękowanie, jak również za szereg cennych informacji.

[32]) St. Kot: op. cit.

[33]) Artykuł St. Kota o C. Bazyliku w „Polskim Słowniku Biograficznym" (P. A. U.), Kraków 1935.

[34]) M. Federmann: Musik und Musikpflege zur Zeit Herzog Albrechts. Zur Geschichte d. Königsberger Hofkapelle in den Jahren 1525—1578. Kassel 1932.

[35]) Por. uw. 21.

[36]) Por. uw. 28.

[37]) Na ten utwór zwrócił uwagę po raz pierwszy A. Poliński w „Dziejach muzyki polskiej", 1907.

[38]) Por. uw. 22.

[39]) Por. prace A. Polińskiego, Z. Jachimeckiego, H. Opieńskiego, J. Reissa, H. Przybylskiego i dawniejsze autora niniejszej pracy.

[40]) M. Szczepańska: O dwunastogłosowym Magnificat Mikołaja Zieleńskiego z r. 1611, „Polski Rocznik Muzykologiczny", Warszawa 1935, t. I, str. 29.

[41]) Por. uw. 4.

II.

[1]) Panegiryki te znajdujemy przedrukowane w pracach Polińskiego, Surzyńskiego, Jachimeckiego, Przybylskiego i inn.

[2]) Wydany w całości w „Kwartalniku Muzycznym", Warszawa 1912, nr 3.

[3]) Tamże.

[4]) A. Chybiński: Motety Wacława z Szamotuł, „Przegląd Muzyczny", Poznań 1929, nr 3.

[5]) Tamże.

[6]) Tamże.

[7]) Biografię tę podają w oryginale lub przekładzie polskim, w całości lub częściowo, prace Polińskiego, Surzyńskiego, Jachimeckiego, Przybylskiego i inn.

[8]) A. Poliński: Dzieje muzyki polskiej w zarysie (1907).

[9]) Dotychczasowe biografie Wacława z Szamotuł nie podkreślały warunkowości opinii Starowolskiego.

[10]) A. Chybiński: Jan Fabrycy z Żywca (XVII w.), „Kwartalnik Muzyczny", Warszawa 1932, nr 16.

[11]) A. Chybiński: Nowe materiały do dziejów król. kapeli rorantystów na Wawelu, Lwów 1925.

[12]) J. Reiss: Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska. Kraków 1946.

Henryk Przybylski - Szamotuły

JAN PATEREK Z SZAMOTUŁ

W bibliotece toruńskiej znajduje się rękopis polski, zawierający kazania o Najświętszej Marii Pannie. Rękopis jest oprawny w skórę. Autorem kazań jest Jan z Szamotuł, doktor dekretów, zwany Paterkiem. Zabytek ten wydał w całości dr Lucjan Malinowski w pracy pt. „Magistra Jana z Szamotuł, Dekretów doktora, Paterkiem zwanego, kazania o Marii Pannie Czystej z kodeksu toruńskiego wydał...” w Spraw. Komisji językowej Ak. Um. tom I., str. 161—294. Kraków 1880.

Kim był Jan Paterek? — Pierwszą wiadomość o Paterku ogłosił W. Kętrzyński w pracy pt. „X. Doktor Paterek”. (Rozpr. Ak. Um. Wydz. fil. 1874 r. tom I, str. 119—24). Drugą wiadomość o życiu pioniera języka polskiego podał Malinowski, we wstępie do wyżej wspomnianego opracowania kazań-traktatów.

Uzupełniając dane historyczne, muszę zaznaczyć, że w roku 1500 w progi Uniwersytetu Jagiellońskiego wstąpiło aż sześciu Szamotulczyków. Byli to: Ludwik, Marcin, Jan „Paterek”, Wojciech, Stanisław i Tomasz — wszyscy z Szamotuł. Z tych 6-ciu Szamotulczyków najbardziej zasłynął Jan „Paterek”. W środowisku krakowskim niewątpliwie opiekował się nimi inny ziomek z rodzinnego miasta, Wojciech Krypa z Szamotuł, który już przed rokiem 1500 na jednym z włoskich uniwersytetów zdobył dyplom doktora medycyny. Wojciech Krypa był przez długie lata nadwornym lekarzem króla Aleksandra i królowej Elżbiety, wdowy. Umarł 26. V. 1507 r. (Barycz — Hist. Uniw. Jagiell. str. 227/8). Wojciech Krypa był wielkim opiekunem młodzieży akademickiej. Piastując wysoki urząd nadwornego lekarza — żył jak asceta. Wszystkie swe dochody przeznaczał na cele społeczne. Umarł we wielkiej biedzie. Dowodem jego szlachetnego charakteru jest testament, który spisał na kilka dni przed śmiercią w obecności przyjaciela z rodzinnego miasta, Grzegorza Snopka z Szamotuł. Testament dr Krypy jest wystarczającym dowodem do stwierdzenia, że to on był właśnie opiekunem i dobrodziejem 6-ciu Szamotulczyków, którzy przybyli do Krakowa na studia w roku 1500.

Dr Wojciechowi Krypie zawdzięcza swą karierę naukową i kościelną Jan Paterek. Marcin i Jan byli w roku 1502 bakałarzami, Jan od roku 1504 magistrem artystów. Zaraz po promocji Jan wstąpił do zakonu Bernardynów w Krakowie. Ślad, że był zakonnikiem — jak to twierdzi Kętrzyński i Malinowski — pozostał w przydanej mu nazwie „Paterka” („pater”). Prawdopodobnie bratem Jana jest wspomniany wyżej Marcin „Paterek”, współzałożyciel bractwa ubogich księży przy szpitalu św. Gertrudy w Poznaniu, które to bractwo zatwierdził Jan Górski, archidiakon poznański w roku 1512. Niewątpliwie dalsze badania wyświetlą właściwą pisownię nazwiska Patorek — Peterek.

Po dwóch latach Jan Paterek opuszcza zakon Bernardynów. Od roku 1506 jest prof. uniwersytetu. W tym czasie wykłada na wydziale artystów listy Sakrana (Jana z Oświęcimia) i Filelfa. Równocześnie poświęca się studiom

prawa kanonicznego i teologii. Studia swe uwieńczył w r. 1513 doktoratem dekretów. Od roku 1506 jest kaznodzieją przy kościele Św. Anny. Jako prof. Akademii ma swoją prebendę w Pobiedrzu. Pobiedrze było posiadłością — znanego z wrogiego stosunku do kościoła — szlachcica Russockiego. Jan Paterek, licząc około 38 lat, dnia 9 stycznia 1519 roku padł ofiarą sporu o dziesięciny z kościoła w Pobiedrzu, gdzie posiadał probostwo, zamordowany zdradziecko przez szlachcica Russockiego we własnym jego domu pod Czernichowem. Wiadomość jakoby Jan Paterek piastował urząd polskiego kaznodziei w katedrze wawelskiej nie ma dostatecznego poparcia. Urząd ten, ufundowany przez Zbigniewa Oleśnickiego, przez długie lata zajmował Paweł z Zatora.

Kolegą szkolnym i przyjacielem Jana Paterka był Marcin Cichosz z Szamotuł, od r. 1506 prof. uniw., senior bursy ubogich, w r. 1517 dziekan wydziału artystów.

Podczas wykładów uniwersyteckich, Jan Paterek — zdaniem Brücknera — zamierzał opracować obszerny zbiór „M a r i a l e", t. j. kazań-traktatów na wszystkie święta maryjne w porządku chronologicznym, których zupełnemu wykończeniu przeszkodziła przedwczesna śmierć. Należy przypuszczać, że gdyby nie ta przedwczesna śmierć, Jan Paterek, jako pionier języka polskiego, zająłby w literaturze polskiej poczesne miejsce. Zdradziecki mord popełniony na Paterku przez Russockiego wyrządził literaturze polskiej niepowetowaną szkodę.

Rękopis toruński — opublikowany przez Malinowskiego — jest tylko odpisem z nieznanego oryginału. Autorska działalność ks. Paterka ogranicza się tylko do wspomnianych trzech kazań-traktatów o Pannie Marii Czystej. Pierwsze dwa o Niepokalanym Poczęciu N. Panny od karty 1—86, trzecie o Narodzeniu M. Panny od karty 87—155.

Brückner widzi w dziele ks. Paterka okaz kaznodziejstwa homiletycznego, „k a z a ń d l a w s z y s t k i c h, d l a p o s p o l i t e g o l u d u, p r z e z n a c z o n y c h d o c z y t a n i a, n i e d o s ł u c h a n i a". Pomijając stronę teologiczną dzieła, praca Paterka ma wielkie znaczenie dla dziejów języka i piśmiennictwa polskiego.

„Przede wszystkim podjął ks. Paterek... temat natury dogmatycznej, zawiły i trudny, opracowywany do jego czasów tylko w języku łacińskim, rozwinął go zaś w szacie polskiej, której jakość okazuje w y s o k i e o p a n o w a n i e p r z e z a u t o r a f o r m y p r o z y p o l s k i e j i j ę z y k a. Sposób bowiem wysławiania jest w tym dziele jasny i gładki, budowa zdań i okresów tak przejrzysta i swobodna, że tekst tych kazań-traktatów czyta się zupełnie płynnie... I jeśli pod względem dogmatycznym są kazania-traktaty Paterka ważnym ogniwem w tej roli, jaką mistrzowie uniwersyteccy wypełnili w ustaleniu i rozpowszechnieniu nauki o Niepokalanym Poczęciu N. Panny (on sam nazywa ją „n a s z ą n a u k ą k r a k o w s k ą"), większe jest jeszcze znaczenie mistrza Jana z Szamotuł jako p i a s t u n a j ę z y k a n a r o d o w e g o w czasie, gdy język ten, pokonując trudności praktyki pisarskiej, stawał się powoli organem druku. Wśród pierwszych ojców tego języka, jak Biernat z Lublina, Jan z Koszyczek, Baltazar Opeć, Hieronim z Wielunia

i inni, staje również Paterek, mniejszy może od nich zakresem i jakością pracy i nie tak szczęśliwy jak oni, którym dane było oglądać, owoce swej pracy w szacie książkowej, lecz prześcigający niejednego z nich czystością języka i owładnięciem formy pisarskiej" (R. Pilat — Hist. lit. polskiej, I. cz. II, str. 429). Ponieważ cytacje kaznodzieji „są często wręcz fantastyczne", a „różne powoływane przez niego dzieła czy ich ustępy nie istniały wcale", z tej też przyczyny Brückner jest zwolennikiem oryginalności dzieła Jana Paterka.

Oto kilka wyjątków z tego zabytku:

(121). Gloua yey była nyeyako podlugovata, czolo nyeszerokye ale glatkye na cztery grany myernye uyelkye sluszne pokorne a zavsze na dol ye spuszczala taka bouym glona a czolo ukazuyą czlouyeka opatrznego mądrego a sromyeszlynego.

Oczy byly czudne a yasne na uesrzenye lubyczne myernego uesrzenya laskauego pokornego srzenycza czarna bardzo yasna bruy czarne nye barzo gąste albo wlosyste ale sluschne.

Nos prosty nyeuyelky prosto ydączy czo znak yest staloszczy a roztropnoszczy.

Jagody yey nyepuczolouate albo tluste any uyschle ale czudne byale a rumyone wbarnye yako mleko a roza.

Vsta niszwyątsze myle roskoschne uesole wszelkyey slodkoscy napelnyone...

Uszytko czyalo dzywną boską mądroszczywą sprauyone...

(122). Myłczenye choula rzatko mouyla alysz tego barzo byla potrzeba czo yest nam nauka.

Dzywney czyerplyuoscy tak ysz nygdy yey nyeuydzyano rozgnyeuaney nygdy syą nye szmyala prozno nyemouyla nygdy.

Cudnych obyczayow byla kozdemu swą osobyuoszczyą myla czo syą rzatko przygadzą.

Rozumu uysokyego y uyelkyego tak ysz wszystkyey roboty nyeuyeszczey syą robycz nauczyla Tesz wszystky ksyągy proroczkye mądroszczy zewnu pamyąthayącz umyala.

Vszystkym pannam wkoszczele byla wnabozestwe wpokorze przelozona mayącz syą zanamnyeyszą kozdey czynyącz poczesnoszcz pelna bądącz kazdey cznoty wszytkych dobrych obyczayow poczesnoszczyą slynącz laską przeto wszytczy yą czcyly mylouały y osoblyuą chączyą syą yey baly tak ysz syą o yey cznoczye chwala roszlala byla yako o sybyllach.

Literatura

1. Kętrzyński W. — Ks. Doktor Paterek. Rozpr. Ak. Um. Wydz. fil. 1874. I, str. 119—124.
2. Malinowski Lucjan. — Magistra Jana z Szamotuł, Dekretów doktora Paterkiem zwanego, kazania o Marii Pannie Czystej z kodeksu toruńskiego wydał... Spraw. Kom. jęz. Ak. Um. 1880. I, str. 161—294. [I. Wstęp — życiorys (str. 161—170). II. Tekst kazań (str. 171—278). III. Słownik wyrazów godnych uwagi (str. 279—294).].

3. Nehring Wł. — Altpolnische Sprachdenkmäler. Str. 89—94.
4. Semenovič A. — Kritische Bemerkungen zu altpolnischen Texten. Arch. f. slav. Phil., 1884. VII, str. 433—34. (III. Kazania o Pannie Marii Czystej).
5. Nitsch K. — O pisowni i języku)Kazań Paterka(zabytku języka polskiego z początku XVI w. Na podstawie materiału zebranego przez prof. dr Malinowskiego, opracował... Prace filol., 1899. V, str. 521—585.
6. Wisłocki. — W Przeglądzie Powszechnym 1888. III, str. 163—4.
7. Fijałek J. ks. — Nasza nauka krakowska o Niepokalanym Poczęciu N. Panny w wiekach średnich. Przegląd Polski 1899, str. 420—485 (tutaj str. 421 szczegóły źródłowe do życia Paterka). Porównaj również artykuły ks. Fijałka w Przeglądzie Polskim z r. 1900 str. 426 i z r. 1904, str. 667.
8. Brückner A. — Literatura religijna. Tom II. (rec. o pracy ks. Fijałka), patrz również tom III (str. 23—36).
9. Ptaszycki St. — Pamiętnik literacki. 1904, tom III, (str. 682—3, rec. o pracy Brücknera).
10. Ptaszycki St. — Apokryfy średniowieczne. Cz. II. Rozpr. Ak. Um. Wydz. fil. 1905, S. II. T. 25, str. 312—23.
11. Łoś J. — w Przeglądzie językow. zabytków starop. str. 203—207.
12. Łoś J. — Początki piśmiennictwa polskiego, str. 190—194.
13. Krzyńscy A. i M. — Zabytki języka staropolskiego. Warszawa 1925, str. 298—306.
14. Pilat Roman. — Historia literatury polskiej. Kraków 1926. Tom I. Część II, str. 427—431.
15. Barycz H. — Szkice z dziejów Uniw. Jagiellońskiego. 1933.

Brunon Maske - Szamotuły

FLORA I FAUNA POWIATU SZAMOTULSKIEGO

Świat roślinny naszego terenu można scharakteryzować jako część sarmackiego obszaru florystycznego, zajmującego w Polsce największą przestrzeń, ale stojącą też pod wpływem pobrzeża bałtyckiego z florą atlantycką. Pierwotna roślinność tutejsza jest więc roślinnością leśną z znaczną ilością drzew liściastych w krainie południowej, a wielką przewagą sosny w piaszczystej krainie północnej, gdzie jednak starodrzew jednostajnych lasów sosnowych został niedawno temu przeważnie zniszczony przez sówkę-chojnówkę. Powiat szamotulski leży w granicach rozmieszczenia kilku gatunków drzew zachodnich, jak cisu, buku, dębu bezszypułkowego (Quercus sessilis), ale i wschodnich, jak grabu; z drugiej strony natomiast znajdujemy się w pasie bezświerkowym i poza terenem występowania jodły: świerk rośnie pierwotnie w Polsce tylko w terenach północno-wschodnich i w południowo- zachodnich, a jodła tylko w południowo-zachodnich.

Z innych pospolitych drzew naszych lasów wymieniamy: dąb szypułkowy (Quercus robur), brzozy (Betula verrucosa i B. pubescens), olszynę czarną (Alnus glutinosa), topól białą (Populus alba), osinę (P. tremula) i rzadszą topól czarną (P. nigra), wiązy (Ulmus campestris, U. montana i U. laevis), lipy (Tilia cordata i T. platyphyllos), jesion (Fraxinus excelsior), klony (Acer platanoides, A. pseudoplatanus i A. campestris), gruszę (Pirus communis) i wreszcie wierzby (szczeg. Salix fragilis i S. alba), rosnące jednak przeważnie jako drzewa przydrożne. Do podszycia lasów należy cały szereg krzewów, jak jałowiec (Juniperus communis), maliny i jeżyny (Rubus), głogi (Crataegus oxyacantha i Cr. monogyna), dereń (Cornus sanguinea), trzmielina (Evonymus europaea), szakłaki (Rhamnus frangula i Rh. cathartica), borówka brusznica i czernica (Vaccinium vitis idaea i V. myrtillus), wrzos (Calluna vulgaris). W lasach liściastych szczególnie znamienne jest podszycie zielne pięknych wiosennych kwiatów zawilców (Anemone nemorosa i A. ranunculoides) i przylaszczki (Hepatica triloba), a miejscami też konwalii (Convallaria maialis) i kokoryczki (Polygonatum).

Nie będziemy wymieniać niezliczonej ilości „chwastów" łąkowych, polnych, ruderalnych (śmietniskowych) i i., które znane są z terenu całej Polski. Na uwagę natomiast zasługują niektóre gatunki stepowe czyli pontyjskie, które dotarły do nas powoli z połudn.-wschodniej Europy. Z nich to stwierdzono w naszym terytorium wężymord stepowy (Scorzonera purpurea, pod Kiączynem), pięciornik biały (Potentilla alba, w Ostrolesiu), rukiewnik (Bunias orientalis), gorysz olszynice (Peucedanum Oreoselinum), driakiew żółtawą (Scabiosa ochroleuca), trawę ostnicę (Stipa pennata) i in.

Do tych przybyszów z połudn.-wschodniej Europy dochodzą jeszcze rośliny przybysze z innych części świata, zawleczone przez człowieka przypadkowo albo też umyślnie, a obecnie rozpowszechniające się u nas jak krajowe chwasty. Do tej grupy roślin zaliczymy z ziół: lulek (Hyoscyamus niger), bieluń (Datura stramonium), niecierpek drobnokwiatowy (Impatiens parvi-

flora), przymiotno kanadyjskie (Erigeron canadense), żółtlicę (Galinsoga peruviana), moczarkę kanadyjską (Elodea canadensis). Lecz i z drzew posiadamy szereg gatunków obcych, pozornie już zupełnie u nas zaaklimatyzowanych, jak np. topól kanadyjską (Populus canadensis i virginiana), kasztan (Aesculus hippocastanum), akację fałszywą (Robinia pseudacacia), a z iglastych drzew duglezję (Pseudotsuga Douglasii), banksje (Pinus Banksiana) i wejmutkę (Pinus Strobus).

Na specjalną ochronę zasługuje szereg gatunków, stanowiących relikty z dawnych czasów czy też awangardy gatunków dalej się rozpowszechniających; poza tym chronić należy gatunki rzadsze, odznaczające się pięknym kwiatem lub oryginalnym wyglądem i włanie dlatego niestety zbyt często zbierane. Do pierwszych zaliczymy przede wszystkim drzewo brekinię czyli brzęk (Sorbus torminalis), spokrewnione z jarzębiną, a występujące w wyjątkowo dużym skupieniu w lesie bytyńskim. Jest to najliczniejsze stanowisko brekinii w Polsce, gdyż w skład jego wchodzi około 180 drzew wysokopiennych i tego liczne odrośla; rośnie na glebie gliniastej z domieszką wapna i piasku. Z gatunków ziół, zasługujących na uwagę ze względu na sporadyczne występowanie u nas, możemy wymienić następujące: gwoździk piaskowy (Dianthus arenarius) i pajęcznicę (Anthericum ramosum, w lasach północnego pasma powiatu), storczyk Listera ovata i czernicę (Calla palustris) w Wielonku, siódmaczek (Trientalis europaea) pod Obrzyckiem, rojnik (Sempervivum soboliferum) w Ostrolesiu, pióro wodne (Hottonia palustris), pływacz (Utricularia vulgaris), która to roślina zasługuje na uwagę ze względu na liczne pęcherzyki, służące do chwytania drobnych skorupiaków (rozwielitek i oczlików). Masowo zbierane na wiosnę bywają piękne kwiaty pełnika (Trollius europaeus), sasanki (Pulsatilla pratensis), konwalii (Convallaria maialis) i kosaćca (Iris pseudacorus); z tego to względu rośliny te mogą być narażone na wytępienie, przynajmniej miejscowe i dlatego zasługują też na pewną ochronę. Przez amatorów-zbieraczy wytępiony został przypuszczalnie złotogłów, (Lilium martagon), spotykający się jednakże jeszcze w stanie półdzikim na cmentarzach.

Jako osobliwości wymienić należy wreszcie poszczególne okazy drzew, odznaczających się szczególnie rozmiarami albo kształtem. W pierwszej linii wchodzą tu w rachubę dwa wiązy (Ulmus campestris) przy kolegiacie w Szamotułach. Większy z nich, o obwodzie 8 m, należy do najpotężniejszych drzew w Polsce pod względem rozmiarów pnia; przycięte konary, jak i częściowo wymurowany rdzeń, wskazują jednakże już na powolne zamieranie drzewa. Pod Obrzyckiem, w b. papierni Stobnicko, rośnie lipa wielkolistna (Tilia platyphyllos), niezbyt wysoka, lecz o potężnym pniu. Wspaniały okaz lipy rośnie również w ogrodzie leśniczówki Chojno. Piękna grupa dębów szypułkowych (Quercus robur) znajduje się pod Wielonkiem w lesie przy drodze. W Ostrolesiu znajdujemy podobną grupę buków (Fagus silvatica) o oryginalnych zrostach konarów. Potężny drzewiasty jałowiec znajduje się w lesie Dusznickim, a pobliski las bytyński, wymieniony już ze względu na występowanie brzęku, obfituje w imponujące okazy głogu dwuszyjkowego (Crataegus oxyacantha).

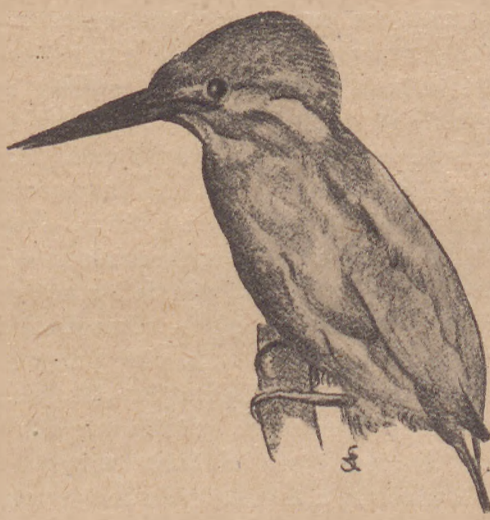
Niektóre z wymienionych powyżej okazów drzew zostały już spisane w „Wykazie Drzew i Krzewów godnych ochrony w Poznańskiem i na Pomorzu", wydanym przez Państw. Radę Ochrony Przyrody. Inne zostały dotychczas przeoczone, a nie ulega wątpliwości, że znajdują się jeszcze inne, na które należy zawczasu zwrócić uwagę, celem ochronienia ich przed ewentualnym zniszczeniem.

Co się tyczy fauny ziemi szamotulskiej, to musimy zaliczyć nasze okolice do krainy południowo-bałtyckiej, zajmującej w Polsce województwa północno-wschodnie i centralne i pas nizin południowych. Znajdujemy się tu w terenie pospolitego występowania wrony szarej (Corvus cornix), podczas, gdy jej zachodni bliski krewniak, czarnowron, sięga zasadniczo tylko do doliny Łaby; znamiennym gatunkiem ptasim jest tu też słowik rdzawy (Luscinia megarhyncha), podczas gdy już na wschód od Warty przeważa coraz więcej słowik szary (Luscinia luscinia). Podobny stosunek zachodzi w rozmieszczeniu dwóch gatunków żab, ropuchy zielonej (Bufo viridis), jako gatunku wschodniego i ropuchy paskówki (Bufo calamita), jako gatunku zachodniego; na terenie szamotulskim spotykają się oba gatunki, choć pierwszy jest znacznie pospolitszy. Wreszcie z bezkręgowych zwierząt wymieńmy zachodnio-europejski gatunek ślimaka ogrodowego i zaroślowego (Cepaea hortensis i nemoralis), pospolitych w zaroślach, zarówno w odmianach o skorupkach prążkowanych jak i gładkich.

Pierwotna fauna nasza była fauną leśną. W miarę przetrzebienia lasów i zastąpienia ich polami i łąkami, czyli t. zw. stepem kulturalnym, gatunki leśne albo cofnęły się w pozostałe tereny leśne, albo przystosowały się do nowych warunków życia, albo też musiały ustąpić miejsca gatunkom stepowym. Pierwotnie leśnymi zwierzętami z pomiędzy ssaków u nas jeszcze żyjących są: jeleń, sarna, dzik, lis, borsuk, kuna leśna, tchórz, łasica, gronostaj i łaska, niektóre gatunki nietoperzy, ryjówki, jeż, szereg gryzoni, jak wiewiórka, mysz leśna i in. Nie sposób wymieniać tu w krótkim artykule poszczególne gatunki ptaków, choćby najpospolitszych i najbardziej charakterystycznych, gdyż w ogóle na terenie Polski stwierdzonych zostało około 400 gatunków, z których prawie połowę musimy zaliczyć do gatunków, na tutejszym terenie pospolitych wzgl. regularnie pojawiających się w odpowiedniej porze roku. Przeważają u nas pod względem ilości gatunki drobne, z rzędu wróblowatych. Znacznie uboższa co do ilości gatunków jest fauna gadów i płazów. Do najbardziej obecnie charakterystycznych gadów zaliczymy jaszczurkę zwinkę (Lacerta agilis) i żyworodną (L. vivipara), padalca (Anguis fragilis), żmiję zygzakowatą (Viperaberus) i zaskrońca (Tropidonotus natrix). Z płazów szczególnie często spotykamy żabę wodną (Rana esculenta), lądową (R. temporaria), ostronosą (R. arvalis), ropuchę szarą i zieloną (Bufo vulgaris i B. viridis), kumkę o pomarańczowym spodzie (Bombinator igneus), rzekotkę (Hyla arborea), traszkę mniejszą (Triton taeniatus). Z pośród ryb możemy podać z dość dużą dokładnością 34 gatunki, występujące w wodach naszego powiatu. Wielką przewagę między nimi (przeszło 50% mają ryby karpiowate, charakterystyczne dla ciepłych wód stojących o mulistym dnie, albo dla wolno płynących rzek nizinnych. W każdym niemal zbiorniku wodnym spotykamy więc płotkę (Leuciscus rutilis), ukleja (Alburnus lucidus), leszcza (Abramis brama), krąpa

(Blicca bjoerkna), karasia (Carassius vulgaris), lina (Tinea vulgaris), piskorza (Misgurnus fossilis), szczupaka (Esox lucius), okonia (Perca fluviatilis), ciernika (Gasterosteus aculeatus).

Nie sposób wymieniać tu wszystkie zwierzęta bezkręgowe, jak mięczaki stawonogi (z niezliczoną ilością gatunków owadów), robaki, pierwotniaki, gdyż chodzi tu już nie o setki, lecz o tysiące gatunków przeto będzie można wspomnieć tu tylko niektóre gatunki rzadsze, lub mające dla człowieka szczególne znaczenie praktyczne, czy to w znaczeniu dodatnim czy też ujemnym. Szczególniej duże znaczenie dla gospodarki ludzkiej mogą mieć niektóre gatunki owadów pospolitych, wzgl. występujących w pewnych okresach pospolicie lub nawet masowo. Powszechnie znane jest u nas masowe występowanie



Zimorodek Alcedo ispida

chrabąszcza (Melolontha vulgaris, wzgl. Melolontha hippocastani) w okresach czteroletnich; w powiecie szamotulskim masowa rójka przypadała na lata 1926, 1930 i 1934; nadzwyczajną obfitością chrabąszczy i długim trwaniem rójki odznaczał się rok 1926. Powszechnie znane są też szkody, wyrządzone w lasach sosnowych przez masowe występowanie sówki chojnówki (Panolis piniperda) w r. 1924 i następnych. Gąsiennice tego niewielkiego motylka zdołały w nieprawdopodobnie krótkim czasie kilku tygodni zamienić olbrzymie przestrzenie zdrowego starodrzewu sosnowego w goliznę, jak po pożarze. Bardzo znamiennym jest fakt, że wspomniane gąsiennice tak samo nieoczekiwanie znikały w krótkim czasie, jak się poprzednio pojawiały masowo; nie dał sobie z nimi rady człowiek, lecz wyniszczył je grzybek-pleśniak (Empusa aulicae). W niszczeniu gąsienic chojnówki pomagał też chrząszcz-biegacz, pięknymi pokrywami opatrzony tęcznik-liszkarz (Calosoma sycophanta), który w wspomnianych latach sówki-chojnówki występował w tutejszych lasach sosnowych szczególnie obficie.

Po wymienieniu szeregu pospolitszych przedstawicieli naszej pierwotnej fauny, omówimy teraz kilka gatunków przybyszów, które częściowo przywędrowały z innych krain, przeważnie w związku z gospodarką ludzką, tak znacznie zmieniającą oblicze pierwotnej przyrody. Przybyszem z południa jest daniel (Cervus dama), żyjący tu w stanie półdzikim, choć już od dawnych czasów. Z południowej Europy przybył również mało pożądany królik (Lepus cuniculus), obecnie w całej zachodniej Polsce tak pospolity, że trudno w nim domyślić się przybysza. Chomik natomiast (Cricetus frumentarius), występujący w południowych częściach Polski, prawie po linię Poznań—Warszawa, do powiatu szamotulskiego jeszcze na stałe nie dotarł; możliwe jednak, że w pojedyńczych okazach już się zadomowił. Jeden z największych naszych szkodników, szczur wędrowny (Mus decumanus), jest również przybyszem z południowo-wschodu, który wyparł już zupełnie pierwotny słabszy gatunek szczura śniadego (Mus rattus). Jako przybysza możemy uważać też polnika (Microtus arvalis), nieściśle zwanego myszą polną; jest to zwierzątko stepowe, które w miarę rozszerzania się naszej gospodarki polnej coraz więcej się rozmnaża; w roku 1933 do 1934 występowało ono tu nawet masowo. Również z ptaków posiadamy kilka gatunków pierwotnie obcych. Stepowymi gatunkami są: skowronek rolak (Alanda arvensis) i spokrewniona z nim czubata dzierlatka (Galerila cristata), znajdująca zarówno latem na naszych polach, jak i zimą po wsiach lub nawet w miastach odpowiednie dla siebie warunki bytu. Jerzyk (Cypselus apus), na pierwszy rzut oka przypominający jaskółkę, również jest przybyszem i to z skalistych krajów południowej Europy, gdzie w szczelinach znajduje sobie miejsce do gnieżdżenia się; w miarę rozrostu naszych miast, znajduje on coraz odpowiedniejsze warunki do gnieżdżenia się w murach zabudowań i wieżach, a zresztą większość swego życia przepędza, szybując po przestworzach. W stanie półdzikim spotykamy przybysza z południowego wschodu, bażanta polowego (Phasianus colchicus), który jednakże, pozostawiony sam sobie, bezwątpienia wyginąłby w krótkim czasie. Z bezkręgowych zwierząt zasługuje na uwagę przybysz z południowej Rosji, mięczak omułek-bąk (Dreissena polymorpha), który rozprzestrzenił się po naszych rzekach i jeziorach, osiadłszy na statkach, tratwach lub nawet na rakach rzecznych. W ogóle możemy stwierdzić, że człowiek z jednej strony zniszczył wiele pięknych pierwotnych gatunków krajowej fauny, a w zamian za to przyczynił się mimowoli albo nawet wbrew swej woli do rozmnażania się innych gatunków, korzystających z jego środków lokomocji, jego pól, ogrodów, mieszkań, odzieży i nawet z niego samego: wspomnijmy naszych wątpliwych przyjaciół, jak mysz domową, wróbla domowego i polnego (Passer domesticus i P. montanus), muchę domową, karaczana wschodniego (Periplaneta orientalis) i wiele innych.

Z krajowych zwierząt rzadkich, zasługujących na szczególną uwagę i ochronę, albo ze względu na swą rzadkość i zabytkowość, albo też ze względu na to, że dotychczas bywały często przeoczone, możemy podać również szereg gatunków. Z krajowych drapieżców w naszym powiecie pewien zabytek sta-

nowi obecnie już wydra, gdyż zarówno dla swego futra, jak i dla pozornie tak widocznej szkodliwości, bywa niemiłosiernie tępiona. Borsuka, obecnie również rzadkiego, w ogóle nie można uważać za szkodnika, gdyż jest on wszystkożernym mieszkańcem lasów, unikającym wszelkiej styczności z człowiekiem. Bóbr, ongi pospolity, został u nas dawno już wytępiony; próba ponownego zaaklimatyzowania go tuż nad granicą powiatu szamotulskiego, w nadleśnictwie Bucharzewo, niestety nie udała się, gdyż bobry zarażały się od szczurów wodnych i ginęły. Z ptaków zasługuje na bezwzględną ochronę kilka rzadkich gatunków. Drop (Otis tarda), typowy ptak stepowy, wielkości indyka, występuje w kilku powiatach Wielkopolski stale; w południowej i środkowej części powiatu szamotulskiego jest conajmniej częstym gościem, lecz z powodu wielkiej ostrożności rzadko widywanym. Żóraw (Grus grus), w przelocie na wiosnę i w jesieni regularnie się pojawiający, zdaje się wyjątkowo nawet gnieździć w tutejszych okolicach, szczególnie w słabo zaludnionej północnej części powiatu, np. pod Tarnówkiem. Czapla (Ardea cinerea), niegdyś pospolita, spotyka się również w miejscach niezbyt uczęszczanych, np. nad zbiornikami wodnymi w lasach; wielka kolonia czapel znajduje się w powiecie międzychodzkim, na jeziorze Kłosowskim koło Sierakowa. Cietrzew (Tetrao tetrix), również niegdyś pospolity, przebywa nielicznie jeszcze w lasach na północ od Warty. Tamże występuje duży dzięcioł czarny (Dryopicus martius), i tam też słyszeć można smętnie trelujący śpiew skowronka leśnego (Lullula arborea), w miarę trzebienia lasów coraz więcej ustępującego miejsca skowronkowi rolakowi (Alauda arvensis). Sokół wędrowny (Falco peregrinus) niekiedy zalatuje do nas, a jastrząb gołębiarz (Astur palumbarius) bynajmniej nie jest u nas już ptakiem pospolitym: z powodu bezwzględnego i bezmyślnego tępienia wszelkich „drapieżców", których wypchane szczątki wiszą zakurzone w różnych lokalach, wkrótce doczekamy się, iż więcej ich będzie wypchanych niż żyjących. Najpiękniejsze nasze pod względem ubarwienia ptaszki, kraska i zimorodek, występują w tutejszym powiecie również rzadko: kraska (Coracias garrula) na polach (np. w Kobylnikach), zimorodek (Alcedo ispida) w zaroślach nad wodami. Z gadów jako pewną osobliwość wymienić można gniewosza (miedziankę, Coronella laevis), występującego w okolicach suchych i słonecznych, a więc w lasach północnej części powiatu, np. pod Chojnem. Żółw błotny (Emys orbicularis) na kilka lat przed pierwszą wojną światową występował jeszcze w bagnistych miejscach, np. pod Gałowem; obecnie jest u nas bodaj doszczętnie wytępiony. Znaleziono wszakże niedawno dwa dorosłe żywe żółwie pod Chojnem i na łąkach w Przyborówku; należy jednakże raczej przypuszczać, że żółwie te zostały wypuszczone przez b. żołnierzy, którzy często przywozili w czasie wojny tego rodzaju osobliwości z wschodniego lub południowego frontu. Z płazów, na które zwykle również mało się uważa, wymienić należałoby traszkę większą (Triton cristatus), pojawiającą się na wiosnę w wodach stojących niezbyt często. Również z ryb szereg gatunków u nas się pojawiających uważać należy za rzadsze: w strugach pod Wronkami występuje głowacz (Cottus gobio); na wiosnę pojawia się tamże minog stru-

mieniowy (Petromyzon planeri); również maleńki cierniczek (Gasterosteus pungitius), trzymający się naogół bliskości morza, został tam schwytany. Jesiotr zachodni (Accipenser sturio) należy w Warcie już do wielkich rzadkości, a pstrąg (Trutta fario i Tr. iridea) i sieja (Coregonus maraena) spotykają się tam tylko przypadkowo, jako „uciekinierzy”, gdyż są sztucznie hodowane w Wronkach. nadleśn. Nadolniki. Z rzadszych krajowych gatunków zwierząt bezkręgowych należałoby wymienić ślimaka austriackiego (Cepaea vindobonensis), występującego sporadycznie w zachodniej Polsce, najprawdopodobniej też w tutejszym powiecie. Z owadów stwierdzony jest tu jelonek rogacz (Lucanus cervus), którego larwa żyje w starych dębach. Wreszcie z robaków występuje dość licznie w jeziorze Sycyńskim pijawka lekarska (Hirudo medicinalis), zresztą już dość rzadka w środkowej Europie i w celach leczniczych sprowadzana przeważnie ż Węgier; od powszechnie pospolitej pijawki końskiej (Aulostomum gulo) różni się już zewnętrznie znacznie ubarwieniem.

Jako uzupełnienie do rzadszych gatunków zwierząt krajowych podać należy jeszcze rzadkie gatunki przybyszów, które mniej lub więcej przypadkowo do nas się dostały, ale z czasem mogłyby w odpowiednich warunkach stać się formami stałymi narówni z już poprzednio wymienionymi pospolitymi gatunkami obcymi. Na podstawie danych z pobliskich nam krain oczekiwać możemy lada dzień pojawienia się u nas dwóch gatunków pozaeuropejskich: są to szczur piżmowy i krab wełnistoręki. Szczur piżmowy (Fiber zibethinus) został w roku 1906 sprowadzony z Ameryki Północnej i wysadzony na wolność w Czechach, w pobliżu Pragi, jako zwierzę futerkowe. Okazało się jednak, że pod tym względem zawiódł on zupełnie, a nawet stał się wybitnie szkodliwym przez podkopywanie i niszczenie tam, tym bardziej, że coraz dalej się rozprzestrzenia. Obecnie stwierdzono go nawet już w Polsce, na Górnym Śląsku i nie ulega wątpliwości, że w najbliższej przyszłości dotrze też do Wielkopolski. Krab wełnistoręki (Eriocheir sinensis) pochodzi z Chin i dostał się do Europy w okolice Hamburga w roku 1912, prawdopodobnie przypadkowo, za pośrednictwem okrętów. Rozpowszechnił się on w krótkim czasie w dorzeczu Łaby i przybył nawet już do Odry i Warty. W roku 1932 schwytano pierwszy okaz w wodach śródlądowych Polski w okolicach Drawska, a więc już w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Nie będzie więc już niespodzianką, jeżeli zostanie schwytany poraz pierwszy również w wodach tutejszego powiatu. Z bezkręgowych zwierząt jako przybysza z południ. Europy uważać musimy powszechnie w podręcznikach opisywanego, lecz rzadko spotykanego motyla trupią główkę (Acherontia atropos), której gąsienica żyje na kartoflach i u nas się też przepoczwarcza, lecz na wolności rzadko zdoła się wyląc. Motyle trupiej główki, u nas się pojawiające, przylatują więc przeważnie z południa. Jeszcze rzadszym okolicznościowym przybyszem jest spokrewniony z nią motyl zmrocznik winiec (Choerocampa celerio), schwytany we Wronkach, a będący stałym mieszkańcem stref gorących. Najbardziej zagadkowym okazało się jednak stwierdzenie w tutejszym powiecie gatunku jamochłona, meduzy Rydera (Microhydra Ryderi); gatunek ten był dotychczas w ogóle bardzo rzadko spotykany, pierwotnie w Ameryce Półn., potem też kil-

kakrotnie w Europie. W Szamotułach stwierdzono kilkanaście okazów tej drobnej meduzy słodkowodnej w akwarium szkolnym w roku 1928; dostały się one tam bezwątpienia z roślinami wodnymi z jeziorka w Szamotułach, lecz wszelkie dalsze poszukiwania okazały się dotychczas bezowocnymi.

Rzucając więc raz jeszcze okiem na stosunki florystyczne i faunistyczne naszego powiatu, nie możemy zaprzeczyć, że i nasze pozornie jednostajne i ubogie okolice obfitują w niejeden ciekawy szczegół i nastręczają niejedno zagadnienie.

Mgr Tadeusz Polańskt — Szamotuły

NAJDAWNIEJSZY LIST MIŁOSNY

Bardzo doniosłą rolę w życiu Europy zachodniej i południowej odegrało rycerstwo średniowieczne, które wpłynęło też znacznie na rozwój literatury a szczególnie liryki miłosnej, której przedmiotem była miłość, ale nie jako żywioł potężnej namiętności, lecz jako wyraz wytwornego, rycerskiego kultu dla kobiety. Obok liryki miłosnej rozwinęła się w średniowieczu miłosna dydaktyka w różnej postaci a więc w formie „listów miłosnych" pisanych prozą lub rymowanych.

Średniowieczna literatura polska kształtowała się w innych warunkach, nie było bowiem w Polsce feudalnego rycerstwa z jego wytwornym kultem dla płci pięknej a nadto u nas tak w życiu prywatnym, jak i społecznym miłość zajmowała stanowisko zbyt podrzędne; W Polsce brakowało zachodnio-europejskiej kultury erotycznej. U nas nie wytwornym rycerzom, jak na Zachodzie, ale mizernej i chudopacholskiej kondycji przedstawicielom: żakom, scholarom, przepisywaczom zawdzięczamy skromny zbiór erotyków średniowiecznych, z których najciekawsze są listy miłosne, oryginalne, lub ich wzory, składające się na nieliczne zabytki polskiej e p i s t o l o g r a p h i a   a m a t o r i a.

Takim zabytkiem jest też najstarszy w ogóle polski list w kodeksie Marcina z Międzyrzecza, „dany w Szamotulech we jśrodę", pisany do „panny najmilszej" z ofiarowaniem jej „służby ustawicznej, doskonałej, przez przestania..."

Tekst listu brzmi następująco:

Ad Dilectam.

„Służbę mą naprzód ustawiczną, doskonałą, przez przestania".

Panno ma namilejsza! Gdy chciałem na służbę od ciebie jachać precz, przyjałem do domu twego, ciebie żegnając. Dziwne rzeczy w miłości będąc, poczęły się między nama, toć jest, aby mnie, nie zapominała, barzo ciem twej miłości począł prosić, a twa miłość na mą prośbę ślubiła to uczynić. A tako z tobą się rozstając, serce me jęło barzo płakać, a ja takie ślubuję twej miłości nie zapominać, ale wszędzie cześć a lubość czynic. Wiedz, moja najmilejsza panno, iże aczkoliciem ja od ciebie daleko, a wszakoż wżdym nie była ani będzie nad cię ina miła, jedno ty sama, panno milejsza ma. Niedawno mię rzecz była potkała, abych barzo krasną pannę miłował, ale, gdym na cię wspomionął, tegom uczynić nie chciał. A o ty wszyćki rzeczy — proszę twej miłości, abyś się mej matuchnie pokłoniła.

Dano w Szamotulech, we jśrodę.

List powyższy zachowany w rękopisie z lat 1426—29 w zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Jagiellońskiej, wydrukowany został przez Malinowskiego w „Pracach Filozoficznych" 1885, Ulanowskiego („Starodawne prawa

polskiego pomniki"), Bruchnalskiego („Polskie listy miłosne", str. 13) Łosia („Początki piśmiennictwa", str. 311) i Ganszyńca („Polskie listy miłosne dawnych czasów", 1925).

Autora listu nie znamy; najprawdopodobniej był nim student Uniwersytetu Krakowskiego (może też sam przepisywacz kodeksu), który, wykształciwszy się na listach erotycznych Zachodu, w raptularzu retoryki pomieścił różne wzory listów a wśród nich ów list miłosny. Chociaż list przechował się w zbiorze formuł, jego podstawa treściowa najprawdopodobniej nie jest literacka, ale rzeczywista; dopiero w odpisie z prawdziwego listu umieszczony został na pewno ten zabytek jako list-wzór w zbiorze retorycznym, jak przypuszcza prof. R. Pilat.

List miłosny z Szamotuł odbiega od zwyczajnego charakteru tego rodzaju listów — nie jest listem oświadczynowym, lecz pożegnalnym, i posiada nader charakterystyczną budowę. Na czele listu mamy przypomnienie pożegnania, potem stwierdzenie miłości, prośbę o wzajemność, ból z powodu rozstania, zapewnienie wierności, czci i miłości, odparcie pokusy, prośbę o dochowanie tajemnicy, wreszcie pokłon dla matki.

Jak już wyżej wspominaliśmy polskie średniowiecze nie stworzyło języka erotycznego; takie epitety zawarte w liście szamotulskim, jak: „panno ma namilejsza ma", jako też cała forma listu świadczą, że autor znał erotyki zachodnio-europejskie; umieszczenie tego listu w zbiorze retorycznym miało służyć popularyzacji języka miłosnego w literaturze polskiej.

Adam Dytkiewicz - Siemianowice Śl.

WIELKOPOLANIN W SŁUŻBIE REGIONU ŚLĄSKIEGO

(Stefan M. Stoiński 1891—1945)

Stefana Mariana Stoińskiego wydały na świat 1891 roku Szamotuły. Od zarania swoich lat był muzykiem, uczył rówieśników pieśni ludowych i patriotycznych w Rogoźnie, dyrygował orkiestrą gimnazjalną, interesował się ludową pieśnią Wielkopolski. Po ukończeniu gimnazjum we Frankfurcie n/O., idzie nieomal sam przez życie...

Studia muzyczne odbywał w Konserwatorium Sterna (Berlin) pod kierownictwem Leichtentritta i Fleischera. Stoiński nawiązał niebawem i łączność z rodakami na obczyźnie podtrzymując ich na duchu. Polski Komitet Narodowy w Berlinie urządził wkrótce po zakończeniu wojny światowej wielki koncert. W programie były utwory Chopina, Moniuszki, Czajkowskiego, Smetany i Wagnera. Filharmonią berlińską dyrygował po mistrzowsku młody nasz muzyk. Na wieść o przygotowaniu powstania wielkopolskiego pośpieszył Stoiński do rodzinnych stron i chwycił za broń. Niebawem ożenił się z Stefanią Urbanowicz, po czym poszedł pełnić misję kulturalną na Śląsk Katowicki.

Tu poznano Stoińskiego najpierw jako organizatora ruchu śpiewaczego i muzycznego (1923). Po rozlicznych trudach i borykaniu materialnym powołał do życia Instytut Muzyczny w Katowicach (1925). Były to czasy przełomowe w życiu muzycznym Śląska. Rzesze śląskich śpiewaków obdarzyły go godnością związkowego dyrygenta. Odtąd śląskie chóry śpiewaczę wchodzą na nową drogę. W 1926 powierzono Stoińskiemu redakcję miesięcznika muzycznego „Śpiewak". W licznych pięknych i głęboko przemyślanych rozprawach, szkicach i artykułach propaguje myśl muzyczną i sieje systematycznie zapał i entuzjazm dla pracy kulturalnej. Trzeba podkreślić, iż jego wszechstronna działalność wypływała z pionierskiej służby społecznej i obowiązku obywatelskiego. W 1929 roku dyrygował Stoiński zbiorowym chórem śląskim na Wszechsłowiańskim Zjeździe Śpiewaczym w Poznaniu, gdzie uzyskał pełny sukces. Z energią i pracowitością przygotował Uroczystości Moniuszkowskie w Katowicach (1930). Dzięki jego zabiegom stanął na placu Karola Miarki pomnik Moniuszki. Prowadził katowickie „Ogniwo", wyniósłszy chór ten na wyżyny sztuki śpiewaczej zespołowej.

Talent jego literacki sprawił, że wysunął się na znacznego publicystę i recezenta muzycznego („Polonia"). Ten niestrudzony organizator i dyrygent, przekonywujący pedagog i pracowity redaktor znajdował jeszcze czas na twórczość kompozytorską. Pozostawił takie dzieła jak: *Rozmowa z piramidami* (1930), *Wielka Modlitwa* (1935), *Ballada symfoniczna* (1937) i wiele pieśni ludowych. Z prac literacko muzycznych wymienić wypadnie: *Najdawniejsze znaki muzyczne i ich pochodzenie* — Katowice 1929, *Pieśni ludowe z polskiego Śląska* — Kraków 1938, *Dudy żywieckie* — Żywiec 1939. Za 15-letnią żmudną pracę na polu krzewienia polskiej kultury muzycznej na Śląsku otrzymał nagrodę muzyczną miasta Katowic (1937).

Stoiński w dalszej swej pracy nie pominął etnografii muzycznej. leżącej dotąd odłogiem na Śląsku. Tym samym ludowy dorobek muzyczny Śląska wprowadził w kulturę narodową i ogólno-polską! Pracy badawczej oddał się z młodzieńczym iście zapałem, zbierając u podnóży Beskidów Śląskich pieśni i tańce ludowe, które poddał naukowej analizie. Gdy nadto nawiązał kontakty z pracownikami w tej dziedzinie (Józef Ligęza, Iza Mendel-Ko-



Stefan Stoiński

rytowska, Teresa Panieńska i in.) — wówczas folklor muzyczny stał się jego pasją. Cierpiąc na gruźlicę (pozbawiony jednego płuca) nie odczuwał zmęczenia, a ustawicznie szperał i gromadził prawdziwe perły etnografii muzycznej. Owocną pracą badawczą zwrócił uwagę Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, z poręki której wydał dwa tomy pieśni ludowych. (Kraków, 1938).

Najwartościowsze prace Stoińskiego nie są dotąd opublikowane, gdyż wojna 1939 zmusiła go do ukrywania się najpierw w Szopienicach wśród życzliwego mu ludu, gdzie opracował dwie grube teki zatytułowane Tańce Śląskie. Potym znalazł schronienie w Krakowie. Tam biorąc udział w pracy konspiracyjnej przygotował Ziemię żywiecką w pieśni. W najcięższych chwilach nie uległ żadnym wahaniom, krzepił na duchu swoich bliskich, radził i zachęcał do wytrwania, bo wierzył niezłomnie w wyzwolenie.

W lutym 1945 był już na Śląsku i w ciągu kilku tygodni stworzył Konserwatorium Muzyczne w Bytomiu. Tu zaczął działać w imię polskości uradowany faktem dziejowym, że starą ziemię Piastów przywrócono Ojczyźnie. Ta nowa ziemia stała się dla Stoińskiego terenem ciekawych i umiłowanych badań folklorystycznych. Zanim badania te rozpoczął, zorganizował najpierw rozproszone rzesze śpiewaków, zwoływał konferencje i zebrania. Jednym słowem krzątał się i zabiegał o sprawę jak przed wojną. Był pełen chęci i dobrych nadziei. Trapiąca go jednak od wielu lat choroba, powaliła go ostatecznie z nóg 26 grudnia 1945 r.

Nie czas tu i miejsce na syntezę jego twórczości. Śpiewacy, muzycy i przyjaciele wydali narazie numer specjalny „Śpiewaka" (Katowice, luty 1946), w którym ukazali wizerunek najpracowitszego tu Wielkopolanina ostatniej doby.

Zasłużony ten pracownik spoczął na cmentarzu katowickim obok mogiły wielkiego syna Śląska — Wojciecha Korfantego.

Dr Witold Jakóbczyk

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

Prawie bez echa minęła w grudniu 1946 r. setna rocznica urodzin Stanisława Szczepanowskiego tego syna Wielkopolanki, urodzonego w Kościanie 12 grudnia 1846 roku. Gdy ojciec jego, inżynier Władysław Szczepanowski, przybył z Francji do Wielkopolski, zetknął się za pośrednictwem Marcelego Mottego z Marcinkowskim. Ten z kolei polecił go gen. Chłapowskiemu, który ulokował go przy pracach nad osuszeniem Obry. Co więcej, Marcinkowski w jego imieniu prosił o rękę 16-letniej Wandy Poplińskiej, córki tak popularnego wówczas redaktora Orędownika Naukowego, Antoniego Poplińskiego. Ich to synem był Stanisław. Przez pewien czas chodził do gimnazjum chełmińskiego, kierowanego wówczas przez znakomitego pedagoga i patriotę, dra Łożyńskiego. Młodość spędził zagranicą: na Węgrzech, we Francji i w Anglii. Obok wykształcenia technicznego zdobył rozległą znajomość historii cywilizacji zachodniej, a matce zapewne zawdzięczał rozmiłowanie w polskiej literaturze romantyzmu i mesjanizmu. Pobytowi w Anglii zawdzięczał tężyznę fizyczną: był świetnym pływakiem i bokserem. Otwierała się przed nim kariera w brytyjskim India Office. Ale marzył, by zostać polskim Cavourem i dlatego wrócił do kraju, do polskiego Piemontu — Galicji, w 1879 roku. Zaczął poznawać kraj wszechstronnie i dokładnie w pieszych wędrówkach. Uderzyła go bieda i pijaństwo u dołu, a lekkomyślna rozrzutność u góry. Wydawano więcej na rękawiczki niż na książki, a o wiele więcej na karczmę, niż na oświatę. Ileż to później walk musiał stoczyć z obszarnikami galicyjskimi, by płacili podatek szkolny. Przodujący politycy i działacze galicyjscy poszli wówczas głównie w kierunku prawno-politycznym, zaniedbując rozwój gospodarczy. Wiedeń nie pozwalał na rozwój przemysłu galicyjskiego, uważając kraj ten niemal za kolonię, dostarczającą rekruta i surowców, a nabywającą produkty przemysłu austriackiego.

Jedyną gałęzią przemysłu o pewnych możliwościach rozwojowych było kopalnictwo naftowe, chwilowo nie dławione. W tę dziedzinę skierował się Szczepanowski po dokładnym zbadaniu terenu i warunków. Z miejsca zastosował maszyny parowe zamiast dotychczasowego kopania szybów lub wiercenia ręcznego. Sprowadzał doświadczonych wiertników z Kanady. Zbudował w Peczeniżynie nowocześnie urządzoną rafinerię nafty. Produkcję wzmógł tysiąckrotnie. Jeden z wielkich nafciarzy wyraził się później o nim: „Zanim Szczepanowski odkrył Słobodę Rungierską, mierzyło się ropę u nas na garnce, od czasu Słobody liczyliśmy produkcję na baryłki, od czasu zaś gdy znów Szczepanowski odkrył Schodnicę, liczy się już tylko na wagony". Szczepanowski wdziewa bluzę robotniczą i sam często pracuje, zachęca do tego współpracowników, a wielu z pośród robotników awansuje stopniowo na kierowników.

Było to konieczne w Galicji, w której przeciętny człowiek jadł za pół a pracował za ćwierć człowieka — jak on to określił w alarmującej i wstrząsającej swą wymową książce: „Nędza Galicji w cyfrach". On stwo-

rzył warunki i atmosferę pracy intensywnej, a dobrze płatnej. Zakładał kooperatywy i świetlice dla robotników i sam wygłaszał w nich odczyty. Sam zaś żył prosto i skromnie, całkiem inaczej niż przeciętni przemysłowcy. W wolnych chwilach chadzał na piesze wycieczki w góry. Na Podkarpaciu zawrzała intensywna i pełna rozmachu praca wydobywcza i przetwórcza. Z jego zapewne inicjatywy powstało Krajowe Towarzystwo naftowe, powstały nowe linie kolejowe. Jako poseł do parlamentu wiedeńskiego, Szczepanowski wywalczył odpowiednie cło ochronne na galicyjskie produkty naftowe. Oczywiście musiał walczyć z austriackimi i węgierskimi rafineriami i godzić się na udział kapitału wiedeńskiego w galicyjskich spółkach akcyjnych.

Gdy wycofał się z parlamentu wiedeńskiego, posłował do krajowego sejmu we Lwowie, gdzie występował głównie w sprawach skarbu i oświaty. Na arenie lwowskiego sejmu walczył z konserwatystami o opodatkowanie na cele szkoły ludowej. Należał do obozu lwowskich demokratów z Romanowiczem, Rutowskim, Asnykiem i z nimi założył Towarzystwo Szkoły Ludowej. Przez szereg lat był prezesem związku spółdzielni zarobkowo-gospodarczych. Brał udział w poczynającym się wówczas ruchu wszechpolskim i poczynaniach muzeum narodowego w Rapperswill w Szwajcarii. Połowę swych nocy spędzał w pociągach między Wiedniem, Lwowem a Kołomyją. Rozległa jego działalność społeczno-polityczna i publicystyczna wpłynęła na zaniedbanie rozbudowanych przedsiębiorstw tak własnych, jak i akcyjnych. Wspólnicy krajowi zagarnęli kopalnie w Słobodzie, a wiedeńscy wyrugowali go z udziałów w Peczeniżynie. Przeprowadzał więc na własny rachunek nowe wiercenia, finansowane przez galicyjską kasę oszczędności we Lwowie. Kasa ta załamała się — przekroczywszy statut w 1898 r. i Szczepanowski pokrył całkowicie swe zobowiązania wobec kasy, ale też i zrujnował się całkowicie. Byt rodziny podtrzymała żona, prowadząc pensjonat w Nauheim, gdzie Szczepanowski zmarł na chorobę serca w 1900 r.

Pod koniec życia włożył wiele energii i talentu pisarskiego w publicystykę. Pisał głównie na łamach świetnie redagowanego, a przez siebie założonego Słowa Polskiego, organu postępowej myśli narodowej. Wykazał tam rozległą znajomość literatury i historii tak powszechnej, jak polskiej. Interesowały go zarówno szerokie perspektywy historiozoficzne w duchu Cieszkowskiego, jak problemy wychowawcze, oraz bieżące zagadnienia życia Galicji i innych części Polski.

Wychował się pod urokiem wielkiej poezji romantycznej i mesjanizmu polskiego, zapewne dzięki wpływom matki. Pozostało to w nim na zawsze i zapadło głęboko w duszę, choć umysł wchłonął później obraz świata zachodniego w duchu techniczno-finansowym. Stąd ta niezrozumiała dla nas niekonsenkwencja tego działacza pozytywisty, który nie wyzbył się wiary w misję narodową. To też jego koncepcja pedagogiki narodowej jest związana nierozłącznie z pojęciem misji. „...Pedagogia narodowa jest to przystosowanie całego narodu do misji, którą mu Opatrzność powierzyła dla dobra ludzkości”... Walczył z zależnością pedagogiki polskiej XIX w. od pedagogiki niemieckiej. Zależność ta zgubna jest dla duszy polskiej. A to dla tego,

że w niemieckim poglądzie na świat istnieje „z a t a r c i e g r a n i c y z ł e g o i d o b r e g o”... Jakże trafnie wyczuł dominującą cechę pruskiej etyki egoizmu narodowego łamiącego wszelkie prawa.

Na czele zaś polskiej pedagogiki stoi — głosi Szczepanowski — zasada bezkompromisowej walki ze złem i wiara w zwycięstwo dobra. On zdaje sobie sprawę, że dobro automatycznie nie zwycięża, że ludzie muszą je wywalczyć. To też konsekwentnie głosił, że następnym przykazaniem pedagogiki polskiej jest „d z i e l n o ś ć w d o b r e j s p r a w i e”. A grzechem ogółu narodowego było zawsze niedołęstwo, mimo bohaterstwa jednostek. Wreszcie ostatnim nakazem pedagogiki narodowej jest: „ustawiczna i czynna propaganda idei narodowej przykładem, życiem i słowem”. Jest ona nieosiągalna bez rzeczywistej solidarności wszystkich równych i dzielnych obywateli Polski odrodzonej. Zacząć trzeba od wyrobienia charakterów. Tu argumentuje Szczepanowski autorytetem Mickiewicza. On to pojął i powiedział narodowi, że zbawienie Ojczyzny leży nie w kombinacjach politycznych i programach, ale w odrodzeniu moralnym narodu, które się musi zacząć od odrodzenia jednostek, skupiających się w coraz liczniejsze i coraz gorętsze ogniska.

W wykonywaniu zadań narodowych nie brakło nam idei, ale brakło zarówno wiedzy, jak ćwiczenia, tj. punktualności i dokładności. Cała nasza historia — twierdzi nie bez pewnej słuszności Szczepanowski — „jest marnotrawieniem bohaterstwa i geniuszu z braku... wiedzy i musztry...” Wieszczowie nasi wołali o czyn, ale nie rozumieli, że: „salto mortale z zamiaru do czynu wiedzie przez to, co oni tak nienawidzili, co tak lekceważyli: przez wiedzę, umiejętność, technikę, przemysł, finanse, przez codzienną szarą praktyczną pracę, od której żadne napięcie ducha wyzwolić nie potrafi...”

Karność i organizacja społeczeństwa muszą być oparte na szlachetnych charakterach i głębokiej wiedzy. O upowszechnienie wiedzy i nowoczesne wytyczne kształcenia norodowego walczył Szczepanowski z całym zapałem i głębokim, trafnym wyczuciem istotnych i najwłaściwszych warunków i prawideł. Sformułował je następująco:

1) Podstawą wykształcenia jest wykształcenie życiowe i autodydaktyzm, a zadaniem szkoły jest przysposobienie umysłu tak, by był otwarty, potrafił patrzeć na życie własnymi oczyma i uczyć się z życia.

2) W społeczeństwie demokratycznym szkoła winna być w harmonii z ustrojem politycznym i główny nacisk kłaść na wychowanie równie, ludowe i obywatelskie całego ludu;

3) W wykształceniu pamiętać trzeba przede wszystkim o warstwach produkujących i zarabiających, a nie o warstwach spożywających lub żyjących z grosza publicznego.

4) Wykształcenie przyrodniczo-matematyczne jest podstawą wszełkiego zdrowego wykształcenia w XIX w...

Krytykuje on austriacko-galicyjski ustrój demokratyczno- liberalny, który nie uwieńczył się demokratyczną szkołą, jak w innych demokratycznych krajach. Co należy zrobić? Skoro centrala wiedeńska jest nieprzychylna, to należy własnymi siłami zorganizować rzetelne, nowoczesne, demokratyczne szkolnictwo. Trzeba zerwać z kultem książkowej, udyplomowanej uczoności,

jakże często wyłącznie ograniczonej do konsumcji. W ówczesnej Galicji zamożne i utytułowane próżniactwo żyło i rozkoszowało się po europejsku, ale produkcja w kraju nieuprzemysłowionym odbywała się po barbarzyńsku, bez wiedzy i narzędzi nowoczesnych. A co gorzej, owe warstwy konsumujące żyły w poszanowaniu, a pracujące nie były doceniane. „Do zasadniczych postulatów demokracji, tj. równości duchowej wobec Boga i świata, należy także i to, żeby poważać ludzi przede wszystkim podług ich wykształcenia życiowego i nie otaczać książkowej uczoności... tą aureolą... W prawdziwej demokracji tkwi niezmierzona siła, bo choć nie (wszyscy) wybrani, to wszyscy są powołani, bo czerpie się geniusz z zasobów całego narodu..."

Przestrzegał także przed dalszym rozrostem wszechwładztwa i przewartościowania biurokracji, wskazując na przykład angielski, oparty na organizacji, karności i charakterze jednostek, a nie na tresurze biurokratycznej.

Szczepanowski poruszył sprawy drażliwe a bardzo istotne w krytyce zarówno szlacheckiej przeszłości, jak i współczesności galicyjskiej w końcu XIX w. Uderzyło go ciekawe zjawisko, skupiające uwagę wielu dawnych i dzisiejszych publicystów. Oto stwierdzał, że Polak dla sprawy ogólnej chętnie ginie, ale żyć dla niej nie potrafi. „Cała nasza przeszłość, cała nasza przyszłość woła o tę ewangelię życia, o związek pomiędzy ideałami narodowymi, a szarym życiem domowym, rodzinnym, codziennym, o to poczucie, że każdą chwila, każda godzina naszego działania zbliża nas do upragnionego celu... Tu nasza słabość, tu nasza siła, tu nasza nadzieja".

Podstawą działania zbiorowego jest przeobrażenie i udoskonalenie jednostki. Wysoki poziom działania zbiorowego wymaga zaostrzenia poczucia obowiązku i nakładania coraz nowych obowiązków na jednostki wykonawcze i przodujące. Dalszym warunkiem wysokiego poziomu owego zbiorowego ruchu jest przewaga celów ogólnych, narodowych lub społecznych, nad celami osobistymi. Szczepanowski cytuje przykład Staszica, Kościuszki lub Lelewela, którzy umieli ograniczyć swe potrzeby osobiste, co ma dowodzić ich przeobrażenia wewnętrznego, lekceważenia błahostek, podporządkowania siebie celom ogólnym. Wydaje się, że gorący publicysta uprościł tu sprawę i nie uwzględnił wszystkich elementów biograficznych tych ludzi. Bardziej przekonywującym jest przykład ogromnych osiągnięć cywilizacyjnych niektórych zakonów średniowiecznych, jak np. Cystersów. Szczepanowski podkreśla ów altruistyczny etos wszystkich okresów bohaterskich w historii ludzkiej. To też alarmuje, by w okresach pokojowych nie marnować czasu, bo „tragedia lat zmarnowanych" jest nie mniejszym nieszczęściem niż wszystkie klęski. Na szczęście dostrzegał Szczepanowski zapoczątkowanie odrodzenia narodowego w różnych częściach Polski.

W wirze niezrównanej aktywności śledził bacznym okiem i odczuwał gorącym sercem ciężką walkę polskości o byt w Poznańskim. Już w 1885 r. w erze t. zw. „rugów polskich" w piśmie „P o m o c w ł a s n a" zabrał głos na temat barbarzyństwa pruskiego.

Stwierdził z dumą, że wbrew rachubom rozbiorców naród odradza się w Poznańskim w całej swej masie. Właśnie ciosy bismarkowskie dowodziły, że musi on walczyć z narodem jednolitym, przyjętym jednym duchem naro-

dowym"... Okazało się, że wszyscy Polacy każdego stanu i wyznania są również niebezpieczni dla prusactwa. Pomylił się Bismarck, widzący tylko w szlachcie i duchowieństwie wrogów prusactwa. Szczepanowski z ogromnym uznaniem patrzał na ówczesne poczynania społeczno-gospodarcze Wielkopolan. W całym kraju — stwierdzał — „dopiero powoli wyrabia się przekonanie, że praca nad ludem, praca nad postępem społecznym, praca nad rozwojem wszystkich sił narodowych jest ważniejsza od form politycznych"... Entuzjazmował się odrodzeniem narodowym Czechów w XIX w. i wskazywał ich polityków za wzór postępowania małego i słabego narodu. Uważał za bardzo wskazane i pocieszające to, że Wielkopolska wstąpiła na tory Czech, że „z politycznego i szlacheckiego ruch stał się ekonomicznym, społecznym i ludowym i rozszerzył się poza granice traktatowe do granic etnicznych narodowości polskiej... Jedyną drogą na przyszłość jest wyzyskanie legalne w każdym poszczególnym wypadku wszelkich środków prawnych i konstytucyjnych, a zarazem nieugięta obrona każdego stanowiska ekonomicznego, lub też odzyskanie już straconych pozycyj i wyrobienia tej spójni i solidarności narodowej, która jest większą siłą od wszelkich gwarancyj traktatów i przywilejów"...

Szczepanowski był niestrudzonym krzewicielem postępu w kraju, usiłował go europeizować i unowocześniać. Wskazywał na konieczność uczenia się od innych, nie zatracając oblicza narodowego. Głosił ideał nowoczesnego Polaka-pracownika uspołecznionego. Na czoło wysuwał wyrobienie czynnego charakteru. „Nie wolno nam wytwarzać charakterów biernych, bo w walce o niepodległość, o odrodzenie narodu, te wszystkie bierne charaktery, chociażby były nie wiedzieć jak uczone, są niczem... Połączeniem szlachetnego charakteru ze skutecznym działaniem wytwarza się dzielność".

W swych rozważaniach nad dziejami i psychiką narodu widział najgłębszą tragedię wewnętrzną w naszym rozbracie serca i rozumu. Szukał rozwiązania tej sprzeczności i odnajdywał ją w syntezie realizmu, i idealizmu w powiązaniu praktyki Czackiego i Kołłątaja z mesjanizmem wielkiej poezji narodowej. Bo choć poezja wołała o czyny, to nie rozumiała, że „salto mortale z zamiaru do czynu wiedzie przez... wiedzę, umiejętność, technikę, przemysł, finanse, przez codzienną, szarą, praktyczną pracę, od której żadne napięcie ducha wyzwolić nie potrafi". Widział właściwą rodzimą koncepcję wychowawczą w syntezie Trentowskiego. Ten bowiem uczył, że dopiero połączenie realizmu i idealizmu tworzy „zupełnego człowieka nowożytnego, — człowieka, który pracuje, władając całą potęgą przyrody i posiada w sobie całe to poczucie obowiązku i sumienia, które cechuje człowieka cywilizowanego. Szczepanowski, znający filozoficzne i ekonomiczne koncepcje, oraz praktykę polityczną Cieszkowskiego, widział w nim „zapowiedź tych nowych ludzi, u których rozum nie wysłucha serca, a serce nie nakazuje rozumowi milczenia, ale używa go jako umiejętnego wykonawcę swoich zamiarów, w chwili stosownie wybranej i skutecznie przygotowanej". Ów swoisty racjonalizm narodowy Cieszkowskiego, socjalizującego arystokraty, uważał Szczepanowski za najwłaściwszy i jedyny zbawczy kierunek naszej ówczesnej myśli społeczno-politycznej. Wołał o wszechstronną pracę, organiczną, wzma-

gającą wszystkie siły narodowe, a połączoną z hasłem odrodzenia narodowego charakteru. Był racjonalnym pozytywistą narodowym o duszy romantyka. Już operował środkami realnymi, a jeszcze nie wyzwolił się z więzów mesjanizmu. Zapewne wpływ matki zaciążył na nim, wywołując te niekonsekwencje światopoglądowe i ideologiczne.

Tych niekonsekwencyj nie widać u dwóch naszych poznańskich pre-pozytywistów: Marcinkowskiego i Cegielskiego. Szczepanowski miał farysowski rozmach i walczył ze sferami kierowniczymi Galicji, gdy Cegielski umiał się koncentrować i zdobyć poparcie i uznanie ziemiaństwa poznańskiego. Jak Marcinkowski — miał i Szczepanowski wiele wrogów, bo był zbyt silną, niezależną indywidualnością, która zdzierała swe siły w walce z obcymi i swoimi. Zmarł przedwcześnie.

Jeśli więc historia ma być mistrzynią, to tylko w tym jedynym sensie, byśmy działali na równie wysokim poziomie, jak najlepsi z poprzedników. A to znaczy: z równym oddaniem się dziełu, urzeczywistnianemu możliwie najlepszymi metodami.

Dr Mieczysław Jabczyński

JESZCZE O MARCINKOWSKIM

Setna rocznica zgonu Dr Marcinkowskiego zaktualizowała tę ciekawą postać dziejową, dając nam dość obfity plon w postaci całego szeregu przyczynków, artykułów, które pojawiły się na łamach naszych periodyków kulturalno-społecznych. Na specjalną uwagę zasługuje piękna książka dr Jakóbczyka o Doktorze Marcinie, która mimo że utrzymana w tonie naukowo-popularyzacyjnym i pozbawiona aparatu ściśle naukowego stanowi rzetelny dorobek w bibliografii poświęconej „świętemu demokracie".

Autorowie tych rozpraw i przyczynków nie wyłączając dr Jakóbczyką podkreślali zgodnie pełną poświęcenia działalność samarytańską naszego wielkiego lekarza filantropa, doniosłą rolę jako prekursora i pioniera, którą odegrał ten wielki organizator w dziedzinie polityki organicznej, jego ogromne zasługi jako społecznika w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, wreszcie moralną dyktaturę, którą dzierżył u nas w latach 1841 do 1845. Sporo światła rzucono na tę wybitną postać, jedną z najbardziej fascynujących w naszej historii.

Przy tym wszystkim wydaje mi się, że nie uwydatniono w dostatecznej mierze tła społecznego, na którym przyszło temu wielkiemu działaczowi żyć i pracować, nie uwypuklono należycie trudności i oporów, które musiał zwalczać i przezwyciężać, nie podkreślono też tych cech jego charakteru, które sprawiły, że ten wnuk chłopa z pod Poznania wyrósł na czołową postać ówczesnego społeczeństwa wielkopolskiego, wykazującego pod ów czas tak silne zabarwienie stanowe.

Na sprawy te pragnąłbym tu zwrócić uwagę i wskazać, że postać ta, oświetlona z tego punktu widzenia nabiera innego aspektu aniżeli ten, którym przywykło się do tej pory ją mierzyć, staje się indywidualnością iście pionierską, pełną sił i uroku, nie pozbawioną głębokiego tragizmu.

Nie sądzę, by artykuł ten wyczerpywał w zupełności to zagadnienie. Celem jego jest zwrócić uwagę ogółu czytelników a zwłaszcza kompetentniejszych ode mnie badaczy na znaczenie tego zagadnienia i zachęcić tych ostatnich do wszczęcia badań z tego to punktu widzenia nie tylko nad samym doktorem Marcinem, lecz również nad jego współpracownikami i adwersarzami.

Dr Marcinkowski urodził się w czasie gdy chłopów naszych zwano tylko po imieniu, gdy w metrykach chrzcin, ślubów czy zgonów do imion chałupników, wyrobników, ratajów czy kmieci dodawano co najwyżej ich przezwiska oraz nieodłączny przydomek „pracowitego" Jana, Marcina czy Macieja. Mieszczańskim synom wprawdzie wypisywano do metryk i innych dokumentów ich nazwiska, lecz nie zaniedbywano nigdy zaznaczać, że są oni tylko „sławetni" w odróżnieniu od „urodzonych", który to przymiotnik przysługiwał tylko szlachcie.

Tak było aż do czasów powstania Księstwa Warszawskiego.

Idee egalitarne wielkiej Rewolucji Francuskiej, przyniesione przez wojska napoleońskie, przez napoleoński kodeks cywilny i nowe formy ustrojowe

szybko zakorzeniły się w społeczeństwie polskim zwłaszcza na zachodzie, niemniej jednak w warstwie panującej, w szlachcie, długo zachował się zwyczaj dopytywania się o każdego, kto się do niej zbliżał, kto zacz i kto go rodził. Łatwiej przyjmowała ta warstwa do swej sfery ludzi choćby mieszczańskiego, lecz obcego pochodzenia, takich Szopenów, Libeltów czy Buchmanów, atoli Polak mieszczańskiego, czy zgoła chłopskiego pochodzenia napotykał u szlachty na rozliczne trudności i afronty z chwilą gdy zapragnął wydźwignąć się do tej sfery, zawsze jeszcze bardzo ekskluzywnej. Taki los spotkał np. ojca Marcinkowskiego, gdy dorobiwszy się na szewstwie i szynkarstwie przerzucił się na rolę, na której uprawie jako syn chłopski musiał się coś niecoś znać i wziąwszy kawałek ziemi w dzierżawę zapragnął być „dziedzicem". Impreza ta skończyła się dla niego fatalnie, co niewątpliwie musiało być poważnym ostrzeżeniem dla syna. A gdy już chodziło o przyjęcie do rodziny ziemiańskiej synów mieszczańskich, to pod tym względem potrafiono dobitnie zaznaczyć, że progi szlacheckie są za wysokie dla intruzów niższego pochodzenia. Losu takiego doznał nawet Szopen ze strony Wodzińskich, a ponoć i nasz Marcinkowski ze strony Szczanieckich.

To stwierdzić musimy jako fakt nie ulegający najmniejszej wątpliwości że start życiowy dr Marcinkowskiego, tego syna szewca i szynkarki przedmiejskiej a wnuka chłopa podmiejskiego był arcytrudny, wymagał dużo zaparcia się siebie i wybitnych uzdolnień i był do pomyślenia tylko w szczególnie korzystnych warunkach jakie pod tym względem zaistniały w początkowej fazie istnienia Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

W rzeczy samej spotykamy się wówczas z całym szeregiem ludzi pochodzenia mieszczańskiego lub drobnoszlacheckiego, którzy w powoli rozrastającej się stolicy Księstwa wyrastają ponad środowisko drobnych kupców i rzemieślników tak typowe dla 18-wiecznego Poznania. Są to przeważnie duchowni (ksiądz Brzeziński), lekarze, (dr Matecki i dr Gąsiorowski), naukowcy i nauczyciele (Libelt, Łukaszewicz, później H. Cegielski) itp. Niektórzy robią kariery zastanawiająco szybkie. Przytoczę przykład mego stryjecznego pradziadka księdza Jana Jabczyńskiego, jednego z pierwszych członków zarządu Towarzystwa Pomocy Naukowej, który jako syn kuśnierza z Dolska już w trzydziestym roku życia został za czasów arcybiskupa Wolickiego kanonikiem metropolitalnym.

Tacy ludzie dawali początek narastania nowej tkanki społecznej, tak zwanej inteligencji, która później rozrósłszy się i nabrawszy sił miała zdobyć przodujące stanowisko w narodzie. Pamiętać jednak winniśmy, że warstwa ta w trzecim i czwartym dziesięcioleciu wieku XIX była u nas jeszcze bardzo nikła i że dla zdolniejszych jednostek było rzeczą stosunkowo nietrudną wybić się w niej na czoło. Z drugiej strony coraz ściślejszy kontakt z bardziej pod tym względem zaawansowanym społeczeństwem niemieckim sprawiał, że i u nas coraz bardziej odczuwano potrzebę wzmocnienia tej nowej warstwy w narodzie i zasilenia jej nowymi sokami z nizin społecznych. Takim w gruncie rzeczy był cel, do którego realizacji powołano Towarzystwo Pomocy Naukowej.

I jeszcze jedno. Do schyłku wieku XVIII ośrodki dyspozycyjne energii narodowej rozsypane były u nas w Polsce po wsiach: po pałacach magnackich, rzadziej po dworach szlacheckich. W dobie rozbiorowej, w okresie Sejmu Wielkiego i Insurekcji Kościuszkowskiej skupiały się one za przykładem zachodu w stolicy Rzpltej. w Warszawie. Teraz po Kongresie Wiedeńskim, w nowo powstałym Wielkim Księstwie Poznańskim do tej roli przodującej aspiruje i powoli dorasta miasto Poznań. Jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego było rzeczą nie do pomyślenia by człowiek świecki pochodzenia mieszczańskiego, lekarz czy uczony, bankier czy kupiec przy największych nawet zdolnościach zdołał się w Poznaniu wybić ponad lokalne znaczenie. Jako przykład niech nam posłuży ksiądz Staszic, pokrewny dr Marcinkowskiemu umysłem, charakterem i... pochodzeniem. Zdobył sobie niezaprzeczenie czołowe stanowisko w całym kraju, chociaż bynajmniej nie naczelne, jakie przypadło w udziale naszemu doktorowi Marcinowi. Osiągnął to jednak nie jako człowiek świecki, którym był z usposobienia, lecz w sukience duchownej i nie w prowincjonalnym Poznaniu, chociaż pochodził z pobliskiej Piły, lecz w Warszawie, w której jako w stolicy Państwa ów proces koncentracji narodowych ośrodków dyspozycyjnych wcześniej dojrzewał niż na prowincji.

Widzimy więc, że arcyciekawy proces przemian społecznych, które przechodziło społeczeństwo wielkopolskie w pierwszej połowie wieku XIX w pewnej mierze ułatwiał i umożliwiał zawrotną karierę życiową dr Marcinkowskiego, który wyrósłszy ze środowiska drobnomieszczańskiego w ciągu swego tak krótkiego żywota stał się niezaprzeczalnie moralnym dyktatorem społeczeństwa wielkopolskiego. Musiały jednak współdziałać i to w niepośledniej mierze osobiste bardzo wybitne walory, które temu człowiekowi pozwoliły przełamać wszelkie opory choćby uprzedzenia stanowe, z którymi wypadło mu się w życiu borykać.

Wnikając w psychikę dr Marcinkowskiego nietrudno dojść do wniosku, że dominantą jego życia psychicznego jest niesłychana, tytaniczna wprost siła woli, która pozwoliła mu ujarzmić jego jaźń duchową i cielesną tak dalece, że współczesnym i to najbliższym jego współpracownikom i przyjaciołom wydawać się mogło, iż człowiek ten pozbawiony jest wszelkich pragnień osobistych i że nie ma w życiu jego tego, co nazywamy życiem prywatnym. W parze z tą niepospolitą siłą woli szła niezwykła żądza czynu. Dr Marcinkowski to przedewszystkim człowiek czynu i to w takim stopniu, w jakim niewielu podobnych wydał w swych dziejach nasz naród.

W tym tkwi jego siła, jego potęga moralna, źródło jego przewagi duchowej nad ludźmi i nad społeczeństwem, które cierpiało raczej na niedorozwój woli a lubowało się i lubuje w rezonowaniu, w gadulstwie, w mitrężeniu czasu.

Charakter dr Marcinkowskiego wydawał się oczom współczesnych monolitem niby z jednej bryły wykutym. Takim wydaje się i nam w sto lat po jego śmierci. Wrażenie to wywołane jest do pewnego stopnia niedostatecznością naszych źródeł. Możliwe, że dysponując obfitszym materiałem źródłowym moglibyśmy wykazać i w tej postaci skazy i szczeliny, które doprowadziłyby nas do wnikliwszej analizy.

Z drugiej jednak strony ogromna siła woli, którą potrafił opanować wszelkie tak ludzkie słabostki i przywary, które niewątpliwie i w jego duszy się krzewiły, ogromna jego ofiarność i bezinteresowność, niestrudzona pracowitość i żarliwość, bezkompromisowość, i konsekwencja, jego szlachetna duma i ambicja, jego szalona odwaga, którą okazywał i w szarżach ułańskich i przy zwalczaniu chorób zakaźnych, wszystko to są cechy, które imponowały i musiały imponować współczesnym, zamykały usta niechętnym i potwarcom, wywyższały ponad najwyżej postawione osobistości i nad wszelkie bariery stanowe.

Marcinkowski nie był mocarzem słowa mówionego czy pisanego, nie był też układnym salonowcem, chociaż od młodości stykał się z rodami arystokratycznymi (z Radziwiłłami, Czartoryskimi), nie był głębokim myślicielem, nie dorównywał w tym względzie Cieszkowskim czy Libeltom, lecz w czasach wszechwładzy romantyzmu, gdy politycy nasi i politykierzy przybierali pozy bajronowych bohaterów a poeci nasi i myśliciele popadali w czad mistycyzmu, on jeden górował nad wszystkimi trzeźwością swoich sądów, trafnością swych przewidywań, realizmem swej wyobraźni a przede wszystkim tym, że nie było najmniejszej sprzeczności między jego słowami i hasłami a jego czynami, jego szarym codziennym życiem. I właśnie w tym tkwi jego największy triumf.

Być tak jak on przez kilkadziesiąt lat najpopularniejszym lekarzem i społecznikiem, pozostawać przez ten czas pod obstrzałem powszechnej dociekliwej obserwacji w małym plotkarskim środowisku i nie zbaczać ani na chwilę z raz obranej drogi, wymagającej największego samozaparcia jest heroizmem, któremu równych nie łatwo można znaleźć.

Powie ktoś, że taką już była jego natura, lecz pamiętać winniśmy, że w naturze każdego człowieka tkwi pewna skłonność do wygód, która jest zarazem reakcją organizmu na nadmierny wysiłek. I Marcinkowski podlegał niewątpliwie wahaniom i załamaniom psychicznym. I jego musiały nachodzić chwile zwątpienia, w których stawiał sobie pytanie, czy ta uciążliwa droga jest celowa, jako lekarz musiał zdawać sobie sprawę, że jego wątłe ciało nie nadługo podoła takiemu samobójczemu trybowi życia jaki sobie narzucił. I właśnie w tym codziennym pokonywaniu swych słabości, w tym zwycięstwie nad samym sobą tkwi przyczyna zwycięstwa, jakie odniósł nad stanowymi nawykami ówczesnego społeczeństwa wielkopolskiego, nad sobkostwem i kastowością szlachty, tej warstwy narodu, która do tej pory miała niezaprzeczoną przez nikogo i niekwestionowaną hegomonię.

Lecz trzeba rozumieć i stale sobie uprzytomniać z jak wielkim trudem i kosztem jak wielkich ofiar wywalczał sobie ten człowiek swoje wyjątkowe stanowisko.

On pierwszy bowiem przełamał bariery stanowe szlacheckie, pierwszy to bowiem Polak drobnomieszczańskiego a właściwie chłopskiego pochodzenia, który stał się niekoronowanym władcą naszego społeczeństwa.

I jeszcze jedno. Tylko wśród reprezentantów najwyższej arystokracji znajdywał pełne uznanie. Ks. Adam Czartoryski widział w nim wykonawcę swego społecznego programu, hr. Zygmunt Krasiński nazywał go świętym demo-

kratą. Atoli spiskująca opozycja posądzała go o arystokratyzm. Bo w rzeczy samej wszystko co czynił dla ludu, czynił bez jego współudziału. Takie były ówczesne stosunki.

Lecz z drugiej strony ten pierwszy nasz wielki demokrata, ten demokrata nie tylko ze słów i haseł, które głosił, był w gruncie rzeczy naturą nawskroś arystokratyczną, naturą pańską, był arystokratą ducha, jak przystało zresztą na tego urodzonego wodza narodu.

Tkwi w tym głęboki tragizm tej niezwykłej postaci dziejowej dotychczas w całej pełni przez ogół polski jeszcze niedocenianej.

Wnikliwego studium psychologicznego tego człowieka jeszcze nie posiadamy, nie jest nim próba charakterystyki, którą umieścił w grudniowym numerze Kroniki miasta Poznania ostatni biograf doktora Marcina.

Dopiero takie wnikliwe studium psychologiczne oparte o rozległe tło socjologiczne pozwoli nam należycie poznać i ocenić tego pierwszego Polaka chłopskiego pochodzenia, który przełamał przegrody stanowe dawnej Polski, tego pierwszego naszego szczerego demokratę o duszy nawskroś arystokratycznej.

Dr Kazimierz Kaczmarczyk
Dyr. Archiwum Państwowego w Poznaniu

DUCH MARCINKOWSKIEGO

W r. 1870 otwarto w Żabikowie koło Poznania za staraniem znakomitego filozofa i ziemianina Augusta Cieszkowskiego i zarządu Centralnego Towarzystwa Gospodarczego na Wielkie Księstwo Poznańskie „Wyższą Szkołę Rolniczą im. Haliny w Żabikowie". Cieszkowski chcąc ułatwić założenie oddał na cele tej szkoły swój folwark na 12 lat bezpłatnie w dzierżawę, dla uczczenia zaś żony Cieszkowskiego Heleny z Cieszkowskich, siostry stryjecznej, zmarłej w r. 1871, nadano szkole nazwę im. Haliny[1]). Szkoła rozwijała się początkowo dobrze, miała znakomity na swe czasy dobór nauczycieli, jak dyrektor Dr Juliusz Au i Józef Rivoli, który w r. 1874 i 1875 wykładał tu encyklopedię leśnictwa i geografię fizyczną Polski dla rolników[2]). Rząd pruski, dla którego polska szkoła była solą w oku, patrzył na nią niechętnie i dążąc do jej zniszczenia, robił na każdym kroku trudności. Między innymi w czerwcu 1875 r. wydalił z niej 3 profesorów i 13 uczniów pod pozorem, że są obcokrajowcami. Istnieje ona jeszcze pewien czas, ale byt jej jest zagrożony, postanowiono nawet ją zamknąć. Usiłuje jeszcze ratować ją Cieszkowski, który dla jej utrzymania poniósł znaczne ofiary materialne, rezygnując z dochodów za dzierżawę folwarku w Żabikowie przez szereg lat i w tym celu zwraca się za pośrednictwem Józefa Morawskiego[3]) z Kotowiecka z propozycją do Spółki Bazarowej w Poznaniu, by ratowała zagrożony byt szkoły przez przejęcie jej na siebie. Propozycja była trafnie skierowana, już bowiem w r. 1843 Spółka Bazarowa zajmowała się sprawą założenia szkoły rolniczej, a do komitetu opracującego plan szkoły należał właśnie między innymi i Morawski[4]).

List Cieszkowskiego[5]) skierowany w sprawie Żabikowa do Morawskiego tak ze względu na jego autora, wybitnego filozofa jak i jego ciekawą i charakterystyczną treść zasługuje, by go bliżej poznać. Brzmi on następująco:

„Wilda per Poznań 2/6 1878

Kochany Józefie! Czy będziesz na Zgromadzeniu Spółki Bazarowej 25-go t. m.? Pilnoby mi było wiedzieć o tem, bo chciałbym Cię prosić, abyś w mojem imieniu ofiarował Spółce objęcie Żabikowa na takich samych warunkach na jakich go dotychczas Towarzystwo Centr(alne) Gosp(odarcze) posiadało, celem otwarcia na nowo i utrzymania nadal Szkoły rolniczej imienia Haliny.

Spółka Bazarowa jest rzeczywiście jedyną dziś u nas istniejącą osobą prawną i moralną, zdolną pod każdym względem dokonać tego, czego ani Tow(arzystwo) Centr(alne) Gospodarcze w braku praw korporacyjnych etc. ani owa pseudospółka akcyjna, (która uzurpowała imie Szkoły) w braku funduszów ani nawet Rada miłosławska w braku dobrej woli, dokonać nie może lub nie chce. Spółka Bazarowa zaś ma i siły potemu i osobistość prawną i w tradycyi założyciela swojego przekazany wyraźny cel a więc poniekąd odziedziczony moralny obowiązek. Jeżeli Spółka Bazarowa przyjmie offertę moją i obróci

swój nagromadzony fundusz agronomiczny na porządną organizacyę Szkoły, to zdaje mi się, że nie tylko duch Marcinkowskiego podzieli radość moją widząc spełnienie i utrwalenie jednego z najgorętszych życzeń i celów naszych, ale że i kraj cały będzie jej wdzięczny za to, iż w chwili takiej apatyi i zniedołężnienia, kiedy się wszystko u nas już nie rozpada ale formalnie rozłazi, zdobyła się na czyn pozytywny, i (nie dała upaść ani pójść w poniewierkę juści najpotrzebniej z naszych dotychczasowych prac organicznych, boć pytam się, cóż może być w tej chwili dla nas potrzebniejszego nad instytucyą kształcącą zdolnych ziemię naszą w ręku naszym ratować.

Jeżeli zaś Spółka Bazarowa odmówi, albo, co na jedno wychodzi, postanowienie swoje co do już niestety „zawieszonej" Szkoły, jeszcze sama zawiesi, wtedy oczywiście przestanę być naiwnym natrętem wobec obojętnego na swą przyszłość społeczeństwa, Pomny z jednej strony na maszynę „beneficia non obtruduntur" (tembardziej gdy takowe jak tu są b(ardzo) onerosa), z drugiej zaś strony na własne względem dzieci obowiązki, które mi pozwalały dotychczas ponosić ofiary, póki te były lub mogły być skuteczne, lecz nie pozwalają zgoła bezskutecznie a uciążliwie znosić obecnego provisorium, wypuszczę naturalnie Żabików w dzierżawę zdarzającym się mi pretendentom.

Ściskam Cię serdecznie

Aug(ust)

„Co mówisz na ostrygowe milczenie posłów naszych przy ostatniej dyskusji? Taką sposobność opuścić — taką i to w wilią zamknięcia parlamentu a otwarcia kongressu! Jakoś to za naszych czasów inaczej bywało". —

*

Nie wiemy nic, jakie zajęła stanowisko Spółka Bazarowa wobec propozycji Cieszkowskiego, wiemy jedynie, że jeszcze w tymsamym roku 1878 rozstrzygnęły się losy Wyższej Szkoły im. Haliny w Żabikowie przez zamknięcie przez rząd pruski[6]), który od początku jej istnienia zajmował wrogie wobec niej stanowisko, bo była polską.

---

[1]) Żychliński, Złota księga szlachty polskiej XX, str. 17.

[2]) Słownik geograficzny XV, 714: Uniwersytet Poznański w pierwszych latach swego istnienia. Poznań, 1924, str. 605.

[3]) Morawski ur. 1813, członek pruskiej Izby Panów, wieloletni poseł na sejmy prowincjonalne księstwa poznańskiego, członek Koła Sejmowego polskiego w Berlinie, był przez swe koligacje jednym z najwpływowszych obywateli wielkopolskich. Należał do założycieli Bazaru. Żychliński. Złota księga szlachty polskiej XXIII, 74—75; Skałkowski, Bazar poznański. Poznań, 1938, str. 22.

[4]) Skałkowski. Bazar, str. 307.

[5]) W zbiorach p. Mariana Swinarskiego w Poznaniu.

[6]) Żychliński, Złota księga XX, str. 19.

Dr Jerzy Młodziejowski

WIKTOR ADAM KURNATOWSKI I JEGO MAPA W. KS. POZNAŃSKIEGO

Dzieje polskiej kartografii w XIX wieku nie zostały dotąd opracowane. Nawet B. Olszewicz nie poświęcił temu stuleciu osobnej rozprawki swego „przeglądu chronologiczno-biograficznego", który tyle nowych i dotąd nieznanych szczegółów przyniósł z dziedziny polskiej kartografii. Wydaje się tedy wskazanym publikować — o ile możności najczęściej — materiały przynajmniej do późniejszej w tym kierunku syntezy. Że taka nadejść wreszcie powinna — wątpliwości nawet niema. Na szczęście materiały kartograficzne z XIX wieku nie są tak niedostępne lub trudne do odszukania, to też szczegółowszy opis takich „zabytków" nie powinien specjalnych przedstawiać trudności. Wiedząc, że do syntetycznego chociażby tylko przeglądu dzieł kartograficznych z tego okresu jednak jeszcze dość daleko — nie waham się opisać na tym miejscu wysoce interesującą ze względu i na treść i na autora mapę.

Wiktor Kurnatowski jest do pewnego stopnia zagadkową postacią w życiu polityczno-patriotycznym Wielkopolski w ciągu ubiegłego wieku. Bardziej znano go jako artystę. A. Brosig w swej rozprawce p. tyt.: „Dzieje sztuki litograficznej w Poznaniu" (odbitka z „Kroniki miasta Poznania" z roku 1936) poświęca Kurnatowskiemu szereg zdań. Opierając się na jego cytatach, podam tu kilka charakterystycznych rysów tej osobliwej postaci litografa-patrioty, o którym Marceli Motty wspomina nie bez wzruszenia, że „...był Rejtanom i Łukasińskim duchem pokrewny".

Wiktor Kurnatowski pochodził z Litwy. Pochodzenia tego wcale się zresztą nie zapierał, zwłaszcza, że charakterystyczna mowa na każdym kroku go „zdradzała". Był kalwinem a prawdziwe nazwisko ukrywał w tajemnicy. Prawdę zapewne znało tylko dwóch ludzi w ówczesnym Poznaniu: Karol Marcinkowski i Maciej hrabia Mielżyński. Trudno docieć przyczyn owej „Kurnatowskiego" tajemnicy. Motty się nią w czasie pisania swych „Przechadzek" nie interesował i o prawdziwe nazwisko Litwina obu nigdy nie zapytywał. Rzekomo miał ów Kurnatowski studiować na wileńskim uniwersytecie a podczas wejścia wojska polskiego na Litwę w 1831 roku przedostał się był do korpusu generała Dezyderego Chłapowskiego, nim ten jeszcze musiał złożyć broń w Prusach na skutek karygodnego niedołęstwa Giełguda. Po upadku powstania Kurnatowski pojawił się w babimojskich Chobienicach (między Zbąszyniem a Kopanicą), gdzie znalazł przytułek w majątku Macieja hr. Mielżyńskiego. Wreszcie przeniósł się do Poznania i tam, w domu tegoż Mielżyńskiego został guwernerem najstarszego syna hrabiego — Józefa. Mielżyński był szczerym patriotą, uczestniczył oczywiście w powstaniu listopadowym, odcierpiał karę więzienia ale później, w Poznaniu przebywając, odegrał niemałą rolę w życiu społecznym a nawet i kulturalnym tej prowincji. Był obok Marcinkowskiego, Cegielskiego, Mottego i tylu innych

jednym z najważniejszych ludzi, którzy systematycznym i trwałym wysiłkiem utrzymywali w Wielkim Księstwie Poznańskim szczerze polskiego ducha. On to — między innymi wieloma swymi zasługami — namówił właśnie Wiktora Kurnatowskiego do założenia w Poznaniu polskiego zakładu litograficznego. Takiej placówki już w owym czasie tu nie było, bowiem nauczyciel muzyki, Karol Antoni Simon, który od 1822 roku miał pozwolenie od miejscowych władz na drukowanie i litografowanie nut, książek i rycin — umarł w styczniu 1841 roku. Odrazu tedy Kurnatowski przy wydatnym poparciu Mielżyńskiego zakłada przy obecnych Alejach Marcinkowskiego własną drukarnię litograficzną. Kunszta tej gałęzi plastyki nie były mu obce, bowiem kształcił się był w litografii i cynkografii w Berlinie a jeszcze przedtym w Poznaniu. Minutoli, autor znanych grafik z widokami Poznania był w owym 1841 roku prezydentem policji poznańskiej i podpis swój na podaniu Kurnatowskiego skwapliwie położył. Pierwsze prace były przeważnie podobiznami znanych ludzi. Krytyka odniosła się do nich nader pozytywnie, czego żywym dowodem jest taki oto fragment z „recenzji” w Tygodniku Literackim z 1841 roku: „...życzyćby należało, ażeby ta pracownia połączyła się ze znakomitszymi ojczystymi talentami w rysunku i wydawała kamieniociski z historii i zwyczai narodu naszego...”.

We wspomnianej rozprawce A. Brosiga czytamy na str. 31, że około 1844 r. połączył się Kurnatowski z Feliksem Gliszczyńskim i założył skład sztuki, papieru, cygar i herbaty w „Bazarze”. Otrzymałem ostatnio w podarunku od prof. dra Romana Pollaka ulotkę, reklamującą ten skład. Warto treść jej przytoczyć przynajmniej w części in extenso, gdyż prostuje do pewnego stopnia daty i przynosi ważne szczegóły o mapie, której opis podam poniżej.

„Skład płodów sztuki W. Kurnatowskiego w Poznaniu w Bazarze. Wyszła obecnie Mappa W-go Księstwa Poznańskiego wydaje się kollektorom prenumeraty. Szanowni prenumeratorowie na tę mappę raczą odebrać ją od swoich kollektorów, dla których przeznaczone egzemplarze częścią już wydane zostały, lub każdego czasu w Składzie moim doręczone być mogą. Wyszła także Mapka W. Ks. Poznańskiego, dla użytku podróżnych i szkółek; — egzemplarz oprawny 6 sgr., nieoprawny 3½ sgr.”.

Dalsza treść ulotki reklamowej nie interesuje nas w tym przypadku. Opiewa o „różnościach”, będących na składzie u Kurnatowskiego. Jednakże ważnym szczegółem wydaje się być data umieszczona pod ulotką: „Poznań 24. Listopada 1843 r.”. Więc tedy nie w 1844 a nieco wcześniej Kurnatowski przeniósł się do Bazaru i tu odrazu swą „Mappę” począł prenumeratorom rozsyłać. Brosig wspomina o mapie, że była własnoręcznie przez Kurnatowskiego rysowana z przeznaczeniem (ukrytym oczywiście) dla spiskowców, jako podstawa do operacji wojskowych i strategicznych. Zanim powstanie w trzy lata później wybuchło, Kurnatowski postarał się o mniejszych rozmiarów wydanie tej samej — może zgeneralizowanej — mapy dla „szkółek i podróżnych”, o czym wyraźnie mowa w ulotce. Jednak szczęście Kurnatowskiemu widocznie nie sprzyjało bowiem w lutym 1846 roku został aresz-

towany. Osadzony w areszcie śledczym w Sonnenbergu załamał się psychicznie i popełnił samobójstwo w celi więziennej. Tyle szczegółów z biografii tego zagadkowego artysty i niewątpliwego patrioty. Wiadomo, że interesował się niedawno, bo w roku 1839 ogłoszoną dagucrotypią i wykonywał fotograficzne portrety już w 1843 roku, o czym donosi we wspomnianej ulotce („Dagerotypy robią się w każdej porze roku"). Seweryn Mielżyński, starszy brat Macieja dokonał nawet takiego zdjęcia „na osobie" Kurnatowskiego. Sporządzono później z owego daguerotypu litograficzny portret zmarłego. Niestety nie udało mi się dotąd wpaść na ślad tej podobizny Kurnatowskiego.

Z treści ulotki dowiadujemy się w przybliżeniu o czasie powstania „Mappy". I jej egzemplarz niestety jest mi dziś niedostępny, jak również owa zmniejszona mapka — jakbyśmy ją dziś nazwali — „podręczna". W 1880 roku jednak znany i tyle dla polskiej kultury w Poznańskim zasłużony księgarz i wydawca Żupański postarał się o reedycję dawnej mapy Kurnatowskiego i wydał ją w znanym i najlepszym w końcu XIX wieku zakładzie litograficznym Teodora Szulca przy ulicy Wrocławskiej w Poznaniu. Ten egzemplarz mam w tej chwili przed sobą i opisem zajmę się poniżej.

Jest to duży arkusz twardawego i cokolwiek już pożółkłego papieru, przyczym format ramki, zamykającej samą mapę wynosi 685 mm, wysokości na 596 mm szerokości. W lewym górnym rogu mapy znajduje się tytuł a raczej allegoryczny rysunek, w którym z łatwością rozpoznajemy typowego „księcia" a może nawet i króla polskiego w zbroi i niedźwiedzim futrze na ramionach. W prawicy trzyma wysoki, nagi miecz obosieczny. Za jego postacią stoi zakonnik z gołą głową i kilka osób drużyny „życzliwej" z oszczepami i dzidami w rękach. Przed orszakiem, na tle pnia świerkowego klęczy wojownik z łukiem przewieszonym przez ramię i coś racjonuje zwierzchnikowi. W oddali, do niknącego w zagajniku jelenia strzela z łuku myśliwiec. Orszak wychodzi z za skalnego kopca, który ku czytelnikowi opada stromą gładką płaszczyzną, będącą równocześnie tytułowym napisem mapy. Pierwsze jego słowo, „Mappa" — zbudowane jest z kamiennych ciosów, reszta („W. Księstwa Poznańskiego ułożona i wydana przez W. Kurnatowskiego w Poznaniu") wyżłobiona na wspomnianej skale. Jest ona porośnięta paprociami i mchami, ocieniona gęstwiną drzew a u jej podnóża widnieją prasłowiańskie urny i łzawnice. Na dwóch kamieniach odczytać można trzy daty: 1843, pod nią 1861 — tej daty nie podejmuję się obecnie wyjaśnić — oraz 1880. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie owe trzy daty pochodzą z uzupełnienia Żupańskiego. Allegoryczność całego rysunku jest wyrazista i jasna. Chodziło w niej niewątpliwie o owych „pamiętnych, dawnych Lechitów", o których później śpiewać będą wszystkie dzieci w Wielkopolsce do melodii Bolesława Dembińskiego.

Mapa — jak z napisu pod ramką wynika — uzupełniona była przez „geometrę rządowego Biedermanna". Wykonana w dość niespotykanej podziałce 1 : 400 000, posiada nadto podziałkę linijną w milach. Obejmuje historyczny obszar Wielkopolski odznaczając go od reszty ziem przyległych dokładnymi liniami. Cały ten teren rozciąga się mniejwięcej od 33° po 36°30, dług. geogr. wschodniej i od 51° 10' po 53° 40' szer. geogr. północnej. Projekcja przypo-

mina stożkową. Tablica objaśnień jest dość szczegółowa i wylicza następujące znajdujące się na mapie elementy: miasto (przyczym liczba oznacza ilość mieszkańców), wieś kościelną i „zwykłą", kolonie, „olędry" (!), folwarki, klasztory, karczmy, papiernie, huty szklane, stawy, drogi bite, pocztowe trakty, drogi zwykłe, rzeki, strumienie, jeziora, kanały, rowy, urzędy, i stacje pocztowe, ekspedycje listowe, granice z Królestwem polskim, granice departamentów, powiatów, ponadto typowe skróty toponomastyczne jak: górny, średni, dolny, mały, wielki i nowy, linie kolejowe i dworce, wreszcie podkreślenia, uwidaczniające miasta powiatowe. Ta bardzo szczegółowa lista usposabia nader przychylnie do autora. Oczywiście żałować należy, że brak pierwszego wydania mapy nie pozwala na porównanie szczegółów wyrysowanych przez Kurnatowskiego w stosunku do uzupełnień Biedermanna po trzydziestu siedmiu latach od chwili pojawienia się dzieła „Litwina".

Z prawej strony mapy (wewnątrz jednak jej ramki) znajdują się tablice z wiadomościami statystycznymi. Podają one „rozległość w milach kwadratowych" oraz liczbę mieszkańców w miastach, po wsiach i w ogóle powiatów w obu departamentach bydgoskim i poznańskim. Warto przytoczyć tu liczbę ludności w całym „Księstwie". Wynosi ona w ogólności 1 661 081, z czego w miastach przebywało około roku 1880 nieco ponad 444 tysiące zaś 1 216 tysięcy z górą po wsiach. Z innej tablicy orientujemy się w rozkładzie i nazwach dekanatów archidiecezji poznańskiej i gnieźnieńskiej, wymieniamy komory celne i główne urzędy poborowe.

Treść topograficzna mapy jest nader rozległa i rozmiarami oraz ilością nazw aż imponująca. Niestety, do odczytania drobniutkich napisów trzeba dziś używać dobrego szkła powiększającego. Zatarły się też „kolorowe" sygnatury lasów, błot, łąk, i gór. Widać je jeszcze nawet cokolwiek lecz szczegółowsze studium staje się niestety całkiem niemożliwe, ponieważ barwa, czy też nawet i barwy całkowicie wyplowiały. Szczególniejsze zainteresowanie budzą jednak nazwy. Te na obszarze przyodrzańskim na przykład są wszędzie polskie niemal wyłącznie: Wrocław, Psiepole, Oleśnica, Syców, Wolawa, Winnica, Piskorzyn, Cieniawa, Wąsocz, Głogów, Nowasół, Konotop, Zielona góra, Cicha rzeka (obecnie Cigacice nad Odrą), Świebodzin, Smogorzew i mnóstwo innych. Mapa z tak niezwykłą gęstością nazw lokalnych — dla przykładu obliczyłem w trzech różnych punktów średnią gęstość nazw na jeden kilometr kwadratowy, wynoszącą 7 — musiała wtedy uchodzić za nader dokładny obraz terenu i z punktu widzenia strategii powstańczej budziła wyraźne zaufanie. Jeszcze dziś wydaje się rzeczą nader interesującą przestudiowanie zarysu sieci rzecznej i rozmieszczenie jezior oraz stawów. Trudno mi dziś na tym miejscu szczegółowo analizować dostępne Kurnatowskiemu źródła kartograficzne przy konstrukcji „Mappy" jednakże trzeba wyraźnie stwierdzić, że ów borykujący się z ciężkim losem życiowym człowiek, próbujący handlować herbatą, winami i cygarami, sprzedający struny do skrzypiec i mandolin ale obok tego litografujący portrety sławnych i zasłużonych dookoła sprawy narodowej Polaków, konstruujący tak szczegółową i powszechnie przydatną mapę swej przybrnej ziemi ojczystej — należy do ujemniej zasłużonych. Gdzie grób jego, gdzie wizerunek, gdzie wreszcie prawdziwe imię i nazwisko tego powstańca?

Pozostały po nim nieliczne już dziś dzieła litograficzne, wspominki współczesnych i cytowany poprzednio „wyrok" Mottego, że był „Rejtanom i Łukasińskim duchem pokrewny".

W roku 1934 wskrzeszono (na krótko wprawdzie) nazwisko Kurnatowskiego, umieszczając tę oto mapę na retrospektywnej wystawie polskiej kartografii w Bibliotece Narodowej podczas Międzynarodowego Kongresu Geograficznego w Warszawie. Należy się jednak i Kurnatowskiemu i jego mapom żywsze zainteresowanie, czego wyrazem stara się być niniejszy przyczynek do dziejów polskiej a w szczególności wielkopolskiej tak dotąd mało znanej kartografii XIX wieku.

Dr Zdzisław Adam Rajewski

CO ZROBIĆ Z BISKUPINEM?

Na terenie Polski posiadamy w tej chwili dwa rezerwaty przedhistoryczne i to kopalnie krzemienia z epoki kamienej młodszej w Krzemionkach w pow. opatowskim w wojew. kieleckim, urzędowo zatwierdzone, dalej uznane jako rezerwat jaskinie w Ojcowie koło Krakowa. Obydwa obiekty mają charakter rezerwatów naukowych, gdzie można przeprowadzić prace wykopaliskowe. W Krzemionkach prowadzono badania przed wojną i obecnie. Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie mierzy tam wszystkie chodniki, wyrąbane ręką przedhistorycznego górnika. Jaskinie ojcowskie, w których znajdują się najstarsze siedliska człowieka na naszych ziemiach, nie były dotąd systematycznie badane. Podlegają one opiece jako zabytek przedhistoryczny, Urzędowi Konserwatorskiemu Zabytków Sztuki, jak każdy inny zabytek przedhistoryczny. Są to rezerwaty zamknięte i w chwili obecnej z braku urządzeń niewykorzystane. Muzeum Archeologiczne Polskiej Akademii Umiejętności tworzy obecnie we wsi Tropiszów koło Krakowa, gdzie rozkopano osadę zduńską przemysłową z wieku IV po Chrystusie, rezerwat otwarty, polegający na tym, że odsłonięte piece do wypalania garnków glinianych i osada zdunów pozostaje na miejscu i po urządzeniu wystawy uzupełniającej udostępniony będzie wszystkim. Instytut Prehistoryczny Uniwersytetu Poznańskiego po odsłonięciu części grodu pierwszych Piastów na Ostrowie Tumskim w Poznaniu wystąpił z projektem utrwalenia tego obiektu na miejscu przez zakonserwowanie drewnianych budowli i przykryciu go szklaną powałą, równą poziomowi dzisiejszego placu katedralnego (artykuły w prasie poznańskiej w roku 1938/39 Józefa Kostrzewskiego, Witolda Hensla i piszącego). Projekt ten, będący wtedy w trakcie początkowej realizacji, odżywa na nowo w związku z okryciami w podziemiach katedry i jej otoczeniu tym więcej, że zbliżamy się do wielkiej rocznicy tysiąclecia historycznego istnienia państwa.

Poza tym w Gnieźnie po odkryciach części grodu piastowskiego przez Instytut Prehistoryczny Uniwersytetu Poznańskiego w r. 1938 utrwalono na miejscu niewielki odcinek wału dzięki Kapitule gnieźnieńskiej. W roku bieżącym projektuje Urząd Konserwatorski Zabytków Sztuki w Poznaniu prace badawcze i zabezpieczające na wyspie Lednica jeziora lednogórskiego koło Gniezna, w obrębie zachowanych tam budowli z czasów pierwszych Piastów. Wszystkie wspomniane obiekty mają z różnych względów odmienny charakter od grodziska na wyspie jeziora biskupińskiego w pow. żnińskim. Nie będziemy wyliczali tu walorów naukowych i społecznych Biskupina, przystąpimy tylko do odpowiedzi na pytanie w nagłówku: „Co zrobić z Biskupinem?" O ile dopiszą wszystkie ziemskie sprawy, to prace wykopaliskowe Instytutu Badania Starożytności Słowiańskich Uniwersytetu Poznańskiego doprowadzą w roku 1949 do odkrycia całego grodziska. Projekt nasz przechodził różne fazy i ostatecznie wygląda jak następuje:

1. Wszystkie dobrze zachowane w dolnych częściach budowle zostawić w złożu pierwotnym.

2. Licho zachowane resztki budowli usunąć, a na ich miejscu wystawić budowle zrekonstruowane w naturalnej wielkości i to domy, wał obronny, „falochron", ulice i bramę, zasieki i ostrokoły.
3. Zostawić niewielki odcinek nierozkopany dający przegląd układu i rodzaju warstw kulturowych i mający być w części sprawdzianem naszych wniosków i metod badań dla przyszłych pokoleń badaczy.
4. Umieścić w zrekonstruowanych domach wystawę zabytków, dającą pełny obraz życia ówczesnego człowieka. Obejmie ona zespół zajęć, a więc rolnictwo, hodowlę bydła, ciesiołkę, garncarstwo, tkactwo itd. Jedynym wyjściem byłoby urządzić w poszczególnych domach, np. dom rolnika, garncarza itd., posiłkując się również modelami.
5. Na ulicach ustawić modele środków lokomocji.
6. Na wale i w bramie rozłożyć zespół ruchomych środków obronnych i zaczepnych.
7. W kilku domach wywiesić plany, profile, modele przekrojowe, fotografie itp. oraz model obrazujący dzieje grodu.
8. Aby podkreślić, że gród uległ żywiołowi wodnemu i że gród z nim walczył, utrzymać dolne części odkopanych budowli pod wodą, która konserwuje najlepiej stare drewno.
9. Przenieść w pobliże z przeciwległego brzegu jeziora część ciałopalnego cmentarzyska mieszkańców grodu.
10. Odtworzyć choć w części pierwotny krajobraz najbliższej okolicy przez ponowne odsłonięcie dawnego koryta Gąsawki, przepływającej przez jeziora oraz posadzenie gatunków drzew występujących w tych czasach, któreby poza tym odsłoniły współczesne nam budynki w Biskupinie, Wenecji i Godawach. Wyeksploatować obecne torfniki, celem uzyskania pierwotnej rynny jeziernej.
11. Ukryć w bramie grodu pomost do oglądania całości „z góry", wystawienie bowiem wysokiej wieży mąciłoby charakter całości.
12. Zainstalować reflektory do oświetlania w nocy zrekonstruowanego grodu.
13. Zbudować tamę wodoszczelną dookoła całego grodu, lub konserwując drewno środkami sztucznymi obniżyć na stałe poziom wody w jeziorze. W pierwszym wypadku zachodzi konieczność zainstalowania pomp.

Tak w ogólnym zarysie przedstawia się projekt. W skład jego wchodzą jeszcze schronisko itp. urządzenia turystyczne. Realizować rzecz możnaby już w trakcie trwania prac wykopaliskowych i ukończyć w latach 1952—1955. Do rekonstrukcji potrzebaby przede wszystkim budulca drewnianego, wyłącznie prawie sosny oraz słomy, trzciny, kamieni polnych i rozmaitych materiałów do urządzenia wystawy. Ilość potrzebnego budulca drewnianego obliczamy na ca 66.000 metrów bieżących, koszta zaś robót byłyby niewielkie.

Po ukończeniu całości mielibyśmy obiekt o doniosłej wartości dydaktycznej w szerokim pojęciu. Taki Biskupin, dający wszystkie wymiary, byłby pewnym dotykalnym symbolem dawnej Słowiańszczyzny, byłby przekonywującym środkiem propagandowym i niesłychanie atrakcyjnym punktem turystycznym w Europie, nie mającym sobie równego (zrekonstruowane fragmenty osad

polowych w Szwajcarii i Niemczech dają tylko rekonstrukcję). Taki Biskupin byłby również pierwszym tego rodzaju zmaterializowanym okresem życia pewnej kultury a dobudowana do niej pełnia obrazu swoistą „egzotyką" przemawiałaby na miejscu w swoim pierwotnym otoczeniu do swoich i obcych. Jego walory turystyczne powinny być w pełni wykorzystane pod każdym względem.

Dotąd zwiedziło Biskupin w ciągu 7 wykopaliskowych sezonów (razem w 27 miesiącach) ponad 400.000 osób. Razem z opłatą za zwiedzanie, ze sprzedaży broszur i fotografii dało to w sumie około 60.000 zł (do r. 1939). „Dochody" te umożliwiały nam w znacznej części prowadzenie robót. Gdybyśmy przyjęli mierząc stosunkami dzisiejszymi opłatę przeciętną 20 zł (10 zł zwiedzenie i 10 zł dochodu z wydawnictw od osoby) i na rok tylko 100.000 osób, otrzymamy rocznie 2 miliony zł brutto dochodu, czyli odliczywszy utrzymanie obiektu rocznie na 200.000 zł przez kilka lat Biskupin zapłaciłby swój zwykły handlowy dług, gdy jego dochód społeczny byłby wprost niewymierny.

Rozważając rozwiązanie zagadnienia Biskupina na tej płaszczyźnie nasuwa nam się siłą rzeczy inny szerszy projekt przedstawienia w sposób analogiczny głównych epok historycznych i kultur przedhistorycznych (możnaby niektóre zgromadzić z okolicy Biskupina) i w dalszej fazie historycznych, stworzenia w Wielkopolsce niektórych obiektów tego rodzaju w typie najróżniejszym. Powiązanie ich w pewien zespół dawałoby możność przeglądu całości dziejów naszej kultury. Np. w Poznaniu na Starym Rynku znaleźlibyśmy kulturę dawnego patrycjatu, w Rogalinie arystokracji ziemiańskiej, w Grabonogu drobno-ziemiańskiej, na Kujawach kulturę bogatej czarnoziemnej wsi, w Gnieźnie, Lednicy i Poznaniu kulturę Polski wczesnodziejowej, w Gołańczy wieki średnie itd. itd. Przeszedłszy wszystkie szczeble naszej przeszłości dotarlibyśmy do naszego rodowodu, którego wykładnikiem jest Biskupin.

NOWE WYDAWNICTWA

Władysław Konopczyński: Fryderyk Wielki a Polska (Poznań, Instytut Zachodni, 1947). Stron 288.

Autor od lat 40 zajmujący się dziejami XVIII wieku ogłosił szereg prac poczynając od dwutomowej rozprawy doktorskiej pt. Polska w dobie wojny siedmioletniej (w monografiach wydawanych przez prof. Askenazego). Niniejsza powstała jakby na marginesie studium o pierwszym rozbiorze, które ukaże się w publikacjach naszej Akademii Umiejętności. Jest pierwszorzędnym znawcą historii politycznej i ustrojowej czasów nowożytnych, którą wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Najbardziej znany jako redaktor Polskiego Słownika Biograficznego a ostatnio wybrany prezesem Polskiego Towarzystwa Historycznego. Więc chociaż ta książka, wychodząc w Pracach Instytutu Zachodniego, gwoli zapewnienia jej poczytności, aparat naukowy ogranicza do wskazówek bibliograficznych na samym końcu, to spotka się z powszechnym zaufaniem. Bo nikt u nas nie może równie autorytatywnie mówić o zagadnieniach i ludziach tamtej doby. A mówi o nich z temperamentem publicystycznym, wiążąc przeszłość z chwilą bieżącą. Tak przed półwieczem prof. Askenazy w imię polskiej racji stanu wezwał do wytężonej pracy nad dziejami dwu ostatnich stuleci i z genialną intuicją i świetnym piórem nakreślił program jej, sam najwięcej uwagi i wysiłku poświęcając czasom napoleońskim i Królestwa Kongresowego. Konopczyński spełnia to zadanie głównie w odniesieniu do epoki wcześniejszej i tak się tłumaczy geneza monografii o Fryderyku Wielkim. Pokrótce naszkicował jego indywidualność w rozwoju od młodości i stosunek do Polski i Polaków, od samego początku pogardliwy i bezwzględnie wrogi, podczas gdy Polacy nigdy żadnej nie wyrządzili mu krzywdy a wielu nie tylko podziwiało ale i wysługiwało mu się upatrując w nim obrońcę swoich wolności. Jaśniej wyraził to polski statysta Staszic przemawiając do ostatniego pokolenia Rzpltej: „Za naszych czasów jeden z królów tego (brandenburskiego) domu, ten sam, który, co jeszcze narody najświętszego i najzbawienniejszego miały, to zniszczył: który dwa razy pod wykradzionym, cudzym stęplem fałszować monetę polską nie wstydził się: który Europę nauczył, że sprawiedliwość monarchów tylko się na mieczu i na pieniądzach zasadzać powinna; że dobro jednego narodu różni się od dobra całego człowieka; że słowo, poczciwość, wiara królów, są czcze nazwiska, i ten przeklęty, jego przykład, który ludziom najwięcej szkodzić będzie, że pracować nad osłabieniem swojego sąsiada jest najmędrszą polityką, a traktaty i przymierza między narodami są próżnemi formalnościami. Fryderyk II, podobnie jak jego dziadowie myśląc, i że Polacy równie, jak ich przodkowie, niespokojnie żyją, uważając, pokłócił ich między sobą" — a potem skłonił dwory cesarskie, „aby kłótliwą Polskę z nim podzieliły". — On zaś w zaciekłości swojej w ciągu blisko pół wieku panowania nie tylko obrabował Rzeczpospolitą, zagarniając najcenniejsze ziemie i dostęp do morza, ale kierując w głąb jej łupieskie wyprawy po ludzi i ich dobytek, zalewając fałszywą monetą i dławiąc przez swą politykę celną usiłował zniszczyć naród. Nikt z wrogów baczniej nie czuwał, by nie dopuścić do żadnych reform w Polsce tak politycznych jak społecznych i gospodarczych. Gdy „nieraz dyskutowali Niemcy z emfazą, na czym zawisła wielkość Fryderyka" a „Polacy ją kwestionowali, wychodząc z założenia, że prawdziwa wielkość składa się z wartości nie tylko intelektualnych, ale także moralnych" — prof. Konopczyński taką konkluzją zamyka swą książkę: „Zbyteczne tamte dociekania i te zastrzeżenia. Bezsporna, historyczna wielkość Fryderyka polega nie na tem, że pokonał Marię Teresę, że wymustrował swych poddanych, pobił Francuzów i rozkrzewił w Prusiech oświatę francuską: polega ona na pognębieniu Polski. Spełniając tę dziejową misję, zaszczepił on niemieckiemu narodowi jeszcze większe, światowe posłannictwo ujarzmiania i pożerania

wszystkich ludów naokoło. I trudno nie nazwać Wielkim męża, który wypromieniował z siebie energie zdobywcze na wnuki i prawnuki, aż pójdą wszyscy za dziesiątą granicę od zwycięstwa do zwycięstwa na złamanie karku pod El-Alamein, pod Stalingrad, pod Falaise, na ostateczny pogrom — w Berlinie".

A. M. Skałkowski

Dr Marian Tyrowicz: Polski kongres polityczny w Wrocławiu 1848 r. Kraków, nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Czytelnik", 1946 — str. 112.

Praca dra Mariana Tyrowicza p. t. „Polski Kongres Polityczny we Wrocławiu w r. 1848" rozpoczęła serię „Studiów z dziejów myśli i ruchu demokratycznego". Zanim też przystąpimy do omówienia samej pracy, poświęćmy parę słów nowemu wydawnictwu.

W dziejopisarstwie polskim dotąd zagadnienie myśli i ruchów społeczno - politycznych w XIX wieku w Polsce nie zostało wyczerpane i dużo jeszcze pracy pozostaje do wykonania. A przecież owe prądy społeczno-polityczne w ówczesnej dobie, stały się w znacznej mierze treścią życia politycznego w Polsce odrodzonej po pierwszej wojnie światowej. Mimoto pozostała nieopracowana kwestia ruchu robotniczego w Polsce. Także obóz narodowo-demokratyczny nie doczekał się do tej pory należytej krytycznej monografii. Wilh. Feldman i B. Limanowski pozostają nadal jedynym źródłem wiedzy o ruchu demokratycznym w Polsce w XIX w. Tymczasem właśnie w XIX wieku dokonują się w Polsce poważne przeobrażenia społeczne i związane z nimi przemiany w zakresie poglądów i myśli. Zrozumienie tych przemian stanowi podstawę do trafnej oceny współczesności. Z tych to względów powitać należy z dużym zadowoleniem, zainicjowanie wydawnictwa serii „Studiów z dziejów myśli i ruchu demokratycznego". Należałoby też wyrazić życzenie, aby wydawnictwo znalazło jak najwięcej współpracowników, a jak najmniej przeszkód w rozwoju.

Wspomniana na początku praca dra Tyrowicza, rzuca bardzo ciekawy snop światła na rozwój myśli i życia politycznego oraz na wzajemny do siebie stosunek obozów politycznych w kraju i na emigracji w dobie „Wiosny Ludów". Autor miał trudne zadanie do spełnienia w obecnej sytuacji, kiedy zasadnicze do tych spraw archiwalia przepadły bezpowrotnie wskutek zniszczeń wojennych. To też jedyną dziś skarbnicą, z której autor w możliwie najszerszej mierze korzystał, pozostała Biblioteka XX. Czartoryskich z zawartymi w niej materiałami rękopiśmiennymi. Wykorzystanie i sumienne opracowanie tych źródeł, których rezultatem jest omawiana praca, stanowi dorobek poważny w polskim dziejopisarstwie.

Zjazd we Wrocławiu w dniu 5 maja 1848 r. , którego inicjatorami byli zdaniem autora, przedstawiciele obozu zarówno demokratycznego jak konserwatywnego w kraju i na emigracji (choć może najczynniej zabiegał obóz konserwatywny w kraju), miał być próbą uzgodnienia działalności obu obozów w kraju w obliczu wydarzeń w roku 1848 i wybrania jednolitego rządu narodowego. Wybór Wrocławia na miejsce zjazdu był wynikiem raczej obawy przed niebezpieczeństwem, tkwiącym w potencjale rewolucyjnym silnie występującym w Księstwie Poznańsk. i w Galicji, a zagrażającym obozowi konserwatywno - szlacheckiemu. Do Wrocławia też zjechały się w „tym burzliwym czasie" liczne rodziny szlacheckie z Galicji i Królestwa. Wreszcie, w razie wybuchu wojny między Prusami i Rosją, stanowił Wrocław bazę wypadową dla rządu narodowego, jeśliby taki powstał.

Autor, opisując działalność przedstawicieli obozu demokratycznego i konserwatywnego, zmierzającą do zapewnienia sobie wpływów na zjeździe, a tym samym w rządzie narodowym, wprowadza nas w ówczesne życie polityczne narodu, niesłychanie skomplikowane wskutek różnolitości interesów wielu grup. W kraju istniały komitety, odrębne w każdym zaborze, a utrzymujące między sobą luźny tylko kontakt, a co ważniejsze, że powstałe w kraju

obozy, zarówno demokratyczny jak i konserwatywny, coraz bardziej dążyły do emancypacji z pod kierownictwa emigracji. Wyraziło się to jasno w dążeniu organizatorów zjazdu do pominięcia w nim przedstawicieli emigracji. Emigracja nie miała brać w zjeździe udziału. Tymczasem emigracja, szczególnie Towarzystwo Demokratyczne Polskie, czyniło wszelkie starania, aby utrzymać swój wpływ na rozwój stosunków w kraju. Na wieść o ruchach rewolucyjnych, które miały przynieść narodowi spodziewaną wolność, przybyło bardzo wielu emigrantów do Krakowa i Wrocławia. Ta grupa emigrantów była związana głównie z T. D. P. i była ostoją Centralizacji w akcji zmierzającej do zapewnienia sobie przewagi na zjeździe. Wreszcie poważnym czynnikiem, który zaważył na losach zjazdu, było istnienie tajnego Rządu Narodowego w Poznaniu. Organizatorzy zjazdu i ogół uczestników nie wiedział o istnieniu wspomnianego rządu. Moment ten zadecydował bodajże o stanowisku przedstawicieli Księstwa Poznańskiego wobec projektu utworzenia jednolitego rządu. Centralizacja, która dzięki staraniom Wiktora Heltmana opanowywała Centralną Radę Narodową we Lwowie, nie życzyła sobie utworzenia we Wrocławiu rządu z obawy, aby go nie opanowali przeciwnicy lewicy demokratycznej, co równałoby się przekreśleniu zdobytych już wpływów. Obóz konserwatywny sprzeciwiał się powstaniu rządu, obawiając się zbyt radykalnych reform społecznych. Rabacja działała jeszcze odstraszająco przed wszelkim radykalizmem. Poważny również wpływ wywarło na przebieg i wynik obrad wrocławskich pogorszenie się ogólnej sytuacji politycznej w związku ze zniknięciem możliwości wojny z Rosją i niepomyślnym rozwojem powstania w Poznańskiem. Wszystko to złożyło się na negatywny wynik zjazdu we Wrocławiu. Myśl utworzenia jednolitego rządu, a nawet „Komisji federacyjnej" upadła.

Przedstawiając historię zjazdu wrocławskiego, uwypuklił autor rolę Wrocławia w wydarzeniach z roku 1848, jako punktu centralnego dla przemytu broni i ludzi dla dywersji do Czech, do Węgier i na Bałkany — oraz ciekawą kwestię projektu wojny z Rosją przez wciągnięcie do niej od północy Szwecji i zorganizowanie dywersji na Bałtyku (Szwecja miała odzyskać Finlandię), a od południa Turcji, która zajęłaby Kaukaz i Ukrainę.

Omówił też autor szerzej stanowisko Królestwa Polskiego wobec wydarzeń w roku 1848 w Poznańskiem. Królestwo Polskie nie przyglądało się biernie wypadkom. Starało się przygotować na podjęcie walki z chwilą wybuchu wojny między Prusami i Rosją. Utrzymywało z Poznańskiem ścisły kontakt (Narcyza Żmichowska, Wł. Dzwonkowski i Klopffleisch). Nie miało jednak możności, wobec silnego teroru policyjnego władz rosyjskich, samorzutnie podjąć akcji zbrojnej. Po upadku powstania w Poznańskiem rozwiały się i tam nadzieje na rychłe odzyskanie niepodległości.

Dr Alfred Kucner

Kondracki Jerzy: Pomorze, szkic geograficzny, Warszawa 1946, str. 48. (Biblioteka Popularno-Naukowa, seria geograficzna, pod redakcją Gustawa Wuttkego).

Gustowski Leszek: Polska a Pomorze Odrzańskie, zarys historyczny, Warszawa 1946, str. 148, (Biblioteka Popularno - Naukowa, seria Ziemie Odzyskane, pod red. St. Heisztyńskiego).

Prace powyższe powstały przede wszystkim pod kątem widzenia potrzeb szkoły i stanowią książki pomocnicze, polecone do bibliotek szkolnych. Tak informuje uwaga, zamieszczona na odwrocie karty tytułowej każdej z nich. Ukazują się też nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych. Przy ich ocenie miarodajna więc być może jedynie ich przydatność dla nauki historii i geografii w szkołach średnich i ostatnich klasach szkół podstawowych.

Fakt napisania i wydania prac tego rodzaju, przeznaczonych dla młodzieży szkolnej, należy powitać z uznaniem. Ziemie Odzyskane doczekały się w naszej literaturze powojennej dość rychło szeregu opracowań, naukowych czy tylko popularno - naukowych, a z reguły

dość obszernych, które spełniają doskonale swą rolę w ręku nauczyciela. Ich słabą stroną jest to, że młodzież szkolna, nawet szkół średnich, z trudnością tylko może z nich korzystać, bądź to z uwagi na ich rozmiary, bądź też ze względu na niełatwe czysto naukowe podejście do tematu. Abstrahujemy tutaj od nielicznych wyjątków. Prace typu „szkiców" Kondrackiego i Gustowskiego to dopiero właściwa lektura dla młodzieży. Niezbyt duże rozmiary, przystępny sposób podania materiału naukowego, wreszcie wyposażenie w konieczne środki poglądowe, mapki i szkice, czynią z nich lekturę łatwą, zajmującą i pożyteczną. Poniższe uwagi krytyczne, wskazując na niektóre słabe strony opracowań, mają na celu przyczynić się do udoskonalenia tego rodzaju literatury dla młodzieży.

Mniejsza rozmiarami (48 str.) praca Kondrackiego, „szkic geograficzny" jak objaśnia podtytuł, zawiera siedem rozdziałów tekstu, do czego dochodzi spis powiatów Pomorza oraz słowniczek nazw geograficznych w brzmieniu polskim i niemieckim. W tekście samym obok materiału czysto geograficznego dwa rozdziały potraktowano historycznie: „Rozwój osadnictwa i przemiany narodowościowe" oraz „Kształtowanie się granic". Ujęcie ich jest krótkie, niezmiernie przejrzyste i jasne, potrzeba ich dla zrozumienia całości niewątpliwa. W tekście szereg map np. dawnych podziałów politycznych, kolei, opadów, gleb, morfologiczna i inne. Na podkreślenie zasługuje styl autora i sposób podejścia do materiału, zawsze objektywny i rzeczowy, ale bynajmniej nie suchy. W sumie — rzecz wzorowa, bez braków i wad, pod każdym względem zasługująca na uznanie. Postawione sobie zadanie jako lektury uzupełniającej, spełni znakomicie.

Drugi z autorów, Gustowski, podzielił pracę na cztery części: część pierwszą „Za Piastów", drugą „Za Jagiellonów i królów elekcyjnych", trzecią „Pod obcym zaborem" i czwartą „Od Wersalu do Poczdamu". Z nich każda podzielona z kolei na cztery względnie pięć rozdziałów, tak że budowa całości jest jasna i przejrzysta. Przy dużym zapotrzebowaniu na książkę historyczną o Pomorzu Zachodnim, praca Gustowskiego może się szybko rozpowszechnić, a może także już wkrótce zajść konieczność wydania jej w drugim nakładzie. Dlatego uważam za wskazane rzucić parę uwag krytycznych.

Praca jest zbyt obszerna jak na książkę popularną typu szkolnego. Stąd i cena (125,— zł) przerasta możliwości finansowe biedniejszych uczniów. Rozmiary jej należy stanowczo zmniejszyć, a to przez wyeliminowanie z pracy materiału, nie odpowiadającego ściśle jej tematowi. Autor rozsadził ramy tematu, włączając opis wydarzeń nie odnoszących się — pośrednio choćby — do stosunków polsko-pomorskich, a należących do dziejów Niemiec (prawie cała część trzecia).

Rozwlekłość pracy jest w pewnej mierze następstwem subjektywizmu, z jakim autor traktuje materiał historyczny. Całe rozdziały (np. rozdział czwarty części czwartej) nie są już historią, lecz publicystyką. Z publicystyką też spotykamy się wszędzie tam, gdzie autor wychodzi poza swoje kompetencje jako historyka i pisze nietylko, jak było, ale także poucza, jak być powinno (str. 132 np.). Nic z historiografią nie ma wspólnego zakończenie pod pretensjonalnym tytułem „Wybiła wielka godzina na polskim zegarze dziejowym", gdzie jeden frazes goni drugi. Wogóle autor zdecydowanie woli napuszystość niż prostotę stylu. Wyprawę Władysława Hermana na Pomorze z r. 1091 określa tak niezwykłym zwrotem: „Za Władysława Hermana wzmogło się jeszcze promieniowanie macierzy polskiej na szlaku odrzańskim" (str. 15). Nie chcę mnożyć przykładów.

Możnaby wysuwać zastrzeżenia także odnośnie różnych szczegółów merytorycznych. Więc w 1157 r. Polska nie udzieliła pomocy książętom zachodniopomorskim, bo w tym czasie nie potrzebowali oni tej pomocy. Przeciwnie wojska pomorskie wspomagają Bolesława Kędzierzawego w czasie wyprawy na Polskę ces. Fryderyka I. (str. 21). W 1177 roku Bogusław I. nie hołduje wobec księcia saskiego Henryka Lwa, a przeciwnie — co wiadomo też autorowi —

wiąże się jak najściślej z Mieszkiem Starym (str. 21). Łączność biskupstwa kamieńskiego (przedtem wolińskiego) z metropolią gnieźnieńską bynajmniej nie trwała bez przerwy od jego założenia do końca 14 w., lecz jego egzemcja nastąpiła w latach 1180—1188; co wiadomo od dawna z świetnej pracy Tyca[1]). — Twierdzenie o „polsko-słowiańskim charakterze przedodrzańskiego Pomorza jeszcze na przełomie 18. i 19. w." grzeszy niewątpliwą przesadą (s. 86).

Czytelnik daremnie rozgląda się w pracy za mapkami czy choćby szkicami orientacyjnymi, zwłaszcza do czasów dawniejszych (np. 14. i 15. w.), gdy stosunki wzajemne Polski i Pomorza Zachodniego były szczególnie żywe. Ten brak należałoby koniecznie uzupełnić, jeśli do czasów „Pod obcym zaborem" zamieszczono aż 4 mapki wzgl. szkice i jeżeli każe się czytelnikowi podziwiać kilka zdjęć gmachu b. rejencji w Koszalinie, wybudowanego w 1939 r. (!) A sytuacja wewnętrzna Pomorza Zachodniego w 14. i 15 w. jest wskutek podziałów terytorialnych ogromnie skomplikowana i bez mapy nie podobna zrozumieć wielu spraw.

Autorowi nie udały się stanowczo takie wyrażenia: jak pierwsza czy druga Polska niepodległa. Francuz wprawdzie mówi o pierwszej, drugiej czy trzeciej Republice, a Niemiec o takiejże Rzeszy, ale żadnemu nie przyjdzie mówić o pierwszej, drugiej czy trzeciej Francji lub Niemczech.

Przy spisie literatury nie uważał autor za wskazane zaznaczyć, że chodzi o znaną jemu literaturę. Bo nie jest to spis wyczerpujący. Nie jest to też spis najważniejszej literatury. Trudno go uzupełniać. Za najbardziej dotkliwy uważam brak drugiego tomu „Roczników Historycznych", poświęconego wyłącznie dziejom Pomorza, dalej brak cytowanej już pracy Teodora Tyca oraz L. Koczego: Polska i Skandynawia za pierwszych Piastów (Poznań 1934), w której cztery rozdziały poświęcono sprawom Pomorza Zachodniego.

[1]) Tyc Teodor, Polska a Pomorze za Krzywoustego, Roczniki Historyczne t. 2, Poznań 1926.

Wydaje mi się, że w obecnej formie książka Gustowskiego nie spełnia swego zadania jako historyczna lektura dla młodzieży szkolnej i że problem napisania dziejów stosunku Polski do Pomorza Zachodniego jest nadal otwarty. Chyba, że autor gruntownie przerobi swój „zarys".

Kazimierz Myśliński

Stefan Papée: Walka Sienkiewicza o ziemie zachodnie. Poznań, Instytut Zachodni 1947, stron 86.

Sienkiewicz koło roku 1900 nasz hetman duchowy a w dobie pierwszej wojny światowej nasz wielki jałmużnik w odrodzonej Polsce podzielił los tych naszych przywódców z okresu niewoli, którzy za życia nad miarę wielbieni w wolnej Ojczyźnie popadli w mroki zapomnienia. Wprawdzie zwłoki jego złożono na łonie Ojczyzny nie pozostawiając ich na obcej ziemi lecz był to też ostatni hołd w wielkim stylu, którym naród spłacił dług wdzięczności wobec wielkiego artysty. Dochowanie wdzięcznej pamięci cieniom naszych wielkich ludzi nie należy ponoć do naszych cnót narodowych.

Okazało się to w roku ubiegłym, w pierwszym roku jubileuszowym autora trylogii, w setną rocznicę jego narodzin.

Głucho było na ogół w naszej prasie o wielkim pisarzu. Nie słychać było o uroczystych obchodach na jego cześć. Nie wznowiono wydań choćby najcelniejszych jego dzieł, mimo że nowe ich wydanie niewątpliwie nie byłoby przedsięwzięciem deficytowym, jak o tym świadczy fakt, że nakład Krzyżaków, wydany w roku 1945 przez Czytelnika w ilości 22 000 egzemplarzy w mig został przez publiczność rozchwytany. Ba nawet te artykuły krytyczne o wielkim pisarzu, które z obowiązku niejako pojawiły się w tym roku na łamach naszych czasopism literackich ilościowo nie pomnożyły zbytnio bibliografii poświęconej autorowi „Quo Vadis".

Sienkiewicz przestał być dawno modnym, ale nie przestał być popularnym, zwłaszcza w naszej dzielnicy, gdzie wielu z nas starszych pamięta jeszcze jego

głośne swego czasu wystąpienie przeciw wynaradawiającemu reżimowi pruskiemu.

To też dobrze się stało, że Instytut Zachodni wydał broszurę Stefana Papée p. t. „Walka Sienkiewicza o ziemie zachodnie“ ażeby przypomnieć ogółowi jak silnie solidaryzował się Sienkiewicz ze społeczeństwem polskim naszych ziem zachodnich w walce z pruskim zaborcą silniej aniżeli ktorykolwiek z ówczesnych naszych wielkich pisarzy.

Autor broszurki, znany przed ostatnią wojną na naszym terenie krytyk i essayista literacki daje po raz pierwszy dokładny przegląd głosów Sienkiewicza w sprawach polsko-niemieckich, a zarazem daje nam ciekawy pogląd na znamienną ewolucję, którą w tej sprawie przeszedł autor Krzyżaków.

Sienkiewicz urodzony w dalekiej ziemi łukowskiej, pochodzący z rodu przybyłego z Litwy obcym był zrazu problematowi polsko - niemieckiemu. Dopiero pierwszy jego wyjazd zagranicę w roku 1874 a właściwie dopiero jego podróż do Ameryki i trzyletni w niej pobyt (w latach 1877—79) zaostrzył jego uwagę na niebezpieczeństwo niemieckie i dał mu rozległą skalę porównawczą stosunków światowych, na których tle z należytą wyrazistością uwypukliła mu się niescześna dola Polski. Na tym tle i w miarę dalszych wypadków dziejowych doszedł Sienkiewicz do przekonania, że najważniejszym odcinkiem naszego frontu bojowego są nasze ziemie zchodnie od Bałtyku po Śląsk, i że Prusy to nasz najgroźniejszy, odwieczny wróg. Długo, za długo trwało, zanim ogół społeczeństwa polskiego to zrozumiał i właściwie dopiero okupacja hitlerowska otwarła nam w całej pełni oczy na to, na co pierwszy wskazywał nam autor Krzyżaków, że z tej właśnie strony idzie ku nam śmierć.

Nie będę tu za autorem omawianej broszury śledził ewolucji myślowej, jaką przeszedł w tej sprawie twórca Krzyżaków. Przypomnę tylko najważniejsze etapy tej ewolucji: „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela“, „Za chlebem“, „Bartek zwycięzca“, „Potop“, „Quo Vadis“ (Ligowie to zdaniem Sienkiewicza Prapolacy), „Krzyżacy“. Przytoczę tylko, co współczesny krytyk literacki p. Sieradzki pisze na łamach Odrodzenia o Krzyżakach, które przed wojną wielu z nas wydały się przejaskrawione:

„Zdolność Sienkiewicza utrafiania wiernie w prawdę jest zdumiewająca. Okrucieństwo Zygfryda de Löwe wobec Juranda, demoniczny podstęp w porwaniu Danusi, wyglądały na wyskok fantazji i wybryk plemiennej nienawiści pisarza. Najświeższa historia wniosła dowód prawdy nieomylnej tradycji narodowej.

Zamęczonej przez diabelskich mnichów, umierającej: Danusi pachło kwiecie łąki. Pół tysiąca lat później polskie łąki i niebo śpiewały znów Danusiom, setkom tysięcy dziewcząt, Polkom i nie-Polkom, które w męczeństwie, zaćmiewającym kanonizowane ofiary prześladowań za wiarę, gorzały w krematoriach Na popiołach ich ciał rosły warzywa dla niemieckich gardeł. Wszyscy oni antropofadzy, świadomi i nieświadomi, noszący w swej tkance spożyte produkty intensywnej gospodarki, zasilanej ludzkim kompostem.

Nie przesadził Sienkiewicz w obrazie Niemców.“

Pragnąłbym tu raczej zwrócić uwagę czytelników Przegl. Wielkop. na te wystąpienia Sienkiewicza, które p. Papée w swej ciekawej książeczce omawia, a które z ówczesnymi dziejami naszych ziem zachodnich się ściśle wiążą.

W roku 1879 wybuchł głód na Śląsku Górnym. Na wieść o tym, Sienkiewicz, który właśnie wrócił z Ameryki, pierwszy potrząsa skarbonką i nawołuje na łamach „Gazety Polskiej“ do składek na rzecz głodujących a tak u nas wówczas zapomnianych Ślązaków, rozsławia imię Karola Miarki, naprzykrza się czytelnikom byle móc zanotować, że znów 1000 rubli można było przekazać komitetowi tego niestrudzonego budziciela ducha polskiego wśród ludu śląskiego.

I znowu w roku 1895, gdy Wilhelm II zaniechał dalszego flirtu z poznańskimi ugodowcami i zawrócił do polityki eksterminacyjnej żelaznego kanclerza, Sienkiewicz chwyta za pióro, piętnuje w artykule swym o Bismarcku tego arcywroga naszego narodu i pisze o nim:

„Był on przedstawicielem tego czysto pogańskiego ducha, który jest bezlitosny i nieubłagany, jak fatum; w stosunkach międzynarodowych znał tylko przemoc. Wszystko jedno, czy ks. Bismarck powiedział lub nie powiedział: „siła przed prawem“. Vox populi przypisuje mu to hasło ...on tę zasadę ubrał w pozory praktycznej prawdy, upowszechnił ją, narzucił ludzkości i obniżył poziom moralny europejskiego życia tak mocno, jak nie uczynił tego nikt od całych stuleci“.

Rok 1901 przynosi na naszych ziemiach dwa głośne swego czasu procesy: proces toruński i proces wrzesiński. Sienkiewicz ogłasza w „Przedświcie“ artykuł „O gwałtach pruskich“, który obiegł całą prasę polską w zaborach rosyjskim i austriackim a w streszczeniu prasę całego prawie świata.

Trzeba sobie uprzytomnić, jaką wagę posiadało wówczas imię twórcy „Quo Vadis“, ażeby zrozumieć znaczenie tego wystąpienia. Że sprawa wrzesińska nabrała takiego fatalnego dla Niemiec rozgłosu, to głównie mamy do zawdzięczenia temu właśnie wystąpieniu Sienkiewicza.

Lecz Sienkiewicz w dalszym ciągu śledzi pilnie zażartą walkę, którą toczy lud polski z systemem pruskim.

W roku 1906 z okazji powszechnego strajku szkolnego w zaborze pruskim ogłasza swój słynny list otwarty do Wilhelma II. a potem w roku 1908 rozpisuje swoją niemniej głośną ankietę o wywłaszczeniu. W ankiecie wypowiedziały się najwybitniejsze wówczas osobistości świata potępiając jednomyślnie praktyki niemieckie. Sienkiewicz był wówczas głównym orędownikiem naszej sprawy na forum światowym.

Wystąpienia te czczonego powszechnie laureata Nobla nie mogły oczywiście wpływać na postępowanie rządu pruskiego, osławiły go jednak w oczach wszystkich kulturalnych narodów świata i tak nieprzychylną wyrobiły Niemcom w świecie opinię, że w sześć lat później, gdy państwo „bojaźni Bożej“ wywołało pierwszą wojnę światową, wszelkie wysiłki propagandowe Niemiec odbijały się bezskutecznie o jednolitą wrogą postawę całego świata. Rację miał Hitler przypisując w swym „Mein Kampf“ tej nieudolności jak się wyraził a właściwie bezskuteczności propagandy niemieckiej główną winę klęski Niemiec w roku 1918. A my powiedzmy sobie otwarcie, że Sienkiewicz był wówczas naszym ministrem propagandy i to jednym z najskuteczniejszych jakiego Polska do tej pory posiadała.

Pozostał nim nawet po śmierci, jeżeli już nie na forum światowym to w każdym razie na ziemiach naszych nad Odrą, Nisą i nad Pasłęką.

Toteż w całej pełni podzielam końcowe zdanie p. Papée, które pozwolę sobie tutaj przytoczyć:

„Niebawem problem niemiecki na ziemiach polskich, gdy wszyscy Niemcy stąd odjadą, przestanie nas niepokoić. Pozostanie jednak na zachodzie zaprzysięgły wróg, którego nawet ostatnia klęska nie zmieni. Pozostanie więc nadal żywotny nakaz czujności i pogotowia.

Wraz z polskim żołnierzem, rolnikiem i robotnikiem, wraz z polskim nauczycielem powinna więc iść na Ziemie Odzyskane i polska książka, zwłaszcza książka Sienkiewicza.

Pilna lektura Sienkiewicza na zachodniej granicy polskiej to najlepsza gwarancja, że straż nad Bałtykiem, nad Odrą i Nisą dobrze wypełni swe doniosłe zadanie“.

Dr Mieczysław Jabczyński

Jerzy Pertek: „Wielkie dni małej floty“. Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946, stron 190.

Pod koniec ubiegłej wojny odbyło się w Londynie otwarcie polskiej wystawy morskiej. Odbyło się ono w obecności i przy współudziale szefa brytyjskich sił zbrojnych na morzu, pierwszego lorda Admiralicji Alexandra, który wypowiedział wówczas następujące, znamienne słowa:

„Gdyby Józef Conrad-Korzeniowski żył dzisiaj, gdyby mógł obejrzeć tę wystawę, pewien jestem, że zrozumiałby, że praca jego życia nie poszła na marne. Conrad Korzeniowski służyć musiał w brytyjskiej marynarce handlowej, tak jak wielu jego rodaków, którzy dzisiaj zdobywają na wszystkich morzach świa-

ta wawrzyny dla Polski. Za czasów Conrada nie było bandery polskiej na morzach świata, dzisiaj bandera polska jest wszędzie. Gdziekolwiek w czasie tej wojny gromadzą się statki i okręty, prawie zawsze widać wśród nich banderę polską na okrętach marynarki wojennej, czy też na statkach floty handlowej.

Słowa te możnaby wysunąć na czoło omawianej książki jako jej motto. Wypowiedziane przez najkompetentniejszego znawcę spraw morskich są one nie tylko stwierdzeniem faktu, który sam w sobie powinien nas wszystkich napawać dumą, lecz wytyczają zarazem naszemu i następnym pokoleniom naszym hasła i zadania, które powinniśmy na morzu spełnić. Bandera polska, która w latach najcięższych zmagań, jakie staczał nasz naród na przestrzeni całej tysiącletniej historii swojej, rozniosła sławę imienia polskiego po wszystkich morzach globu, nie powinna i nie może z tych mórz zniknąć. Takim powinien być nasz program morski na najbliższą i na dalszą przyszłość.

Nie ma narodu, któryby od samego zarania swego istnienia był narodem morskim. Każdy naród spędził swe dzieciństwo na lądzie, odwrócony tyłem do morza i do jego zagadnień, ale każdy naród który spełnił wielką rolę w dziejach ludzkości przeszedł w życiu swoim okres, w którym okoliczności zmusiły go do wyjścia na morze, do wytworzenia kadry marynarzy, zuchwałych wilków morskich, zdolnych do opanowania tego wrogiego żywiołu, i wtedy dopiero znalazł on siły do wypełnienia tych zadań, które mu wykreśliła Opatrzność w dziejach powszechnoludzkich.

Taką wielką szkołą marynarki były dla Greków wojny Perskie, dla Portugalczyków i Hiszpanów wyprawy odkrywcze wieku XV i XVI, dla Anglików walki z armadami hiszpańskimi i flotami francuskimi a w XIX wieku wyprawy odkrywcze podbiegunowe. Dla naszej marynarki stała się tą wielką szkołą druga wojna światowa.

Autor nazwał udział naszej marynarki wojennej w tej wojnie wielkimi dniami małej floty i słusznie. Jakże maleńką była ona przed wrześniem 1939 r. A jednak nie doznała ona takich katastrof jak nasza armia lądowa w wrześniu 1939 a potem jeszcze w czerwcu 1940 roku. Flota nasza wyszła z honorem z tej wojny i zdobyła zaszczytne uznanie nawet w narodzie najbardziej zazdrosnym o sprawy morskie, najbardziej w tych sprawach kompetentnym. I czyż nie może być dla nas szczególnie zaszczytnym taki dziwny zbieg okoliczności, że O. R. P. „Błyskawica" zatopił pierwszą w tej wojnie niemiecką łódź podwodną w dniu 7. 9. 1939 r. na morzu północnym i że tenże okręt zatopił też 27 listopada 1945 roku ostatnią niemiecką łódź podwodną U 2321, niszcząc w ten sposób ostatnią jednostkę tej właśnie broni, do której Hitler w swych światowładczych planach największą przykładał wagę.

Nie może być celem moim dokładniejsze omawianie ciekawej książki autora. Przekraczało by to i cele, którym służy Przegląd Wielkopolski. Zadowolę się zwróceniem uwagi czytelników na niektóre szczególnie interesujące rozdziały jako to: „Kampania wrześniowa". „Polskie okręty walczą o Narwik". „Piorun" bierze udział w walce z „Bismarkiem" „Terrible twins" (straszliwe bliźniaki) „Sokół i Dzik". itp.

Jeżeli wogóle ośmielam się referować tę książkę na łamach Przeglądu, to czynię to w tej myśli że Poznaniowi w realizacji naszego programu morskiego przysługuje wśród wielkich naszych miast i ośrodków dzielnicowych szczególna rola. Tak jak przed 900 laty w początkach naszej państwowości Mieszko I i Bolesław Chrobry z Poznania właśnie kierowali akcją swych wojów zmierzająca do opanowania ujścia Odry i do uzyskania szerokiego dostępu do morza. tak za dni naszych z Poznania właśnie winien iść impuls do realizacji szerokiego programu morskiego. Takim jest geopolityczne znaczenie naszego miasta i naszego regionu wielkopolskiego.

A w tej właśnie akcji. w akcji propagowania spraw morskich książka p. Pertka może oddać rzetelne usługi. Jest napisana jasno i żywo i czyta ją się jednym tchem jak to słusznie w przedmowie swej do tej książki zaznaczył komandor Włodzimierz Steyer.

Dr Mieczysław Jabczyński

Roczniki Historyczne, organ Tow. Miłośników Historii w Poznaniu pod redakcją K. Tymienieckiego i Z. Wojciechowskiego. Rocznik XV, zesz. 2. Poznań, 1939—46.

Z prawdziwym wzruszeniem i podziwem bierzemy do ręki świeżo wydany po przerwie wojennej tom „Roczników". Znajoma okładka, znani autorzy, i treść opatrzona w większości pozycyj datą 1939. Mimowoli zapomina się o minionej wojnie, tragicznej okupacji i zniszczonej kulturze. Gdyby nie 3 nekrologi, z których 2 wymieniają kolegów niżej podpisanego, zdawałoby się, że wogóle nic w międzyczasie nie zaszło. Wzruszenie i podziw ogarniają nas, bo stwierdzamy, że udało się uratować część, skromną wprawdzie, lecz cenną treściowo, dorobku naukowego z ostatnich chwil przed wojną. W jaki sposób, jaką ofiarą i wysiłkiem zdołano uchronić i ocalić te rozprawy i artykuły — to tajemnica Redakcji, to jeden z cichych przyczynków do dziejów walki z niemieckim zaborcą.

Jeszcze z innego powodu cieszy nas ukazanie się „Roczników". Oto uważamy je za zapowiedź wznowienia zasłużonej tradycji oraz reaktywizacji Tow. Miłośników Historii, czego z niecierpliwością oczekujemy.

Większość prac zawartych w omawianym tomie „Roczników" nosi, jak już wspomniano, datę 1939. W pierwszej rozprawie pt. „Historia i prehistoria" zastanawia się prof. K. Tymieniecki nad wzajemnym stosunkiem tych nauk, ich metodami i współdziałaniem, poruszając szereg związanych z tym zagadnieniem kwestyj i spraw np. kwestię ciągłości kultury na ziemiach polskich, przenikania się epok prehistor. z historycznymi, znaczenie t. zw. archeologii historycznej i t. p. Rozprawa pomyślana jako artykuł dyskusyjny daje wiele materiału do przemyślenia.

Następna praca Antoniego Lauferskiego o „Ludności wiejskiej pow. pyzdrskiego w XIV i XV w." rozwija na podstawie zapisek sądowych obraz życia, gospodarki i organizacji wsi średniowiecznej na pewnym określonym terenie.

W dziale „Drobnych prac i materiałów" podaje A. Wolff łaciński przyczynek źródłowy do sprawy t. zw. skartabellatu, wyłowiony z ksiąg sądowych mazowieckich (1573 r.) a R. Pollak dorzuca nowe szczegóły do życiorysu poety Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, odszukane w księgach grodzkich i ziemskich kaliskich. Specjalny artykuł pióra K. Tymienieckiego omawia szeroko znaną książkę Z. Wojciechowskiego „Polska - Niemcy", oraz inne prace tego autora.

Po ciekawym i obszernym dziale recenzji szeregu dzieł polskich i niemieckich (z tych ostatnich wnikliwe i interesujące rozprawienie się dra G. Labudy z książką Hansa Jänichena o Wikingach nad Wisłą i Odrą, lub dra K. Górskiego uwagi o pracach E. Sauera o rycerstwie na Pomorzu w XIII w. i K. Kasiskego o kolonizacji niem. na Pomorzu) zamieszczono trzy nekrologi poświęcone osobom śp. prof. Uniw. Pozn. dra Kazimierza Chodynickiego, zmarłego w maju 1942 r. na gruźlicę w Warszawie, śp. dra Janusza Staszewskiego, poległego w r. 1939 i śp. Sylwestra Machnikowskiego, zamordowanego przez Niemców w Poznaniu w październiku 1939 r.

Całość tomu zamyka przegląd piętnastolecia „Roczników Historycznych" (1925 do 1939) zestawiony przez K. Tymienieckiego.

Starannie wydanym i na wysokim poziomie postawionym „Rocznikom" należy szczerze życzyć pomyślnego rozwoju i rozpowszechnienia nie tylko wśród historyków. Z radością powitamy, jak już powiedziano, jaknajrychlejsze wskrzeszenie Towarzystwa Miłośników Historii, w którego szeregach znajdą się napewno wszyscy pozostali przy życiu przedwojenni członkowie zasileni poważnym zastępem nowych współpracowników i sympatyków.

Tadeusz Nożyński

Kronika stoł. m. Poznania, Rocznik XIX, Nr 3/4, Grudzień 1946.

Redakcja bratniego naszego organu „Kroniki stoł. m. Poznania" poświęciła w ubiegłym roku jubileuszowym zeszyt grudniowy pamięci dra K. Marcinkowskiego. Pojawiły się w numerze tym ar-

tykuły Wit. Jakóbczyka o Marcinkowskim, Mariana J. Miki: Marcinkowściana, Zdzisława Grota: Druh Marcinkowskiego — Wiktor Łakomicki a ponadto katalog wystawy ku czci Marcinkowskiego sporządzony przez kustosza Muzeum Wlkp. p. dr Eckhardt.

Na czoło wysuwa się i wagą samego tematu i rozmiarami artykuł dra Jakóbczyka. Sądząc z podtytułu: próba charakterystyki, czytelnik spodziewa się studium psychologicznego, czegoś w rodzaju analizy psychologicznej, którejby autor pięknej książki o Doktorze Marcinie poddał swego bohatera. Spotyka go lekki zawód. Autor daje w tym artykule istotnie charakterystykę wielkiego naszego rodaka, czyni to jednak w sposób, by tak rzec, biograficzny, nie analizuje tej ciekawej psychiki, nie zapuszcza w jej głąb sondy badawczej, nie uwypukla należycie i nie wypreparowuje poszczególnych jej cech, w rezultacie artykuł ten nie wykracza poza ramy książki o doktorze Marcinie, jest waściwie jej streszczeniem. —

Natomiast ciekawym przyczynkiem do biografii Karola Marcinkowskiego jest artykulik M. J. Miki p. t. Marcinkowściana, omawiający na podstawie źródeł archiwalnych stosunki rodzinne twórcy Bazaru. Powszechne zainteresowanie musi obudzić przede wszystkim żmudnie zestawiona tabelka genealogiczna rodziny Marcinkowskich, dodana do tego artykułu. Niestety sięga ona wstecz tylko do dziadka wielkiego naszego społecznika, — do Marcina, kmiecia z Głównej i jego żony Ewy. Dalsi przodkowie są nieznani, giną w tłumie naszych chłopów pozbawionych aż do zarania w. XIX nazwisk rodowych. Nieznane są też bliższe szczegóły dotyczące życia dziadków wielkiego naszego działacza, jako to choćby dat ich narodzin i zgonów. W każdym razie stwierdzić możemy, że Marcinkowski był bardzo świeżej daty mieszczaninem, że był właściwie chłopskiego pochodzenia.

Również dane archiwalne zebrane przez autora artykułu a dotyczące ojca naszego bohatera, Józefa Marcinkowskiego, są dość skąpe, nie mniej bardzo ciekawe i znamienne. Pozwalają nam bowiem osądzić, że był to człowiek rzutki o dużej inicjatywie, umiejący się szybko przerzucać z jednego zawodu na inny, nie pozbawiony sprytu i żyłki spekulacyjnej, cech niezmiernie ciekawych u tego syna chłopskiego, świeżo przerzuconego na grunt miejski. Nie wiadomo skąd czerpie środki pieniężne, którymi operuje przy swych spekulacjach gruntowych. I tak dowiadujemy się, że w roku 1788 zakupuje on przy ul. Psiej (dziś Szkolnej) kamieniczkę za 4040 zł., ażeby ją sprzedać w 3 miesiące później za cenę 5500 zł. Jest to operacja finansowa, którejby nie powstydzili się nasi spekulanci gruntowi, stare wygi miejskie, a co dopiero kmiotkowie przetransplantowani świeżo ze wsi do miasta! Ciekawy to typ, ciekawy sam w sobie, a nie tylko jako ojciec największego Wielkopolanina w. XIX.

Autor artykułu usuwa zupełnie w cień matkę naszego wielkiego rodaka, Agnieszkę z Kopickich,o której skądinąd wiemy, że była to niewiasta ambitna, praktyczna, pełna trzeźwego rozumu, w przeciwieństwie do męża, którego ponosiła zbytnio żyłka spekulanta. Zupełnie ginie w artykule autora postać Józefa, starszego brata Karola i jego 2 synów, wychowanków Karola Marcinkowskiego. A szkoda. Coraz bardziej utrwala się w nas przeświadczenie, że dopiero możliwie jak najdokładniejsze zapoznanie się z losami i z charakterami poszczególnych członków najbliższej rodziny wielkiego działacza da nam klucz do wniknięcia w jego psychikę. Badania te, choćby pod kątem widzenia samych tylko studiów genealogicznych są niezmiernie ciekawe i winny być jak najwcześniej wszczęte i dokonane. —

Ciekawą sylwetkę wiernego druha i zaufanego Doktora Marcina daje nam Zdzisław Grot w swym szkicu o Wiktorze Łakomickim, zięciu p. Kolskiej, której dozgonnym przyjacielem i ... sublokatorem był Dr Marcinkowski.

Autor posądza twórcę Bazaru o romans z piękną panią Albertyną, starszą od niego o 2 lata. Oczywiście wobec braku jakichkolwiek danych źródłowych posądzenie tu jest zupełnie hipotetyczne, a sądząc po prawym i bezkompromisowym charakterze Marcinkowskiego mało prawdopodobne.

W roku 1835, w którym Marcinkowski wrócił z wygnania, pani Albertyna

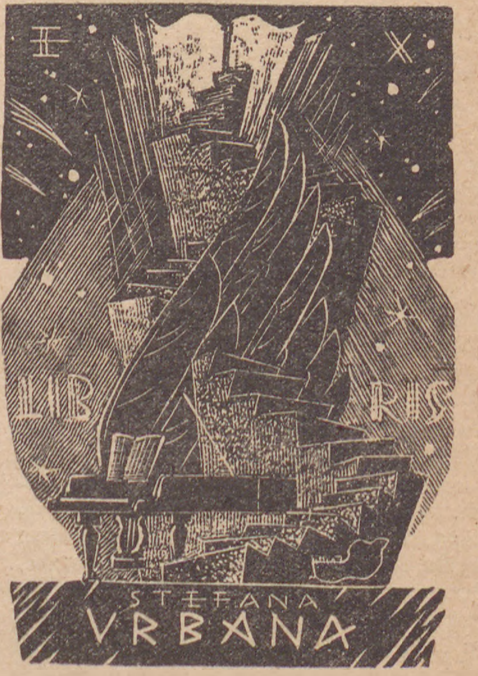
owdowiała, wydawszy uprzednio swą córkę zamąż za wspomnianego Łakomickiego. Przyjmując za autorem szkicu, iż łączyły Marcinkowskiego z piękną panią Albertyną głębsze uczucia, trudno zrozumieć powody, któreby teraz po owdowieniu p. aptekarzowej mogły powstrzymać go od usankcjonowania swych uczuć formalnym węzłem małżeńskim. Czy tylko znany jego wstręt do instytucji małżeństwa? czy Marcinkowski nie liczyłby się z skandalem, wywołanym przez zawsze przecież możliwe ujawnienie takiego romansu? Czy możliwym byłoby, by zięć p. Albertyny, a przyjaciel Marcinkowskiego, p. Wiktor, człowiek prosty i nie wyrastający nad poziom intelektualny i etyczny ówczesnej sfery ziemiańskiej nie uważał takiego romansu z teściową za narażenie na szwank dobrego imienia rodziny? A przecież taki romans teściowej z sublokatorem nie mółby przed nim i jego żoną pozostać utajonym! Nie! Uważam hipotezę autora szkicu za mało przekonywującą, chociaż nie przeczę, że serce ludzkie ukrywa tajniki, których głębi oko badacza nie zdoła przeniknąć.

Co do samego pana Łakomickiego przedstawia on w świetle danych zebranych przez dra Grota typ człowieka prawego, ofiarnego, w gruncie rzeczy poczciwego, pozbawionego szerszej inicjatywy i ambicji politycznej i społecznej, typ pracownika solidnego, oddanego przede wszystkim swemu warsztatowi pracy a zachowującego dla spraw publicznych tylko cząstkę swych zainteresowań. Człowiek taki dotrzyma dozgonnej wierności zadzierżgniętym węzłem przyjaźni i przyjętej przez siebie ideologii politycznej czy społecznej. Jest to typ, który nadał społeczeństwu wielkopolskiemu specyficzne jego zabarwienie, typ, który pozwolił nam zwycięsko ostać się wobec wszelkich zakusów wroga, typ umysłowo może mało lotny, niemniej jednak konstruktywny i społecznie wartościowy. Na takich to elementach oparł Marcinkowski swe konstrukcje społeczno-polityczne. Nic dziwnego, że dwie tak psychicznie odrębne jednostki, różniące się tak bardzo siłą charakterów i wagą swych uzdolnień przylgnęły do siebie tak głęboko.

Dr Mieczysław Jabczyński

Szamotulskie wydawnictwa o polskiej grafice.

W roku 1946 ukazało się w Szamotułach 11 wydawnictw bibliofilskich o polskiej grafice. Wydawnictwa te są bogato ilustrowane oryginalnymi drzeworytami, cynkotypami, miedziorytami i akwafortami. O pierwszych czterech drukach podałem wiadomość w Przeglądzie Wielkopolskim (rok 1946 nr 6 czerwiec). W tej chwili notuję dalszych 7 druków, które ukazały się w r. 1946 w Szamotułach. Są one uzupełnieniem serii 15 wydawnictw.



Drzeworyt oryg. Tadeusza Cieślewskiego Syna

Tadeusz Leszner — W pracowniach grafików i plastyków w latach wojny. Kartki z notatnika. Część pierwsza. (Adam Półtawski, Tadeusz Cieślewski Syn, Stefan Mrożewski, Henryk Gaczyński, Witold Gawęcki). Poznań — Szamotuły 1946. Format A^5, str. 59. Druk Kawalera (50 num. egz.). W tekście 8 oryg. drzeworytów i cynkotypów.

Kazimierz Wiszniewski — Ex-Librisy. 10 odbitek z oryginalnych klocków. Wstęp Tadeusza Lesznera.

1946. Wydano z zasiłku dra Janusza Bończa-Tomaszewskiego. Druk Kawalera (50 num. egz.) Format A⁴, str. 24. Okładka kart. brązowa. Najwspanialszym jest ex-libris dla biskupa kieleckiego, Czesława Kaczmarka z motywem Katedry Kieleckiej. Egz. 1 do 25 zawierają odbitki sporządzone na papierze japońskim.

Stefan Mrożewski — Ex-librisy. Sześć odbitek z oryginalnych klocków. Wstęp Tadeusza Lesznera. Poznań-Paryż 1946. Wydano z zasiłku dr Janusza Bończa-Tomaszewskiego. — Druk Kawalera, (40 num. egz.). Format A⁴, str. 11. Okładka ciemno-popielata. Odbitki ex-librisów odciśnięto na papierze japońskim na prasie ręcznej, są arcydziełami sztuki ksylograficznej.

Kazimierz Wiszniewski — Ex-librisy z widokami Warszawy. 10 odbitek z oryginalnych klocków. Przedmowa T. Lesznera. 1946. Druk Kawalera. Wytłoczono 50 num. egz. Odbitki odcisnął ręcznie sam artysta. Egz. od 1 do 25 zawierają odbitki sporządzone na papierze japońskim. Format A⁴, str. 32. Papier biały, bezdrzewny najlepszego gatunku. Wyd. dedykowane Edwardowi Chwalewikowi, wielkiemu miłośnikowi książki i niestrudzonemu badaczowi dziejów ex-librisu polskiego na 40-lecie pracy naukowo-literackiej, jako wyraz najłębszej czci i podziwu dla ogromu trudów położonych dla dobra kultury polskiej.

Tadeusz Cieślewski Syn. — Analiza estetyczna drzeworytowych ex-librisów Januszkiewicza Jerzego. Próba recenzji wzorcowej. Wydanie drugie. Uwagi wstępne Tadeusza Lesznera. 1946. Warszawa-New-York, (nakł. Zofii Cieślewskiej). Druk Kawalera. Wytłocz. 100 liczbowanych egz. Format A⁵, str. 64. W tekście 13 oryg. odbitek drzeworytowych artysty rzeźbiarza, który targnął się na sztukę drzeworytową. Praca T. Cieślewskiego napisana została w r. 1944 i w tymże roku ukazała się w Warszawie, jako nielegalne wydawnictwo sporządzone w 15 egz. maszynopisu. Obecne drugie wydanie doszło do skutku dzięki p. Zygmuntowi Klemensiewiczowi, który użyczył do przedruku jednego z trzech ocalałych maszynopisów. Praca Cieślewskiego jest unikatem w naszej literaturze artystycznej. Prawie cały nakład zabrała wdowa artysty do Nowego Yorku. Egzemplarz, który jest w moim ręku, podziwiało szereg osobistości ze świata artystycznego.

Maciej Zwornicki — O znakach bibliotecznych (exlibrisach) Stan. Zgaińskiego. 10 odbitek z oryginalnych klocków. Międzychód - Szamotuły 1946. Wydano z zasiłku Zygmunta Klemensiewicza. Druk Kawalera. Wytoczono 50 num. egz. na pierwszorzędnym bezdrzewnym papierze. Format A⁴, str. 8, 10 drzeworytów na czerwonym albumowym kartonie. Okładka ciemno-popielata. Jest to wzorowy druk bibliofilski.

Tadeusz Leszner — O grafice dewocjonalnej i jej rozwoju w Polsce w latach ostatnich. 1946. Druk Kawalera, (50 num. egz.). Format A⁵, str. 24. Przy tekście zamieszczone nast. grafiki: H. Gaczyńskiego — Matka Boska z Dzieciątkiem — drzeworyt (1946), M. Kulikowskiej — Bł. Jolanta — akwaforta (1944), Ed. Przeorskiej — Niepokalane Serce M. Panny — drzeworyt (1946), K. Wiszniewskiego — Św. Sebastian — drzeworyt)1946). Wszystkie odbitki sporządzali sami artyści.

*

Druki Szamotulskie są unikatami na terenie Polski i pomimo, że ukazały się w nikłych nakładach, wypełniły wielką lukę w propagandzie naszej sztuki ksylograficznej poza granicami Rzeczypospolitej. To też nic dziwnego, że do zarządu Tow. Miłośników Sztuki i Pięknej Książki w Szamotułach napływają rękopisy wybitnych artystów i bibliofilów z całej Polski, by szerzyć z uporem, mimo trudów, kult pięknej książki. W ramach nowej serii wydawnictw szamotulskich ukaże się zbiorowe wydanie całej twórczości muzycznej najwybitniejszego kompozytora polskiego z XVI wieku — Wacława z Szamotuł. Redakcję wydawnictwa objął prof. Uniw. Poznańskiego dr Adolf Chybiński.

Henryk Przybylski

Rocznik Dziejów Powstania Wielkopolskiego 1918/19. Redaktorzy: Antoni Cwojdziński, dr Zdzisław Grot, t. I. Nakład Związku Powstańców Wielkopolskich 1918/19, — Poznań 1947, str. 172.

Rocznik składa się z trzech części, z artykułów, materiałów i spraw organizacyjnych Związku. Publikacja ujęta w ten sposób jest celowa i szczęśliwa, ponieważ będzie przedstawiała kolejno dzieje powstania wielkopolskiego 1918/19, wzbogacała w materiały do tegoż problemu, a jednocześnie informowała w sprawach żywotnych Związku. Niezbędnym wszelako jest wprowadzenie działu sprawozdawczo - recenzyjnego, oraz umieszczenie prac omawiających nie tylko działalność wojskową, ale również społeczną powstania wielkopolskiego, a wreszcie ujmujących syntetycznie całość wymienionego tematu.

Dwa pierwsze artykuły, mianowicie Ludomira Węclewskiego — „Udział Margonina w oswobodzeniu rejonu nadnoteckiego" oraz Ignacego Wierusza „Z dziejów walk o wolność na odcinku Kępińsko-Ostrzeszowskim" stanowią ważne przyczynki do powstania wielkopolskiego, opierają się bowiem na materiale względnie relacjach skrzętnie zebranych przez autorów i prostują w niejednym wypadku wiadomości, podane poprzednio. Z artykułów obydwóch tych autorów wynika, że powstańców wielkopolskich cechowała gorąca miłość ku ojczyźnie oraz wielki patriotyzm, pomimo bowiem braku broni i amunicji i przeważających sił wroga zdołali wytrwać w walce i zasłużyć sobie na miano prawdziwych Polaków i patriotów.

Trzeci artykuł dr Mieczysława Jabczyńskiego „Od Grodziska po Babimost i Kargowę" ma charakter sprawozdawczy a poniekąd i polemiczny. Dr Jabczyński omawia bowiem „Materiały do historii powstania wielkopolskiego", jako też ostatnią pracę Włodzimierza Lewandowskiego — „Udział Wielkopolski w odbudowie Rzeczypospolitej w latach 1918/19", która zawierała wiele cennych wiadomości, ale również i luk.

Trzy dalsze artykuły, opracowane są przez dra Zdzisława Grota, dotyczące trzech wybitnych powstańców wielkopolskich, a mianowicie: Tadeusza Fenrycha, Ignacego Mielżyńskiego i Stanisława Węcłasia.

Rozprawki dra Grota opierają się na dokumentach, notatkach i relacjach rodzinnych oraz na literaturze powstania; ujęte są metodą naukową, a poparte wielką wnikliwością i krytycyzmem, przez co stanowią ważną pozycję. Dr Anna Dembińska skreśliła działalność i zasługi płk. Stanisł. Thiela, jakie oddał powstaniu będąc komendantem „części południowego frontu od Prosny, Wieruszowa — Podzamcza do Czarnego Lasu pod Odolanowem". Organizacja tego odcinka była bardzo trudna, ponieważ odbywała się podczas „ustawicznych potyczek i walk z oddziałami Grenzschutzu".

Ostatnie dwie prace dra Jana Baumgarta — „O potrzebie opracowania Bibliografii Historii Powstania Wielkopolskiego 1918/19" i „Materiały do Bibliografii Historii Powstania Wielkopolsk. 1918/19" zamykają cykl artykułów. Dr Jan Baumgart wznawia dyskusję o potrzebie wydania „Bibliografii Historii Powstania Wielkopolskiego" i w Roczniku powyższym s. 86—110 zestawia brakujące druki polskie w „Materiałach do Historii Powstania Wielkopolskiego 1918/19, Poznań 1938" do roku 1937, druki polskie za lata 1938/39, druki niemieckie za lata 1919—1944, literaturę periodyczną 1918—1939 polską i niemiecką, sięga nadto do ogólnoniemieckiej bibliografii „Deutsches Bücherverzeichnis" za lata 1919—1940.

Druga część „Rocznika" „Materiały" obejmuje prace pułk. Stanisława Tomiaka: „Walki o Wolsztyn", „Zdobycie Kopanicy w dniu 11 stycznia 1919 roku", „Z walk o Babimost w dniu 31 stycznia 1919 r.", „Powstanie w powiecie wolsztyńskim 1918/19 r." przez Modlińskiego i Jana Poraja - Wybranowskiego oraz mjra Stef. Chosłowskiego, „Szereg wspomnień z powstania wielkopolskiego".

Mamy nadzieję, że ogół społeczeństwa przyjmie z uznaniem pomyślaną w ten sposób publikację historii powstania wielkopolskiego, chodzi wszakże Redakcji niniejszej pracy o to, by z jednej strony zadowolić szerszy ogół a z drugiej podawać zgodnie z prawdą ważniejsze momenty powstania wielkopolskiego, które było wielkim zrywem całego ludu wielkopolskiego przeciwko zaborcy.

Mgr **Stanisław Zb. Gołębiowski**

Z SZAMOTUŁ

Ziemia szamotulska stoi przed wielkimi uroczystościami, związanymi z 400-letnią rocznicą powołania przez króla Zygmunta Augusta Wacława z Szamotuł, największego kompozytora polskiego XVI w., niezrównanego polifonistę, na stanowisko kompozytora nadwornej kapeli na Wawelu w dniu 6 maja 1547 r. To wyróżniające stanowisko na dworze królewskim pozwoliło mu wpłynąć na szeroką arenę muzyki europejskiej i zyskać zaszczytny tytuł „polskiego Palestriny". Przełomowa więc to data w życiu i karierze kompozytorskiej Wacława z Szamotuł. W roku bieżącym przypada również 375-ta rocznica śmierci wielkiego kompozytora. Miasto rodzinne Wacława przygotowuje się od dłuższego czasu do zorganizowania głównych uroczystości jubileuszowych w Polsce w swym grodzie, co najlepszym będzie hołdem, złożonym pamięci nadwornego kompozytora królewskiego, którego utwory ukazały się w r. 1554 w Norymberdze.

Zorganizowaniem uroczystości w Szamotułach i w różnych ośrodkach polskiej kultury muzycznej zajęło się powołane do życia na jesień ub. r. regionalne Towarzystwo Miłośników Sztuki i Pięknej Książki w Szamotułach. W dniu 3 marca odbyło się w gmachu tut. gimnazjum pierwsze Walne Zgromadzenie Towarzystwa, które postawiło sobie za cel (w myśl rozdz. II. § 5 statutu):

1. wzbudzanie szacunku wśród obywatelstwa do wszelkich objawów twórczości artystycznej;

2. współpraca z władzami samorządowymi w celu nadania estetycznego wyglądu poszczególnym środowiskom w pow. szamotulskim;

3. szata graficzna książki;

4. dążenie do zbudowania w Szamotułach w technice monumentalnej mauzoleum wybitnych synów Ziemi Szamotulskiej;

5. popieranie odradzania się materialnej i duchowej kultury ludowej Ziemi Szamotulskiej.

Do urzeczywistnienia celów wyżej wymienionych Towarzystwo dążyć będzie przez (w myśl statutu rozdz. II § 61):

1. organizowanie zebrań, zjazdów i prac, poświęconych pogłębianiu życia estetycznego i artystycznego Ziemi Szamotulskiej;

2. organizowanie odpowiednich wystaw, kursów, odczytów, pogadanek o zabytkach kultury, sztuki i szaty graficznej książki oraz technikach artystycznych;

3. organizowanie bliższych i dalszych wycieczek;

4. gromadzenie rycin, zdjęć fotograficznych, charakterystycznych budowli w powiecie i wydawnictw dawnych, ogłoszonych drukiem przez wybitnych szamotulan;

5. publikowanie badań naukowych;

6. opiekowanie się utalentowanymi rzemieślnikami — artystami;

7. wydobycie na światło dzienne materialnej sztuki ludowej: zdobnictwa, hafciarstwa, stroju ludowego;

8. wykorzystanie motywów ludowych dla malarstwa dekoracyjnego i zdobnictwa wnętrz gmachów publicznych na terenie powiatu szamotulskiego;

5. wprowadzenie miejscowej sztuki ludowej na arenę ogólnopolskiej sztuki ludowej;

10. wydobycie na światło dzienne duchowej sztuki ludowej: pieśni, tańców, zwyczajów i obyczajów;

11. użytkowanie pieśni i tańców w szkołach;

12. opracowanie sceniczne obrzędów;

13. organizowanie dorocznych imprez artystycznych.

Walne Zgromadzenie członków wyłoniło zarząd Towarzystwa, które liczy dziś już ponad 100 członków, w następującym składzie: prezes — Henryk Przybylski, I wiceprezes — Danuta Wyrybkowska — Białasikowa, II wiceprezes — Tadeusz Polański, sekretarz — Ludwik Gomolec, skarbnik — Józef Preuss, kierownik wydawnictw — Wincenty Kania

oraz 5 członków zarządu: Barbara Zgaińska, Maria Przybylska, Wiśniewski Stanisław, Gielniak Aleksander i Musiał Stanisław.

Na najbliższy okres swej działalności Towarzystwo postawiło sobie za cel:

1. wzniesienie okazałego pomnika ku czci Wacława z Szamotuł z następującym napisem:

„Wacław z Szamotuł Venceslaus Samotulinus † 1572. Pierwszy stypendysta regionalnej fundacji szamotulskiej za rektoratu doktora Grzegorza z Szamotuł w roku 1538. Student Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kompozytor nadworny króla Zygmunta Augusta. Duma i chluba polskiej sztuki; Muzykę polską na widownię świata wyprowadził. W 400 rocznicę powołania na dwór królewski a 375 rocznicę śmierci w hołdzie

Szamotulanie"

2. zorganizowanie uroczystości z okazji 400-letniej rocznicy powołania Wacława z Szamotuł przez króla Zygmunta Augusta na stanowisko kompozytora nadwornej kapeli na Wawelu i 375 rocznicy śmierci wielkiego kompozytora w lipcu bież. roku tak w jego rodzinnym mieście, jak i w szeregu większych ośrodków kultury muzycznej w Polsce;

3. zorganizowanie w związku z uroczystościami ku czci Wacława z Szamotuł „Dni szamotulskich" z przedstawieniem regionalnych zwyczajów i obyczajów (jak np.: odtworzenie popularnego „Wesela szamotulskiego");

4. w dniach od 1—3 maja przystępuje Towarzystwo do organizacji święta książki;

5. realizacja pięknego bibliofilskiego wydawnictwa wszystkich kompozycji Wacława z Szamotuł, począwszy od wydania w ozdobny sposób motetu kompozytora „In Te Domine speravi"; redakcję wydawnictwa, które ukazywać się będzie w kolejnych zeszytach, bogato ilustrowanych ozdobnymi inicjałami z oryginalnych druków Wacława z XVI w., objął znany powszechnie muzykolog w Polsce dr Adolf Chybiński, prof. U. P. (Pierwszy zeszyt ukaże się w liczbie 250 liczbowanych egzemplarzy po cenie ok. 3000 zł.);

6. Towarzystwo zajmuje się wydaniem w najbliższym czasie:

a) 7 sonetów o książce Zuzanny Rabskiej z Warszawy p. t. „Książka i wojna" z ozdobnikami drzeworytowymi Kazimierza Wiszniewskiego z Krakowa;

b) pracy Cichowiczowej o stroju szamotulskim z kolorowymi planszami;

c) pracy red. Danuty Wyrybkowskiej-Białasikowej o haftach szamotulskich w pięknym graficznym wykonaniu;

d) Kazimierza Wiszniewskiego p. t. „Bilety wizytowe".. Całe stronnice tekstów będą odbite jako drzeworyty.

Celem usprawnienia i ułatwienia przygotowania wszystkich uroczystości szamotulskich, Towarzystwo wyłoniło na zebraniu w dniu 3 marca br. Komitet Wykonawczy. Nawiązał on już kontakt z wielu innymi środowiskami polskimi (jak: Krakowem, Poznaniem, Wrocławiem, Katowicami, Środą), celem uczczenia kompozytora również w innych miastach polskich. W związku z uroczystościami w Szamotułach (13. VII. br.) odbędzie się zjazd okręgowy chórów śpiewaczych.

Z oficyny Kawalera w Szamotułach wyszło dotąd już 13 druków bibliofilskich o polskiej grafice. Druki te cieszą się wielkim popytem w Czechach, Belgii, Holandii, Paryżu, Moskwie, a ostatnio w Nowym Yorku. Trzeba stwierdzić obiektywnie, że na terenie Polski Szamotuły w dziedzinie miłośnictwa sztuki ksylograficznej i druków bibliofilskich są środowiskiem pionierskim. Zarząd Towarzystwa jest w ścisłym kontakcie z warszawskim Towarzystwem Bibliofilów Polskich, na czele którego stoi Tadeusz Leszner. Druki szamotulskie finansuje m. in. Zygmunt Klemensiewicz, dyr. Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Tadeusz Leszner z Warszawy i wielu innych z terenu całej Polski. Ostatnio wyszła praca Tadeusza Lesznera p. t. „W pracowniach grafików i plastyków w latach wojny" (Warszawa-Szamotuły 1946 r.) Jest to pierwsza część większej całości, poświęcona omówieniu działalności artystycznej prof. Adama Półtawskiego, Tadeusza Cieślewskiego Syna, Stefana Mrożewskiego, Henryka Gaczyńskiego i Witolda Gawęckiego. Książka ukazała się w 50 liczbowanych egzemplarzach z 8 ilustracjami.

Lud. Gol.